3

STARÓWKA

Lekkie życie - Rezerwa strategiczna - Arsenał - Pasaż Simonsa
Niech im ziemia lekką będzie

Lekkie życie

Gdy otworzyłem oczy i siadłem, rozglądając się w osłupieniu, powitał mnie śmiech i okrzyki.

- Krok obudził się! - Możemy iść dalej! W dwuszeregu zbiórka!

Po chwili przypomniałem sobie, w jaki sposób znalazłem się w ogrodzie. Sądziłem, żem się tylko zdrzemnął, a tu już się miało ku wieczorowi. Przez parę godzin trwały naloty, heinkle obrzucały bombami Stare Miasto. Spałem jednak tak twardo, że postanowili mnie nie budzić. I śpiąc zrobiłem dobre wrażenie, od tego bowiem momentu zaczęto mnie uważać za człowieka o żelaznych nerwach.

Przed nocą zakwaterowano nas na najwyższym, zdaje się drugim, piętrze szkoły przy ulicy Barokowej. Tę krótką ulicę między Długą a ogrodem łatwo było przeoczyć. „Szkoła" nie była szkołą, przed paru laty zamieniono ją na niemiecki szpital wojskowy. Za kwaterę dostaliśmy wielką salę, częściowo wypełnioną łóżkami, w wystarczającej ilości dla kompanii Wiernego, której stan wynosił około dwudziestu ludzi, włączając w to łączniczki: Zosię Kos, szczupłą szatynkę oraz Wandę o kruczych włosach, uderzająco semickim wyglądzie i pseudonimie Żydówka; obie pewnie ze trzy lata starsze ode mnie. Ze zdziwieniem rozpoznałem też koleżankę ze szkoły sanitarnej Zaorskiego, Ankę. Pamiętałem ją zawsze wystrojoną, umalowaną, wypudrowaną, kokieteryjną, nigdy nie przypuszczałem, by nadawała się do żołnierki. Była - jak to szybko zauważyłem - narzeczoną Kuby. Reszta dnia zeszła nam na przesuwaniu łóżek, noszeniu materacy, myciu i goleniu.

Pierwszy raz miałem okazję bez pośpiechu przyjrzeć się nowym kolegom od Wiernego. Paru już dobrze odróżniałem. Przede wszystkim Cygana i Pietrka, którzy po aresztowaniu na rozkaz Lisa odprowadzili mnie do browaru. Zawsze trzymali się razem. Obaj wyżsi ode mnie. Cygan, blondyn, zaczesywał w górę długie, lekko falujące włosy. Ruchy miał energiczne, wyglądał na takiego, co to przebojem idzie przez życie - wyglądał tylko. Na tajnych lekcjach

angielskiego nauczyłem się zwrotu, który pasował do Cygana *his bark is worse than his bite* [jego szczekanie jest gorsze od ugryzienia].

Pietrek był jeszcze wyższy, ciemniejszy i spokojniej się poruszał. Czasem uśmieszek wypełzał mu na wargi i nie wiedziałem, czy się uśmiechał do mnie, czy ze mnie, dlatego że jak frajer dałem im hełm na przechowanie!

Góral - nieduży, niepozorny, nie zwracał uwagi. Nigdy byś nie odgadł, że brał udział w najniebezpieczniejszych akcjach na ulicach Warszawy - strzelaniu do niemieckich agentów. Ale sobie wybrał pseudonim! Górala każdy sobie wyobraża jako rosłe chłopisko z orlim nosem - idzie sobie percią, wywija ciupagą, kamienie spod nóg mu się toczą. Gdzie tam Góralowi do tego górala.

Za to Barykadzie pseudonim pasował jak ulał. Nie tylko, że był najwyższy pomiędzy nami, ale i najgrubszy. Gdyby stracił nieco na wadze, ze swą fajką, piegami, jasnymi włosami i niezmąconym spokojem - nadawałby się do gwardii przybocznej Gustawa Adolfa.

Edka znałem od dawna, ale nigdy naprawdę nie poznałem. Słuchając jego opowieści, można by pomyśleć, że to olbrzym. W rzeczywistości niższy był ode mnie, ale nadzwyczaj wysportowany, żywa sprężyna. Mój stryj, zawadiaka, babiarz i kawalerzysta, musiał podobnie wyglądać za młodu. Śniady, kasztanowe włosy zaczesane w górę, orli nos. Chyba jak nikt inny był zafascynowany toczącą się walką. Od polityki i strategii do najdrobniejszych technicznych szczegółów, np. jak rozkręcać niewypały - wszystko go interesowało. Jako żołnierz prezentował się okazale w niemieckim hełmie i ze srebrzystym pistoletem maszynowym.

W obu budynkach szkoły piwnice i parter od paru dni zajmował batalion Łukasińskiego, na oko sądząc, prawie nie uzbrojony. Właściwie to nam, oddziałowi frontowemu, powinni przydzielić kwaterę na dole, a im na górze, i to z wielu powodów. W razie nieoczekiwanego pojawienia się Niemców bylibyśmy bliżej ziemi i gotowi do akcji. W razie uderzenia bomby szansę przeżycia były większe na parterze. Piętro było również bardziej wystawione na ogień innych broni. Krótko mówiąc, pomimo że jako nieźle uzbrojony i już doświadczony oddział byliśmy niezbędni do obrony Starego Miasta, przydzielono nam kwaterę pod samym dachem, za to jakieś administracje usadowiły się na dole, bo tam było bezpieczniej. Gdyby Niemcy już skapitulowali, administracje zapewne zajęłyby przewiewne piętro, a nam w udziale przypadłaby piwnica.

Przyszły z Woli również i inne oddziały należące do „Chrobrego" i położenie nasze nie wydawało się już tak rozpaczliwe jak rano. Podobno Niemcy chcieli tylko przebić drogę odwrotu i teraz dadzą nam spokój. Wytrwamy jeszcze te parę dni do przyjścia Rosjan, powiadali urzędowi optymiści.

Po przespanej nocy, zaraz po śniadaniu, zarządzono zbiórkę całego batalionu w ogrodzie Krasińskich - chyba to wymarsz z Warszawy. Pośród drzew, zwróceni ku szkole, stajemy półkolem kompaniami: Klim, Konar, Edward, Lis...

Pod ścianą szkoły ustawiono prowizoryczny ołtarz. Najpierw msza polowa - bez sztandarów, bez orkiestry, bez mundurów, prawie bez broni.

Msza polowa przed bitwą! Oczywiście bitwy nie będzie, zaraz pryskamy. Więc po co ta szopka? Oficerowie zawsze z księżmi ręka w rękę, wmawiają, że Bóg po naszej stronie. Marnujemy czas, a Niemcy nas otaczają. Złoszczę się i denerwuję, ale milczę. Podczas mszy przyklękam i wstaję jak wszyscy. Spod oka przypatruję się innym, czy biorą to poważnie. Kapłan błogosławi i daje *absolutio in articulo mortis,* czyżbyśmy rzeczywiście szli na śmierć?

Tyle razy czytałem opis podobnej sceny. Rycerze i konie w zbroi, gąszcz kopii - na pagórkach pod wsią Grunwald. Wschód słońca czerwieni ostrza bagnetów i kos na polu pod Maciejowicami. Las, noc, księżyc, powstańcy z 1863 roku z dubeltówkami klęczą w śniegu.

Przenika mnie dreszcz. Wokół skupione twarze. By odzyskać równowagę ducha, zaczynam filozofować... Oto nie wszyscy wrócą do domów, rozglądam się, może ten, może tamten, odgaduję, który... Każdy myśli, że kto inny...

Po mszy oczekujemy wymarszu z miasta, ale spotyka nas niespodzianka. Wycieczka do niemieckich magazynów na Stawkach. Nie ma potrzeby przypominać, że dzień wstał piękny i słoneczny, takie dni będą się powtarzały aż do końca Powstania. Deszcz nie spadnie, chmury ani razu nie zakryją słońca, księżyca i gwiazd przed naszym okiem, a nas przed okiem lotników. Idąc to po wewnętrznej, to po zewnętrznej stronie muru getta, ogródkami, krzakami, obchodząc rudery, znaleźliśmy się na Stawkach, bocznicy Dworca Gdańskiego. Zamiast tych wszystkich wyszukanych słów odmalowujących wyjątkowe stany ludzkiej duszy, powiem po prostu, że na widok nagromadzonych dóbr oko zbielało wszystkim, i tym należącym do klasy robotniczej, i inteligentom, nie mówiąc już o

elementach drobnomieszczańskich.

Po obu stronach torów kolejowych ciągnęły się olbrzymie baraki magazy nów. Nieprzebrany tłum powstańców z domieszką cywilów wypełniał perony, tory i każdą wolną przestrzeń. Baraki były już obsadzone i obstawione przez żandarmerię AK, uzbrojoną i odzianą w niemieckie ochronne, wodoszczelne mundury, nakrapiane w różne odcienie zieleni i brązu, zwane panterkami. Żandarmi mieli na głowach polowe czapki z daszkiem, również nakrapiane. Wokół szyi uwiązali chusty w kolorze ostrożółtym, zgodnie z przedwojenną tradycją, kiedy to wojskową policję zwano kanarkami - od wypustek w tym kolorze. Brakowało im jedynie niemieckich hełmów, w posiadanie których można było wejść tylko na linii bojowej.

Magazynów było kilka. Wino, wódka, mąka, chleb, cukier, konserwy, mundury. Cywile oblegali głównie magazyny z żywnością. Powstańcy po cywilnemu stali szeregami tam, skąd się brało mundury. Przy magazynie z napojami wyskokowymi kłębił się tłum mieszany. Żandarmi odpędzali ludność i wpuszczali oddziałki powstańców w zasadzie tylko za przepustkami. Sądząc po ilości i nasileniu nieporozumień, system rozdziału nie został jeszcze udoskonalony i nie wszystkie przepustki były równie dobre. Wyglądało, że im lepiej uzbrojony oddział, tym lepsze miał przepustki. My nie mieliśmy żadnego papierka, ale wpuszczono nas po krótkich targach najpierw do magazynu odzieżowego. Na mundur lotniczy wcisnąłem panterkę, letnią bluzę i spodnie grubo watowane, takie właśnie, jakich brakowało Niemcom pod Moskwą zimą 1941 roku. Do plecaka włożyłem nakrapiany pokrowiec na hełm, opatrzony stalowymi szponami, aby go podmuch nie zerwał. Mnóstwo tu było ciepłego odzienia. Swetry, kalesony, rękawice, skarpety. Wybrałem watowany kaptur z tasiemką pod brodą w jasnobrązowe, brunatne i rdzawe cętki i plamki, jak jesienne liście. Oddał mi spore usługi, zanim wpadł w ręce Niemców. W środku odzieżowego baraku kręciło się nerwowo mnóstwo powstańców rozgorączkowanych widokiem nieograniczonego wprost wyboru. Stąpali po górach mundurów jak po sianie, jedni w poszukiwaniu najlepszego wyciągali uniformy leżące na spodzie i rozczarowani, szybko rzucali je poza siebie, sięgając po następny. Inni, niezdecydowani, usiłowali rozwikłać problem wciskając na siebie kilka mundurów, jako że żandarmi niechętnie pozwalali cokolwiek wynosić dla „chorych kolegów". Niektórzy przebierali się na peronach i na torach, aby uniknąć tłoku i zaduchu wewnątrz baraków. Panterki były prawie identyczne, a

różniły się jedynie rozmieszczeniem cętek i plam. Powiedzmy, jeśli ktoś miał czarny wąsik, mógł sobie życzyć bluzę z ciemną plamą tuż pod brodą dla symetrii, lub jasną dla kontrastu, ale poza tym nie było powodu przebierać, jeśli rozmiar był dobry. Po jednej stronie panterki miały kolory lata z przewagą zieleni, po drugiej kolory jesieni z przewagą brązu, można było nosić i tak, i tak. Pewna ilość kurtek, narzutek, peleryn miała kolory piaskowo-wyblakłe, dobre na pustynię, takie, jakie nosili żołnierze Afrika Korps [Oddziały niemieckie w Afryce] Rommla. Niektórzy kombinatorzy ledwo wyszli z magazynu, szybko się oddalali, ściągali panterkę na uboczu, dawali ją koledze do potrzymania i wracali po cywilnemu do kolejki. Żywność niezbyt mnie interesowała, niemniej widok jej był imponujący. Góry konserw, worów z mąką i bochenków wiecznie świeżego chleba. Najściślejszą, o ile w ogóle wolno użyć tego przymiotnika, była kontrola przy rozdziale win i wódek. Dawano tylko ileś tam butelek do dyspozycji dowódcy kompanii, ale i tak zdołaliśmy przeszmuglować po koniaku w plecakach z brązowym futerkiem. Pewnie z uwagi na nasze uzbrojenie żandarmi zrobili wyjątek, nie rewidując nas przy wyjściu. Butle skonfiskowanych napojów wyskokowych, rumów, koniaków, szampanów zalegały po obu stronach drzwi magazynu w takiej ilości, że i żandarmi nie mogli tego upilnować. Ten i ów próbował podwędzić im trunek wprost spod nosa, gdy wykłócali się z następną partią szmuglerów. Ktoś, komu żandarmi skonfiskowali nadmiar alkoholu, rozgoryczony cisnął butlą o beton. Wbrew temu, co się czyta i słyszy od naocznych świadków podobnych wydarzeń, tu nikt nie kładł się na brzuchu, by spijać francuski koniak, zanim wsiąkł w polską ziemię. Peronem, z wolna przepychając się przez tłum, sunęły wózki wyładowane puszkami, chlebem, mąką i wódką.

Wracając na Barokową zlewałem się potem pod trzema warstwami odzieży (ubraniem, mundurem Luftwaffe i wodoszczelną, watowaną panterką) oraz plecakiem. Przy szkole zastaliśmy zbiegowisko. To zabłąkany pocisk wybuchł w ogrodzie i odłamki ugodziły łączniczkę, która teraz leżała nieprzytomna, oddychając wolno i głęboko, ze świstem. Dostała w mózg.

Położywszy się i opłukawszy po wycieczce na Stawki, odpoczywaliśmy czyszcząc broń i odpruwając watę w panterkach. W magazynach były też i letnie, ochronne uniformy bez waty, ale ja w pośpiechu wziąłem pierwszy, który mi pasował, w obawie, że nie dla wszystkich wystarczy. Dziewczęta przyszły, odebrały nam panterki i dokończyły robotę. Stałem się więc posiadaczem ubrania cywilnego,

munduru lotnika i panterki. Takie już czasy - to tylko twoje, co na tobie. Spuścisz rzecz z oka, więcej jej nie zobaczysz. Szkoda mi munduru Luftwaffe; był świadkiem i dowodem początków mego nowego życia, brał udział w walkach na Woli. Drugiego takiego nie widziałem. Nową jak spod igły SS-mańską panterkę miał każdy. Wyrzuciłem ubranie. Do cywilnego życia przed końcem wojny i tak nie wrócę. Złoto wsypałem do wewnętrznej kieszeni kurtki Luftwaffe w przekonaniu, że stamtąd nie wypadnie. Portfel zaś przełożyłem do spodni Luftwaffe. Nie tylko grupa Wiernego, ale cały batalion nosi panterki zieloną stroną do góry. Ja po namyśle obróciłem jej brązowo-brunatno-rdzawe kolory na wierzch, lepiej pasują do cegły. Edek bluzę włożył tak jak ja, jesienią na zewnątrz, ale zatrzymał granatowe cywilne pumpy - podejrzewałem, że to z ostrożności. Gdy pierwszy raz przywdziałem panterkę, uderzyło mnie, jak świetnie jasnobeżowa matowa skóra butów pasowała do jej ochronnych kolorów jesieni.

Z drzemki zerwały mnie strzały. To Krypo, rozkładając szmajsera, wygarnął serię w ścianę. Zdarzyło się to nie pierwszy raz. Mówią, że mu broń sama strzela, ledwo tylko sięgnie po nią ręką. Dostaje koleżeńskie opeer, a ktoś śpiący pod samą ścianą wyczesuje teraz tynk z mokrych włosów. Krypo powinien się umieć obchodzić z bronią, bo pracując z polecenia Polski Podziemnej w Kriminalpolizei, miał prawo posiadania rewolweru. Dołączył do naszej kompanii, bo Wiernego ma za teścia. Mówił nam, że na trzydziestu paru jego kolegów -rówieśników, agentów niemieckiej Kriminalpolizei, po czterech latach pozostało przy życiu tylko ośmiu. Większość zginęła od kul polskiego podziemia. Spośród tych ośmiu paru pracowało dla naszego kontrwywiadu. Krypo opowiadał różne ciekawostki o niemieckiej policji i kontaktach z gestapo. Jedną z nich pamiętam. Jeśli policjant wyjął pistolet z kabury, by postraszyć ludzi, musiał strzelić choćby w powietrze, inaczej był karany. Bladość Krypo, uderzająca przy ciemnych włosach, pochodziła z gruźlicy. Od czasu do czasu wypompowywali mu wodę z boku. Wszyscy tu się znali od dawna, razem byli w konspiracji, razem też mieszkali na Sadybie. Choć Edka znałem od lat, wciąż czułem się w kompanii tylko zaadoptowany i uważałem bardzo, by służbistom nie nastąpić na odcisk, zwłaszcza Kobuzowi i dowódcom drużyn, podchorążym, Reńkowi Czarnocie i Kubie. Czas nam schodził na wylegiwaniu się i gadaniu o czym tylko się dało. Po pięciu latach szeptania po kątach przy zamkniętych drzwiach, publiczne mówienie w głos, cokolwiek

ślina na język przyniesie, upajało. Zaczynałem rozumieć, co to znaczy być pijanym wolnością. Najstarszego z nas, czterdziestoletniego mężczyznę w stopniu przedwojennego kaprala, zwą Stryjem; jest on stryjem Ryśka Wilita, tego, który ma angielskiego stena.

Stryjo i Wierny zgadali się o dawnych dobrych czasach. Służyli w tej samej dywizji w dwudziestym roku i opowiadają sobie o bojach na Białorusi, a my młodzi w kółko o naszej pierwszej wojnie - Towarowa, Chłodna, Krochmalna, Grzybowska, Nordwache. Wciąż coś nowego, ciekawego, nasłuchać się nie można. Łączniczki i sanitariuszki są zwykle na sali, więc, w miarę możności, uważamy na język.

Mój cętkowany à la jesień, watowany kaptur ze Stawek jest znakomity. Zawiązuję jego tasiemki pod brodą i żaden dźwięk do mnie nie dociera. Zwykły hałas mnie nie zbudzi, trzeba mną potrząsnąć.

Położenie wojskowe z godziny na godzinę wygląda mniej przerażająco. Cofaliśmy się z Woli, uważając się za straż tylną; w rzeczywistości uciekliśmy pierwsi. Dowiedziałem się o tym, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, od żołnierzy „Radosława", parę lat po wojnie. Gdy tylko pierwszy strach przeminął, zaczęła przeważać opinia, że Niemcy, przebiwszy sobie arterię do mostu Kierbedzia, zostawią nas w spokoju. Rozpisywała się o tym zresztą prasa wszelkich politycznych odcieni. W sumie analiza położenia nieprzyjaciela i własnego sprowadzała się do tego, że nieprzyjaciel atakował z zachodu na wschód, aby wywalczyć sobie drogę odwrotu ze wschodu na zachód. Gwałtowność natarcia dowodziła tylko, jak mu ta droga odwrotu jest niezbędna. Fakt, że Niemcy nie nacierają więcej, wskazywał, iż są całkowicie zadowoleni z dotychczasowych osiągnięć.

Wieczorem, z Edkiem na czele, odwiedzamy na dole sąsiadów z batalionu Łukasińskiego, by posłuchać radia. Ci, co przedkładają akcję nad gadanie, wypuścili się na miasto w poszukiwaniu dziewczynek. Właściciele radia mają coś wspólnego z prasą i wypełniają luki w naszej wiedzy o otaczającym świecie. Dowiadujemy się, że w czasie, gdyśmy się kotłowali z Niemcami na Woli, między pierwszym a szóstym sierpnia, Amerykanie rozpruli niemiecki front w Normandii i jadą na Paryż.

Do późnej nocy leżymy w parku pod drzewami omawiając wiadomości, przewidując bliższą i dalszą przyszłość. Delektujemy się krytykowaniem decyzji podjęcia walki. Dla każdego oczywisty jest

impas, w jakim zawisło Powstanie - nikt się nie śpieszy z pomocą; no, ale jakoś dajemy sobie radę. Podejrzewam, że w gruncie rzeczy więcej nas cieszy niż martwi ciężka odpowiedzialność, którą przywódcy narodu zrzucili na nasze barki.

Inteligenci spośród nas są bardziej skłonni przypisywać ZSRR apostolską misję niż synowie klasy robotniczej. Każdemu wiadomo, że radio Moskwa nawoływało do powstania przez trzy lata, stąd inteligenci wnioskują, że skoro dotąd żadna pomoc ze wschodu nie nadeszła, musi to być wina rządu emigracyjnego w Londynie. Żarzą się papierosy, zaciąga się, kto może. Przypalam i ja. Wtem sąsiad wyrywa mi papierosa niemal z ust, rozdeptuje i podaje innego. Nie wiem, o co mu chodzi.

- Kto trzeci przypala, zginie - wyjaśnia.

Robi to z takim przekonaniem, że wzruszam się. Obcy, a troszczy się o mnie. O papierosy już nie tak łatwo jak w pierwszych dniach. Pod czarnym niebem nakrapianym gwiazdami, przy odległych błyskach i grzmocie łatwo się rozmawia o życiu i śmierci. Jedno nabiera znaczenia, drugie uroku.

Nazajutrz rano w panterkach i, oczywiście, z bronią i z plecakami z futerkiem wypuszczamy się na miasto. Domy stoją jak przed wojną. Szyby w oknach. Starówka wygląda odświętnie. Tłumy cywilów pomieszanych z powstańcami przechadzają się raczej niż chodzą, ale głównie rozmawiają stojąc. Niewiele jest miejsca do spacerowania. Dziesięć minut zwykłym krokiem z placu Krasińskich w jakimkolwiek kierunku, z wyjątkiem ceglanej pustyni getta, a wyjdziesz na linię ostatnich polskich placówek. Za nią kraina wiecznego milczenia.

Niesamowicie wygląda to Stare Miasto po pięciu latach okupacji z powstańcami w niemieckich mundurach zamiast Niemców. Z gwarem rozmów prawie nieustannie miesza się melodia tej samej piosenki. Placem Krasińskich raz po raz przemaszerowuje nie dozbrojony lub nie uzbrojony oddziałek ze śpiewem na ustach. Niemal zawsze jest to „Żołnierz drogą maszerował". Słuchać nudno, a co dopiero samemu śpiewać kilkadziesiąt razy dziennie.

Inne narody zawodzą ponure i łzawe pieśni o śmierci na polu bitwy. Polacy, którzy najokropniejsze ponieśli straty, ułożyli sobie wesołą przyśpiewkę, która właściwie bez poprawek nadawałaby się dla przedszkolaków - o żołnierzu, który idąc na wojnę zabrał dziewczynie serce i schował je do plecaka.

A oto, co mu się przytrafiło w ostatniej zwrotce:

...i choć go trapiły wielce
kule, gdy szedł do ataku,
żołnierz śmiał się, bo w plecaku
miał w zapasie drugie serce.

Na placu Krasińskich stoi unieruchomiony tramwaj. Dla zgrywy wchodzi nas kilku do środka i bawimy się w pasażerów. „Konduktor" żąda pieniędzy grożąc, że tramwaj nie ruszy, dopóki nie zapłacą. Ktoś daje mu górala. Wychodzę na przednią platformę i dzwonię nożnym pedałem jak na odjazd. Potrzeba Powstania, by nadarzyła się okazja poprowadzić tramwaj, ale prądu nie ma. Później, na Starym Mieście, gdy ktoś sterczał na ulicy zamiast się schować, mówiło mu się - na co pan czekasz?... Na tramwaj?

Edek odnajduje swoją narzeczoną Hankę, która jest łączniczką czy też sanitariuszką przy żandarmerii AK. Dzięki temu Edek, ja i Bajkop stajemy się częstymi (do kilkunastu razy dziennie) gośćmi w gnieździe szerszeni bez żądeł, to znaczy w komendzie żandarmerii, w gmachu Sądu, tuż obok kościoła garnizonowego na rogu Długiej i Miodowej. Są tam też ładne siedemnastolatki: siostra Hanki Dzidka, Niunia...

Ich dowódca, niejaki major Bary, wielkim cieszy się u nich mirem. Oddziały na Starym Mieście nietęgo są uzbrojone, żandarmi jeszcze gorzej. W konsekwencji każda jednostka wystawia ochotnicze grupy wypadowe, a reszta, chce czy nie chce, musi się tylko przyglądać dziejowym zmaganiom. Oddział Barego naturalnie też ma swoją grupę wypadową. Dziewczyny opowiadają z uwielbieniem o dwóch nierozdzielnych przyjaciołach-bohaterach: Tygrysie i Bergmanie. Poznajemy ich wkrótce. Tygrys - śniady, wyższy, ciemne oczy, smoliste brwi, włosy zaczesane do góry, małomówny, demoniczny. Bergman - w drucianych okularkach na nosie, bladawy, rozgadany, wesoły. Jak wynika z ich opowieści, radzą sobie z Niemcami lepiej niż my na Woli, odnosząc dużo małych sukcesów. Może to i prawda, bo potykają się często nie z Niemcami, ale z własowcami i innymi najemnikami bez ojczyzny. Solą w oku żandarmów jest nasza broń i hełmy. Każdy z nas ma przynajmniej karabin, a Edek paraduje nawet ze srebrzystą błyskawicą, stenem polskiej produkcji. Mając do wyboru pomiędzy policjantem a żołnierzem, jakaż dziewczyna z sercem zawaha się? Skutek jest taki, że wkrótce jesteśmy mniej mile widziani przez męską część załogi, wyłączając Tygrysa, Bergmana i paru innych.

Jak to dobrze powiedziała Puff Muti, czyli kierowniczka

egzystencjalnego burdelu ze sztuki Geneta, zawód policjanta niewielu pociąga, bo w nim „władza jest, sławy nie ma".

W początkowym okresie koleżeństwa żandarmi wiele opowiadali o swoich osiągnięciach, dając do zrozumienia, że kurze spod ogona nie wypadli. O ile pamiętam, największe wrażenie zrobił kanarek, który pokazał siedemnaście nacięć na kolbie karabinu, po jednym na każdego zabitego Niemca. To było dużo więcej niż osiągnięcia całej kompanii Wiernego. Nie odczułem zazdrości wiedząc, że kłamie. Ku memu zdziwieniu z dumą oświadczył, że jego trofea składały się z aresztowanych folksdojczów, których osobiście zastrzelił. W imię jedności narodowej i aby podtrzymać dobrosąsiedzkie stosunki wyraziłem mu uznanie, choć nie wątpiłem, że przesadzał. Zawahałem się skrytykować go po tym wszystkim, co tu folksdojcze wyrabiali. Gdybym ja sam rozwalił bezbronnych więźniów, nie inaczej jak będąc w stanie zamroczenia alkoholowego, nikomu bym, poza księdzem, do tego się nie przyznał. Od żandarmów dowiedzieliśmy się więcej o położeniu na Starym Mieście niż od własnych oficerów. Niemcy zapadli w stan przed kapitulacyjnego letargu. Wehrmachtu ani śladu. Walczą tylko oddziały policji, SS i cudzoziemcy. Tych ostatnich łatwo zaskoczyć, byle co i uciekają, rzucając broń. Czołgi cofają się po pierwszej butelce z benzyną. Lotnictwo ledwo się pokazuje.

Powstanie wyrwało mnie z domowego kołowrotu. Spotykam ludzi śmiałych, z fantazją, niezwykłe dziewczyny, wspólne przygody robią z nas przyjaciół na zawsze.

Warszawa, którą teraz przemierzam, ma w sobie coś z przepastnej gęstwiny puszczy litewskiej. Część miasta znałem dotąd z widzenia tylko, od ulicy, nieraz tylko z okien tramwaju, teraz poznaję je od podwórek, gubiąc się nieustannie.

Edek okazuje się niezwykle utalentowanym narratorem. Nawet ja sam z napięciem przysłuchuję się jego opowieści o tym, jakeśmy to we trzech z Maniusiem zdobywali szpital na Woli. A cóż mówić o żółtodziobach, którzy nie wąchali ani prochu, ani trotylu. Wypełniam luki w narracji, gdy Edek popija wodę, nie po to, aby odzyskać siłę głosu, ale bardziej dla dramatyzacji. Bajkop, w poprzednim życiu Zbyszek Stankiewicz, jest mniej wygadany, za to mocny w piórze. Napisał parodię „Wesela" i inne rzeczy, choć ma tylko dwadzieścia lat. Moim popisowym numerem jest nocna obrona w sześciu na skrzyżowaniu Chłodnej z Wronią. Nie potrzebuję wiele zmieniać. Zaczynam od krajobrazu: pożoga, pełnia księżyca, gwiazdy, czarne

prostokąty okien, kłęby dymu, z jednej strony czerwone, z drugiej seledynowe. Cienie leżą pasmami w poprzek ulicy, iskrzy się czołg, sylwetki na tle ognia suną jak czarne żuki, bez końca wynurzają się z mroku i znikają w mroku. Strzelam, strzelamy, jeden leży, drugi, łamie mi się pazur wyciągu. Promocja w blasku pożaru przed frontem wystraszonej kompanii.

Kilkanaście lat później, przeczytawszy Hemingwaya „Krótki szczęśliwy żywot Franciszka Macombera" od razu wiedziałem, że to samo, co jemu w godzinę śmierci, mnie przydarzyło się owej nocy, najważniejszej nocy mego życia - kiedy pomimo lęku zagrodziłem drogę nie byle komu: sławnej armii niemieckiej - zdumiony, że bierze mnie ona na serio, a nawet obawia się.

Edka obrazoburcze skłonności i rosnący wpływ na młodych kanarków nie uszedł uwagi starszych kanarków.

Rano, gdy siedząc z Bajkopem pod murem na ławce w ogrodzie Krasińskich przy pałacu gawędziliśmy o świecie, życiu, przyszłości i Powstaniu, nagle zaświstało cienko i przeciągle. Kula karabinowa padła mi pod nogi, gorąca jeszcze, z ostrzem spłaszczonym o mur. Wziąłem ją na pamiątkę. Choć wyglądała na zabłąkaną kulę, odeszliśmy na wszelki wypadek.

Dowództwu zachciewa się bawić z nami w poborowe wojsko, pomimo że jesteśmy ochotnikami. Warta w bramie nie wypuszcza już nikogo z ogrodu na plac, obstawili również wyjście na Nalewki i z Barokowej na Długą. Wymyślają różne zajęcia koszarowe - musztrę, odliczanie, zbiórki, oczyszczanie terenu. Idziemy w kilkudziesięciu szeregiem: zbieramy błyszczące puszki po konserwach, aby nieprzyjaciel po ich ilości nie poznał, że tu jest nasza kwatera. Dla uproszczenia akcji puszek się nie podnosi, ale kopie przed siebie w kierunku najbliższego domu i wrzuca do piwnicy. Ogrodu nie wolno opuszczać pojedynczo, a tylko oddziałem w szyku marszowym, więc po południu organizujemy grupę zaopatrzeniową kompanii i robimy wypad w celu zdobycia alkoholu. Będąc uzbrojony, idę z paru innymi jako eskorta drużyny prowiantowej. W normalnych warunkach wojennych zadaniem eskorty jest zabezpiecznie konwoju przed napadem rabunkowym. Nie tutaj, na Starym Mieście.

Różne tyłowe władze, intendentury, policje, położyły łapę na magazynach, niechętnie rozdzielają ich zawartość oddziałom frontowym, a już prawie wcale ludności; w myśl zasady, że czego nie musisz dać dziś, daj pojutrze. Chowają dla siebie i na handel. Jeśli nie trzyma się z nimi sitwy, to kręcą ile wlezie, trzeba się wykłócać,

prosić, grozić. A jakich argumentów ma używać żołnierz, by przekonać policjanta, że mu się należy trochę lepsze jedzenie, papierosy i łyk wódki za to, że naraża własne zdrowie, ryzykuje przyszłość po to, by ci stróżowie magazynów mogli za jego plecami bezpiecznie kraść, pić, żreć, kurwić się i w dodatku udawać żołnierzy. Ten problem częściowo rozwiązaliśmy na Starym Mieście. Najbardziej wygadany z nas podchodził do wartownika i pokazywał odpowiedni papierek, prowokując wymianę poglądów. Jeśli rozmowa przedłużała się, a my, zamiast zawrócić z próżnymi rękami, nadal upieraliśmy się przy swoim, zazwyczaj pojawiał się zwierzchnik wartownika. To z kolei prowadziło do tego, co obecnie nazywają w języku dyplomacji *second round of talks* [druga runda negocjacji]. My, eskorta, dyskretnie, półksiężycem osaczaliśmy wartownika, obojętnym wzrokiem spoglądając w jego kierunku. Zamiast wprost w twarz lepiej patrzeć tępo w okolicę ucha, na ramię. Kolby karabinów pod pachą, lufy niedbale skierowane ku nogom i dolnym rejonom wartownika i jego dowódcy. Ani razu nie odeszliśmy z niczym, choć nieraz szło jak po grudzie.

Po straszliwym przepychaniu się poprzez tłum u wejścia warty puszczają nas do podziemi - miejsca sławnego na Starym Mieście z napojów wyskokowych pochodzenia zagranicznego, pod okupacją - *nur für Deutsche.* Przy blasku świec mienią się przytłumionymi kolorami butelki, luzem i w skrzynkach, od podłogi do sufitu, te omszałe, tamte lśniące, strzeliste o maleńkich łebkach, przysadziste o krótkim grubym karku, smukłe jak topole, szerokie u podstawy o długich łabędzich szyjach, kanciaste, okrągłe, owalne, płaskie. Dławi zaduch tylu spoconych ciał, śmierdzi przetrawioną wódką. Wartownicy patrzą na ręce, liczą, sił im brak, by się kłócić. Tyle zagranicznych nazw, nie wiadomo, co się za nimi kryje. Rozglądamy się za czymś francuskim, w tłoku nie widać szampana, więc bierzemy skrzynki koniaku. Udaje mi się przeszmuglować dwie butelki, a Barykadzie, proporcjonalnie do jego wymiarów, trzy.

Po powrocie do szkoły jedną butelkę wręczam kolegom, a skrzynki oddajemy do dyspozycji dowódcy kompanii, Lisa, który, o ile w ogóle porusza się, to o kulach, większość czasu spędzając na łóżku. Zdeponowany alkohol jest jakoby przeznaczony do użytku wszystkich, na czarną godzinę, dla pokrzepiania serc przed atakiem, dla ochłody, na rozgrzewkę, dla chorych, rannych i w umiarkowanych dozach jako multiwitamina. Lis oczywiście poznał mnie i natychmiast zasięgnął języka. Chodziło mu o karabin. Okazał pewne

niezadowolenie, że znowu jestem u Wiernego, ale nic nie powiedział, ponieważ oddział Wiernego został już przydzielony do jego kompanii jako pluton. Wybór koniaku okazał się nieudany. Smakował trochę jak bimber, którego nie znoszę; inni pili obojętnie.

Wałęsając się po ogrodzie napotykam kolegów z konspiracji przyodzianych w eleganckie panterki, choć z pustymi rękami: siedemnastolatków, kanoniera Hutnickiego z Puławskiej i kanoniera Sława z Chałubińskiego; podtatusiałego ojca dzieciom, kanoniera Zychlera z Łuckiej oraz spokojnego służbistę, trzydziestoletniego kaprala Jura, który już walczył w 1939 roku. Chwalę mu się, że też jestem kapralem i opowiadam, jak to się stało. Dowiaduję się więcej o losach naszej kompanii. Koledzy potwierdzają poprzednie, nie sprawdzone wiadomości. Podporucznik Kenar, piegowaty w granatowej cyklistówce, prowadząc ogień ze strychu, dostał w plecy wieloma odłamkami i prawdopodobnie nie żyje. Podporucznik Tytus o oczodołach à la Goebbels i podporucznik Tadzik, obaj ranni, zaginęli. Zaginęło także dwóch pozostałych z naszego działonu - młokos Orzeł i jego szwagier, żonaty z tlenioną blondynką, w której mieszkaniu miewaliśmy konspiracyjne zebrania. Już z dala łatwo odróżnić kudłaty łeb Groźnego. Gdy inni przybledli nieco od przeżyć na Woli, Groźny jest rumiany, jak pierwszego dnia w browarze Haberbusza. Sam zresztą powiada, że bez wódki oczy mu mgłą ze strachu zachodzą i jak nie wypije, to niedowidzi. Wielce jest popularny, nie da się nikomu zakrzyczeć. Czasem nawet mnie drażni swym lekceważącym podejściem do wszelkiej dyscypliny. Spośród tych, co niegdyś kręcili się po podwórzu browaru Haberbusza, tylko bardzo nieliczni weszli w posiadanie broni. Gdy przechadzam się z karabinem zawieszonym na ramieniu, coraz to ktoś mnie zagaduje. Nawet Groźny pierwszy mnie pozdrawia. Powstańcy uczą się strzelać z rewolweru na dnie wyschniętego basenu. Dziesiątki ich pobudowali Niemcy na skwerach i placach jako zbiorniki wody na wypadek masowych pożarów i uszkodzenia stacji pomp.

Wieczorem w piwnicy szkoły, u dziennikarzy z batalionu Łukasińskiego słuchamy radia, a potem wiedziemy długie rozmowy w przyległych krzakach o tym, że nawet nie licząc kapitulacji Niemiec, która wisi na włosku, sytuacja powstania jest lepsza niż Żydów w getcie przed półtora rokiem. Rosjanie stoją o 10 kilometrów, a nie o tysiąc, za Żydami nikt się nie ujął, nas popiera Zachód. Jest nas też więcej. Biorąc jednak pod uwagę stan uzbrojenia, uważamy, że przewaga liczbowa nad Żydami sprowadziłaby się tylko do tego, że

rozstrzeliwanie nas potrwałoby dłużej. Wszystkich oburza, że Mikołajczyk, zamiast dogadać się ze Stalinem, „bawi się w politykę". Na dobitkę polski komunikat z Londynu kończą grając „Z dymem pożarów". Czyżby już odpisali nas na straty?

Nagle strzeliły w górę kolumny światła, jasnoszare bliżej ziemi, i znikają w czerni pomiędzy gwiazdami. Odległy warkot samolotów, przeleciały - cisza, ale reflektory wciąż przeszukują niebo. Znów nadlatują, tym razem niżej, nad nami. Niemcy złapali samolot w światła reflektorów. Wznoszą się z ziemi dziesiątki iskier, suną mu na spotkanie. Umknął im, znów go łapią, jeden reflektor przekazuje go drugiemu. Iskry sypią się ze wszech stron ogarniając maszynę, całymi łańcuszkami płyną po niebie, przyćmiewają gwiazdy, mijają, gasną. Znowu uciekł, tym razem na dobre. Na próżno nasłuchujemy warkotu. Może zawrócili do Anglii z powodu silnego ognia artylerii przeciwlotniczej?

Od rana wszystkie wyjścia z ogrodu obstawili wartownicy, bez przepustki nie puszczają. Aby przedostać się przez mur od północy do getta i obejść straże, potrzeba było dwóch drabin. Szczyt muru pokrywała warstwa tłuczonego szkła, umocowana w cemencie w pozycji na sztorc, można było porządnie pokaleczyć się straciwszy równowagę. Oficerowie wylegli na ogród. Sierżanci i podporucznicy wykrzykują komendy. Najstarsi rangą spacerują sobie, przystaną, popatrzą, obsztorcują. Sosna da krótkie opeer; Kamień głędzi, czepia się, wydziwia, pogania, gęba mu się nie zamyka. Godziny schodzą na nieproduktywnym obijaniu się i czynnościach koszarowych: zbiórkach, musztrach, odliczaniu, salutowaniu, czyszczeniu broni, przesuwaniu łóżek, spisywaniu numerów karabinów i rewolwerów, dat urodzenia, prawdziwych nazwisk, adresów zamieszkania i kogo powiadomić w razie śmierci. Lada dzień mamy otrzymać legitymacje Armii Krajowej. Korzystając z nadmiaru czasu staram się dojść, kto rąbnął mój hełm i wydaje mi się, że Pietrek. Przedtem nie miał żadnego, a teraz nie wiadomo skąd mu się wziął piękny, niemiecki hełm, taki sam jak mój. Oczywiście Pietrek nie przyznaje się i dla świętego spokoju wolę dać za wygraną. Wciąż czuję się jak adoptowane dziecko. Po prawdzie poza tym, że razem bez strzału ustępowaliśmy z Woli, nic nas nie łączy. Ktoś mi daje hełm LHD, niemiecki, ale strażacki, cienki i płaski, nie siedzi dobrze na głowie i niezbyt twarzowy. W ogrodzie rozpoznaje mnie podchorąży Sław, ten, któremu por. Klim kazał zamienić karabiny ze mną. Jest wyraźnie ucieszony ze spotkania, ja zaś od razu okazuję taką

wrogość i nieustępliwość, nie wypowiedziawszy nawet słowa, że Sław z miejsca smutnieje. Pyta, co działo się ze mną owej nocy na Wroniej. Bąka coś o zamianie. Zaniepokoiłem się, że teraz, kiedy mnie odnalazł, spróbuje przez Lisa odebrać mi karabin.

Nasze rozgoryczenie, spowodowane ograniczeniem swobody spacerowania, wzmagało się z godziny na godzinę. Za to w kołach zbliżonych do dowódcy kompanii - włączając jego osobisty pomocniczy personel kobiecy - dało się zauważyć wzrastające zadowolenie z życia, rozbawienie, pewność siebie, gadulstwo, zarozumialstwo, zaczepliwość. Gdy słońce stanęło w warszawskim zenicie, postępujący paraliż ogarnął co słabszych i niewątpliwie przyszła czarna godzina na koniak zdeponowany w dowództwie kompanii.

Kawka, Pietrek, Cygan, Góral i Jasio Sokół dowiedzieli się już od miejscowych dziewczyn jak się wymknąć z ogrodu obchodząc warty. Tędy, gdzie na skraju ogrodu stały domki i przybudówki, latryną można było przejść na tyły wielkiego gmachu Pasażu Simonsa, a stamtąd podwórkami na Długą. Edek i ja skorzystaliśmy z informacji. Ulica Długa w okolicy placu Krasińskich przedstawiała podobny stan rozbawienia co ogród. Żandarmi na chwiejących się nogach próbowali, na podstawie braku przepustek, rozbrajać powstańców o słabych głowach jako dezerterów. Rewidowali kobiety, szukali spekulantów wśród ludności cywilnej i wyraźnie bawili się w niemiecką policję. Starsza kobieta stojąc obok Archiwum Akt Dawnych szlochała, bo odebrali jej jajka. Mężczyzna jakiś podszedł do mnie, błagając o pomoc, bo dom, gdzie był dozorcą, zaczął się palić, a tłum ludzi rzucił się do rabowania i przeszkadzał w gaszeniu ognia. Edek gdzieś się zapodział. Inny nie znany mi powstaniec z bronią dołączył do nas i podążyliśmy za dozorcą. Na widok karabinów szabrownicy rozpierzchli się sprzed domu. Ruszyliśmy ku strychowi na akcję oczyszczenia klatki schodowej. Kolbą wskazywałem domniemanych szabrowników; stróż, zamiast po rzymsku obracać kciuk w górę lub na dół, mówił: nasz lub nie nasz, a ja spuszczałem schodami w dół kogo należy. Przyłapaliśmy dziewczynę na gorącym uczynku, gdy wychodziła z cudzego mieszkania z łupem; przyłożyłem jej kolbą w plecy. Spełniwszy dobry uczynek, odprężony nieco, wróciłem na deptak, czyli odcinek Długiej między Miodową a Freta, gdzie ześrodkowało się w tych dniach życie towarzyskie Starówki. Wpadłem na Edka, który był w takim stanie, jak ja przed pół godziną w czasie akcji oczyszczającej. Właśnie

żandarmi nie pozwolili mu odwiedzić Hanki bez przepustki. Na to Edek wyjawił im, co naprawdę myśli o ich wartości bojowej. Doszło do szamotaniny. Wyleciał oficer, usiłował mu zabrać błyskawicę. Edek chciał, byśmy obaj, jak mówił, pokazali tym złodziejom, gdzie raki zimują. Odciągnąłem go na stronę.

Przybiegli cywile błagając o pomoc. Gdzieś Ukraińcy wpadli i mordują. Zebrało się nas sześciu uzbrojonych: jeden powstaniec od Klima, często go widywałem aż do końca Pasażu Simonsa, oraz trzech innych. Ruszyliśmy za przewodnikiem. Najpierw były domy zamieszkałe, potem opuszczone, następnie weszliśmy na zadymione podwórza. Kto miał, zasunął na oczy ochronne okulary. Posuwaliśmy się pod ścianami, coraz wolniej, noga za nogą, bacznie rozglądając się w gęstniejącym dymie, aby nie wpaść w zasadzkę. Nasza wędrówka dobiegła końca w bramie przy Senatorskiej. Na prawo otwierał się pusty i okopcony plac Teatralny. Przewodnik wskazał dom naprzeciwko. Stoimy, patrzymy, rozglądamy się i kręcimy w miejscu. Wtem Edek wysunął się na chodnik i od razu odgadłem, o co mu chodzi. Chce sprawdzić, tak jak ten Niemiec pod Nordwache, czy i skąd jest ostrzał. Liczę ułamki sekund, Edek pewnie robi to samo. Widać, że jest zdenerwowany. Nikogo nie nabierze. Wytrzymuje parę sekund i skacze susem w bramę. Strzału nie słychać. Ustawiamy się szeregiem w bramie - biegiem na drugą stronę ulicy i ostrożnie wsuwamy się na podwórze przy Senatorskiej 19.

Elegancka kamienica, wypalona, tylko część w głębi podwórza jeszcze płonie. Ze zgliszcz na bokach unosi się lekki dymek. Na prawo pod ścianą leżą mężczyźni, kobiety i dzieci, ciasno, jeden przy drugim, głowami ku ścianie. Dziury w czołach, ubrania spopielałe, ciała małe, skurczone, sprawiają wrażenie drewnianych lalek. Trupowi opaliły się spodnie i sterczy ku górze kutas.

Jeden z powstańców odezwał się.

- O, moje mieszkanie teraz się pali.

Zaniepokoiłem się, dookoła Niemcy, lada chwila pojawią się w wypalonych oknach, a my stoimy jak barany pośrodku podwórza. Innym zapewne to samo przyszło do głowy. Zawróciliśmy i skokiem przez Senatorską.

Edek przyniósł z komórki wywiadu poufne wiadomości o sytuacji po niemieckiej stronie. Otóż cały teren gęsto obsadzał Wehrmacht i nie było mowy o przebijaniu się do Śródmieścia. Do walki używane miały być tylko SS i policja, choć nic nie wskazywało na to, że

Wehrmacht buntował się. Edkowi proponowano przedostanie się na niemiecką stronę z fałszywymi papierami. Mówił, że podał mnie jako swego kompana. Udając Ukraińców, mielibyśmy obaj zgłosić się do Niemców, rozejrzeć się i wrócić na Stare Miasto. Jakże udawać Ukraińców, skoro znamy tylko rosyjski? Niemniej propozycja była interesująca. Edek, świetny aktor, obdarzony zdolnościami językowymi – mówi płynnie także po niemiecku, francusku i angielsku - może jakoś dałby sobie radę, ale nie ja.

Wieczorem tradycyjnie słuchamy radia u sąsiadów w piwnicy. Amerykanie rozpruli niemiecki front na dobre, a żartownisie z Londynu chyba mają zamiar zmienić hymn narodowy, z .Jeszcze Polska nie zginęła" na „Z dymem pożarów". Nocą należy zgodnie z regulaminem wypoczywać, a nie gadać czy włóczyć się, więc o ustalonej godzinie wszyscy mają być w sypialni, poprzednio sali szpitalnej, a jeszcze przedtem klasie szkolnej. Sprawdzają, czy nikogo nie brakuje w łóżku. Sami zresztą sprawdzamy; jeśli chodzi o spanie dyscyplina jest dobra. Oczywiście latarek nie wolno używać, więc każdego wieczora układam swe rzeczy dokładnie w tym samym miejscu: pas z ładownicami zawieszam nad głową na poręczy łóżka, mundur kładę na stoliku, buty - a w każdym skarpeta - stoją przy nodze łóżka, karabin ze mną pod kocem. Przeprowadziłem kilka prób szybkiego ubierania się po ciemku z pomyślnym rezultatem.

Zagospodarowanie nowych kwater zajmuje znaczną część dnia. Resztę spędzamy na placu Krasińskich. Znając okolicę, łatwo obejść warty. Olbrzymiego Pasażu Simonsa z mnóstwem drzwi i okien we wszystkich kierunkach - nie upilnują. Pomimo wczorajszego incydentu, stosunki z żandarmami są poprawne, a dziewczyny miłe jak zawsze. Tyle już jest do obgadania i słuchania, że dni i nocy nie wystarczyłoby, a tematów wciąż przybywa.

Późnym wieczorem, jak zwykle, kilku z nas odwiedza piwnicę szkoły, by posłuchać Londynu, zasięgnąć wiadomości i podyskutować z naszymi przyjaciółmi z prasy - parę osób, w tym dwie kobiety. Są to ludzie dorośli, starsi i zapewne dość wysoko postawieni w hierarchii Polski Podziemnej. Mówią rozumnie. Wątpię, czy w innych warunkach bratałiby się z nami; może z Edkiem, który się wszędzie wkręci i każdemu zaimponuje, może z intelektualistą Zbyszkiem Bajkopem, wątpię czy ze mną. Czasami wydaje mi się, że więcej wiedzą niż mówią i że tolerują nas, młokosów, tylko dlatego, ponieważ od naszych karabinów zależy ich przyszłość.

W okresie zastoju w działaniach wojennych kronika oddziału

Wiernego odnotowuje tylko jedną akcję zbrojną i to zakończoną powodzeniem. Wałęsając się po placu Krasińskich, Krypo natknął się na swego byłego kolegę, V-mana *(Vertrauensmann* - człowiek zaufania) z Gestapo, który też nosił biało-czerwoną opaskę. Dalszego przebiegu wypadków dokładnie nie pamiętam. Czy to V-man najpierw mrugnął porozumiewawczo do Krypo, a Krypo odmrugnął, aby go zwieść i sięgnął po szturmowe parabellum; czy też Krypo mrugnął pierwszy, a V-man rzucił się do ucieczki; dość, że został pojmany. Trochę się ze zwycięstwa Krypo nabijano, zwłaszcza Edek. Zresztą, jeśli nie krytykowano, to wyśmiewano się prawie z każdego, gdy tylko nadarzyła się po temu choćby najmniejsza okazja.

Rezerwa strategiczna

Następny dzień rozpoczął się od kawy z chlebem i konserwami. Potem zbiórka poza budynkiem szkoły. Oddział Wiernego wyróżniał się od reszty kompanii długą bronią, hełmami i plecakami niemieckiej policji ozdobionymi brązowym futerkiem. Kazano złożyć plecaki w kupie na schodach i ktoś miał ich pilnować do naszego powrotu. Nauczony doświadczeniem z hełmem, nie posłuchałem. Wkrótce całą kompanią szybko odmaszerowaliśmy. My z sierżantem Wiernym na czele, reszta pod dowództwem podporucznika Mariana, którego zaledwie odróżniałem spośród tylu twarzy, i to tylko dzięki gwiazdce.

Oficerowie nosili odznaki, ale reszta nie przypięła sobie żadnych dystynkcji, skutkiem czego nie było wiadomo, kto jest sierżantem, a kto strzelcem. Ten zwyczaj przetrwał do końca walk na Starym Mieście. Przeważała opinia, że nie jesteśmy żołnierzami, ale partyzantami, i że wszyscy są równi. Rozkazy wykonujemy dobrowolnie, a nie z przymusu, jak żołnierz poborowy. Salutowania było sporo na początku, ale z nasileniem walk podupadło i ustało. Salutowano całą dłonią, jak to czynią Niemcy i inne narody, a nie trzema palcami - Bóg, Honor i Ojczyzna - według obowiązującego regulaminu. Tylko oficerowie, i to nie wszyscy, oraz starsi wiekiem powstańcy przestrzegali tradycji Wojska Polskiego.

Wśród wzrastającego upału szliśmy szybko uliczkami niedaleko getta. Coraz to pojawiali się nieznani oficerowie. Pośpiech wskazywał, że to nie przelewki. A już byłem pewien, że resztę Powstania spędzę obijając się pomiędzy ogrodem a placem Krasińskich. Miałem jak najgorsze przeczucia i przeświadczenie, że

to już nie harcerstwo, to wojna - będą zabijać. Po drodze dowiedzieliśmy się, że Niemcy zajęli Stawki i będziemy je odbierać. Marsz zakończył się w dużej kamienicy, jakoby przy ulicy Rybaki. W rzeczywistości Rybaki leżą gdzie indziej.

Usiedliśmy w bramie wzdłuż ścian. Podwórze pełne było powstańców. Ani żywego ducha na ulicy, by nie zdradzić koncentracji. Gawędzimy o tym i owym, przysłuchując się ostrej i niedalekiej kanonadzie. Wierny mówi więcej niż zwykle. Jeszcze raz sprawdzam magazynek, zamek, ładownicę i poprawiam mój nowy granat powstańczej produkcji, zwany sidolówką. Nazwa pochodzi od blaszanej butelki po sidolu, płynie do czyszczenia szyb, którą wypełnia się trotylem z niemieckich niewypałów. Na butelkę naciska się żelazną koszulkę nacinaną w kostki, co ma dawać straszliwe odłamki.

Ogień prysnął na cemencie przy wejściu do bramy. Wierny zerwał się na równe nogi, pomieszany, z wylęknioną twarzą. Na kilkunastu siedzących tylko dowódca oberwał - w bark. Kobuz objął komendę. Drugi granatnik spadł na podwórze, gdzie stało wielu powstańców, ale nie wybuchł. Zaledwie schowaliśmy się wszyscy na klatce schodowej, pojawił się kapitan Kamień. Na jego rozkaz ruszyliśmy naprzód za przewodnikiem: biegiem przez ulicę, potem minkami, remizą tramwajową. Gwałtowna strzelanina nasiliła się. Zatrzymaliśmy się pomiędzy ścianami bez dachu, czy raczej przepierzeniami, zrobionymi z trocinobetonu. Zwykła kula mogła je przebić. Ssało mnie w żołądku. Włożyłem do ust kilka kostek cukru. Słyszałem, że na olimpiadzie maratończycy tak się pokrzepiali. Żar lał się z nieba, nie było przewiewu. Całe ciało miałem skąpane w gęstym, kleistym pocie. Znowu ruszyliśmy szybkim krokiem. Wkrótce otwarła się przed nami wolna przestrzeń - skarpa, a w dole zieleń ogródków działkowych. Nie odróżniało się poszczególnych strzałów, tylko warkot. Dławił mnie lęk; wiedziałem, że to się źle skończy. Czułem wibrowanie powietrza na twarzy. Ani muru, ani osłony, poza krzakami i drzewkami. Stojący na skarpie oficerowie wskazywali kierunek natarcia i poganiali. Jeden z nich wrzasnął na mnie:

- Ten w okularach, prędzej, nie bać się!

Zbiegłem w dół i padłem wśród krzaków. Za chwilę zgromadziła się część grupy Wiernego. Kobuz poprowadził. Zerwaliśmy się i po kilkunastu metrach znowu padliśmy na ziemię. Czołgamy się wśród jabłoni, grusz, śliwek, słoneczników, pomidorów; po kartoflach, marchwi, pietruszce, burakach. Gdy leżąc unoszę głowę, mój hełm

Luft-Hilfs-Dienst zsuwa mi się na oczy i muszę go raz po raz poprawiać. Tu i ówdzie stoją murowane budki działkowiczów. Staram się przeskakiwać od jednej do drugiej. Stryjo wymyśla nam, że zdradzamy kierunek ataku, każe nam biec zygzakiem. Nie wiem, o co mu chodzi. Przecież Niemcy i tak wiedzą, że na nich biegniemy. Jego wrzask trochę dodaje mi otuchy. Pocę się straszliwie pod wełnianym mundurem lotnika i wodoszczelną panterką.

Do tego plecak ciuchami wypchany, a w nim butelka koniaku. Pali mnie i drapie w środku. Język klei się do podniebienia, cukier z braku śliny ledwie się rozpuścił, gęsty syrop ścieka w dół gardła, krztuszę się - ani połknąć, ani wypluć - obym miał wodę zamiast wódki. Sidolówka zawadza. Pot zalewa okulary, spływa na oczy. Wciąż muszę ocierać czoło i brwi, poprawiać hełm, inaczej niedowidzę. Hełm LHD dla strażaków dobry, schodzi w dół aż do pleców, ale do czołgania się nie nadaje. O strzelaniu do Niemców nie ma mowy, bo i nie wiadomo, gdzie są, i przez gąszcz nic nie widać. Oglądamy się na skarpę, skąd ruszyliśmy, i biegniemy w przeciwnym kierunku zygzakiem. W końcu i skarpa skryła się za liśćmi. Stryjo i Kobuz podrywają się pierwsi, uważają, byśmy się posuwali linią i nie pogubili w gąszczu, ale i tak grupa się zmniejsza. Nie ma Edka. Widoczność niewielka, na kilkanaście kroków. Cały teren rozpada się na maleńkie poletka warzywne okolone krzakami agrestu, porzeczek, malin. Mnóstwo niskich drzewek owocowych i słoneczników. Uspokajam się coraz bardziej i nawet zaczyna mi się to podobać. Jak dotąd, pomimo huku, nikomu krzywda się nie stała. Już się nie podrywamy z ziemi, tylko czołgamy. Zdawałoby się, że to nie do nas strzelają, gdyby nie to, że czasem gruszka spadnie, śliwki się sypną, zaszeleści coś w koronie drzewa i zielony liść zawiruje w powietrzu. Wysokie podpórki od pomidorów wyskakują z ziemi. Któryś, leżąc na plecach, próbował dobrać się do jabłek; ledwo pierwsze kolbą strącił, inne same się posypały. Małe chmurki dymu wykwitają na wysokości kilkunastu metrów, daleko poza nami. W ochronnych mundurach musimy być niewidoczni.

Pełzając dotarliśmy do skraju ogródków działkowych. Przed nami dolinka porosła trawą, rozdarta siatka druciana i na podniesieniu trzy budynki: biały, czerwony i różowy. Czterdzieści metrów otwartej przestrzeni. Przypłaszczeni do ziemi wypatrujemy Niemców. Teraz, szykując się do szturmu, zauważyłem brak sidolówki - musiała się odczepić przy czołganiu przez krzaki. Kobuz poderwał się, przebiegł już jedną trzecią i nie padł. Widząc to, my też się podnosimy i

pędzimy za nim. Za chwilę wpadamy między budynki. Po lewej stronie, na końcu toru, już są powstańcy. Wbiegli na chwilę przed nami. Na peronie stoi szybkostrzelne dwudziestomilimetrowe działko wycelowane w stronę ogródków działkowych, a obok ogromne usypisko wystrzelonych łusek złocistomiedzianych. Włożyłem jedną na pamiątkę do lewej kieszeni panterki, nie wiedząc, że było to jedno z najważniejszych posunięć w mym życiu. Działko okazało się bezużyteczne, obsługa uciekając wyjęła zamek. Magazyn z mąką stał w płomieniach. Gdy podziwiałem łuski, za moimi plecami przenieśli Orzecha. Wpadł pierwszy na tory i dostał w głowę. Chciałem sprawdzić, czy go znałem i jak wygląda po śmierci, ale już odeszli za daleko. „Nasza wiara" dobrała się do magazynu z wódką. Sosna zatrzymał dwóch ze skrzynką koniaku, sam podniósł ją w górę i upuścił na cement. Kazał cofnąć się w krzaki, gdyż zbyt wielu powstańców zgromadziło się przy torach; nie zdążyłem więc zobaczyć drugiej armaty, siedemdziesięciopięciomilimetrowej, która także wpadła w nasze ręce. Kapitan Kamień rozprowadził nas po stanowiskach. Mnie wskazał miejsce dokładnie na skraju dolinki, w połowie drogi między torem a krzakami, w punkcie zewsząd widocznym; prawie jak na dachu czy na szafocie. Nie przeszło parę minut, gdy usłyszałem sapanie parowozu. Pociąg pancerny powoli wytaczał się spoza baraków od strony Dworca Gdańskiego. Stawał, cofał się, wahał, jakby ustawiał się.

W ciągu tych dziesięciu dni człowiek tak już odwykł od normalnych hałasów cywilizacji, telefonu, gramofonu, klaksonu, megafonu, iż zrazu sądziłem, że się przesłyszałem; no bo co może robić pociąg na linii frontu. Z pociągiem kojarzę podróże, wakacje, Bałtyk, Tatry... sosny migają tuż poza oknami wagonu, łany zbóż powoli suną wstecz, krowy oglądają się leniwie.

Pierwszą moją myślą, szczęśliwie przelotną, było, że to towarowy pociąg omyłkowo wjechał na zły tor. Potem obróciłem się i dałem nura w krzaki. Powoli uczysz się, że zbliżającą się śmierć może zwiastować wszystko: świst pary, warkot motoru, stąpanie, a nawet cisza.

Nadleciały meserszmity i ostrzelały ogródki działkowe poza nami aż do skarpy. Spóźniły się pół godziny. Leżąc na plecach przyglądaliśmy się spod jabłonek i słoneczników jak zniżają się nad naszymi głowami, zataczają kręgi i znów nurkują. Pokręciły się i odleciały.

Wrócił Kamień i rozdarł się.

- Tu ma być chłop - mnie miał na myśli - tu postawiłem chłopa, gdzie on jest?!

My mu grzecznie, jak wariatowi, tłumaczymy, że pancerka podjechała, a on w kółko swoje - „tu ma być chłop".

Wymiana poglądów z Kamieniem wyglądała podobnie, jak w dwuwierszu:

Gadaj chłopu święte słowa, a chłop na to, moja krowa.

W końcu Kamień postawił na tym samym miejscu innego powstańca, który, jak tylko Kamień oddalił się, zszedł ze stanowiska bojowego w krzaki, zapewne przedłużając tym swoje życie.

Leżeliśmy w krzakach przez godzinę lub dwie. Baraki, zawierające dobra jeszcze nie spalone, zabezpieczono wartami żandarmerii. Paru tramwajarzy, którzy nam towarzyszyli jako przewodnicy, zostało zastrzelonych na terenie ogródków działkowych, bo nie zamienili swych granatowych mundurów na ochronne panterki.

Ledwo dotarliśmy do Pasażu Simonsa dumni ze zwycięstwa i ze zdobycia dwóch armat, przyplątał się do nas wszędobylski Kamień. Zaczął od musztry i dał nam opeer, gdy dwóch zrobiło w tył zwrot przez prawe ramię. Ku memu zdziwieniu nikt nie ukradł plecaków i niepotrzebnie nadźwigałem się, nie rozstając się z moim.

Zdobyczna armata o stosunkowo krótkiej lufie, z osiemdziesięcioma pociskami, została własnością kompanii Lisa. Według pierwszej wersji miała kaliber 50 mm. Prasa staromiejska podała 55, a potem jakoby się okazało, że to była siedemdziesiątka piątka... Widać nikomu nie przyszło do głowy, by zmierzyć średnicę lufy przy pomocy linijki. Prasa także doniosła, że zamek się zaciął i dopiero wezwani specjaliści dokonali naprawy. Korespondenci terenowi często posuwali się tuż za pierwszą linią bojową i możliwe, że informacje o zepsutym zamku otrzymali od powstańców, którzy nie umieli obchodzić się z armatą. Było to jedyne działo na siedem tysięcy powstańców odciętych na Starym Mieście, co prawdopodobnie odpowiadało wyposażeniu w artylerię w połowie piętnastego wieku, mniej niż Turcy użyli przy oblężeniu Konstantynopola w 1453 roku. Gustavus Adolfus w 1630 roku miał sześć armat na każde tysiąc żołnierzy.

Od razu zwerbowano obsługę działa, pięciu czy sześciu chłopców pod dowództwem podchorążego, którego pseudonimu nie pamiętam. Z wyjątkiem trzydziestolatka kaprala Jura. człowieka rzeczowego, służbisty unikającego przechwałek, załoga była nie tylko niedoświadczona, ale małego serca - tak mi się wtedy wydawało.

Namawiali mnie, bym się do nich przyłączył, ale bardziej podobało mi się być przy piechocie. Wolałem, jakby to powiedzieć, beztrosko hulać z karabinem, niż przytroczyć się do armaty. Działo stało się oczkiem w głowie i nie straciło na popularności nawet wtedy, gdy się przekonano, że nie przechyli szali zwycięstwa na naszą stronę.

Fotografowano je nieustannie razem z obsługą, która w ten sposób przeszła do nieśmiertelności.

Przychodzili także powstańcy z innych oddziałów i cywile, aby sobie zrobić zdjęcie przy armacie. Tak, jak to niegdyś fotografowano się w ogrodzie zoologicznym obok żyrafy, gładząc słonia po trąbie, czy na wielbłądzie.

Z przyczyn do dziś niezupełnie zrozumiałych unikałem aparatu fotograficznego i wkrótce może nie będzie żadnego dowodu, że brałem udział w Powstaniu, poza jednym zdjęciem pod ścianą szkoły, gdy po mszy polowej ksiądz kapelan błogosławił nas na bój. Poza kapelanem można rozróżnić twarze Edka, Pietrka, Czarnoty, Wilita, Jabłońskiego, ppor. Mariana, Wiernego, Anki, Zosi Kos. Ja stoję tyłem do fotografa i poznaję się po jasnych włosach, kształcie głowy i odstającym prawym uchu.

Kapral Jur, choć nie był dowódcą, niemniej stał się duszą naszej artylerii, aż jej los się dopełnił. Na fotografiach on tylko wygląda na żołnierza, a reszta załogi na przebranych cywilów.

Pod wieczór wyroiliśmy się na miasto, to znaczy głównie na plac Krasińskich, przed Kościołem Garnizonowym i Długą do Freta. Pod ścianą sądu stało kilkunastu mężczyzn, w pasiakach i po cywilnemu, nie udzielając się towarzysko. Nie znali polskiego. Przed paru dniami nasi odbili ich, kilkuset Żydów, z obozu na Gęsiówce w getcie. Poszło tak szybko, że Niemcy nie zdążyli ich wymordować. To się nazywa uciec grabarzowi spod łopaty. Znalazłem mówiącego po francusku. Niektórzy byli aż z Grecji. Z braku broni dołączyli się do brygad roboczych AK. Było to moje pierwsze spotkanie z cudzoziemcami z egzotycznych krajów. Nawet nosiłem się z zamiarem wzięcia adresu, by spotkać się po wojnie gdzieś pod słonecznym niebem Morza Śródziemnego. Jednak los pokierował inaczej, jak lubią mawiać Polacy. Mój przedwcześnie zgasły kolega był zdania, że los odgrywa podobną rolę w życiu człowieka, co woda destylowana w reakcji chemicznej.

Nie wiem, co przeważało tego dnia: duma z własnych osiągnięć, czy pogarda w stosunku do innych oddziałów. My - od Lisa, z pomocą innych kompanii batalionu „Chrobry" - błyskawicznym

szturmem odbiliśmy w pół godziny Stawki, których nie potrafiła utrzymać żandarmeria i inne oddziały. Tryumf wydawał się tym okazalszy, że ostatnio Dworzec Gdański był najżywiej dyskutowanym odcinkiem frontu Starego Miasta, ponieważ tędy wiodła droga na Żoliborz i do Kampinosu. Różne oddziały, włączając „Parasola", który naszym zdaniem reklamował się bezwstydnie, szturmowały dworzec bezskutecznie dniem i nocą. Stawki były jego bocznicą.

Dwadzieścia lat później przeczytałem, jak to naprawdę było. Gdy Lis biegł przez ogródki działkowe, decydujący bój o pół kilometra od nas stoczył „Radosław", przebijając się z okrążenia z cmentarzy na Woli przez getto na Stare Miasto. Od flanki zaskoczyli niemiecki batalion, który ich odciął. Po piętnastominutowej walce odrzucili nieprzyjaciela, jakoby tracąc sześćdziesięciu poległych i tyluż rannych. Podczas gdy my setkami gąb trąbiliśmy, że Niemiec nie taki straszny i przeciw „Chrobremu" się nie ostoi, prawdziwych zwycięzców nie było słychać. Zapewne odpoczywali po jedenastodniowym nieustannym boju.

Nocą budzę się nagle z poczuciem, że świat się kończy. Seria straszliwych podmuchów wstrząsa budynkiem. Wciskam buty na gołe nogi, zarzucam pas z ładownicami na szyję, karabin w garść, spodnie w drugą i biegnę w dół. Tak to zapoznaliśmy się z „szafą", sześciolufową wyrzutnią rakietową. Cała salwa wyrżnęła w sąsiedni budynek szkoły i zmiotła górne piętro, na szczęście nie zamieszkałe. Gdyby trafili w naszą kwaterę pod dachem, byłby to koniec oddziału Wiernego. Niemcom pomyliły się bliźniacze domy. Tym trudniej było to zrozumieć, ponieważ w tym czasie Starego Miasta jeszcze nie ostrzeliwano.

Tajemnica wyjaśniła się po dwudziestu latach, kiedy przeczytałem, że Naczelna Komenda Armii Krajowej z generałem Borem znajdowała się obok nas, właśnie w trafionym budynku szkoły, ale w piwnicy. A więc dlatego popędzano nas do zbierania w tej okolicy błyszczących puszek po konserwach. W czasie Powstania nie przyszło mi do głowy, by wywiad niemiecki działał po naszej stronie. Dziś wciąż nie rozumiem, dlaczego nie strzelili jeszcze raz - chyba że po każdej salwie należało celować od nowa, a było ciemno. Być może nieprzyjaciel uważał, że naczelny dowódca za dnia obchodził odcinki bojowe, a nocą, zamiast gnieździć się w dusznej piwnicy, pod osłoną ciemności wypoczywał na górnym piętrze oddychając świeżym powietrzem parku.

Według oficjalnej wersji, wówczas poufnej i dostępnej tylko

najbliższemu otoczeniu, komendant Bór, po odwrocie z Woli na Stare Miasto, zapadł na zapalenie jamy Hajmora czyli zatok, co spędziło go ze stanowiska dowodzenia na łóżko w piwnicy. Zapalenie jamy Hajmora mogło jednak być tylko zwykłym, ostrym bólem głowy, którego nieraz doznaje się po palnięciu szkaradnego głupstwa, np. gdy człowiek strzeli z wiatrówki do wiewiórki, a tu okazuje się, że jest to ogon tygrysa, a nie wiewiórka.

O świcie przenieśliśmy się na nową kwaterę w Pasażu Simonsa, położonym pomiędzy ogrodem Krasińskich a Arsenałem. Tym razem przydzielono nam parter sześciopiętrowego gmachu, odnowionego po pożarze 1939 roku. Od olbrzymich kadzi z wodą w mrocznych podziemiach ciągnęło wilgocią. Nad nami, pierwsze i drugie piętro było zajęte przez nie uzbrojone formacje, a wyżej jeszcze mieściły się magazyny odzieżowe. Rozłożyliśmy materace na podłodze hali maszyn pomiędzy wiertarkami, obrabiarkami i tokarkami. Pod budynkiem, łącząc ogród z Nalewkami, Bielańską i Długą, przebiegał szeroki i wysoki korytarz, jakby krótki tunel, na który wychodziły okna z pierwszego piętra i drzwi z parteru po obu stronach. Stąd nazwa Pasaż. Pierwsze piętra po obu stronach wielkiego korytarza łączył pomost.

Następnego dnia koło placu Zamkowego powstańcy zdobyli mały niemiecki czołg w stanie nieuszkodzonym. Rozebrano barykadę i czołg tryumfalnie wjechał w głąb Starego Miasta. Powstańcy, głównie ci, co się raczej specjalizowali w świętowaniu zwycięstw niż w zwyciężaniu, obsiedli go, pozdrawiając radosny, wiwatujący tłum. Ludzie powiewali z balkonów, z okien, wylegli na chodniki. Wtedy czołg eksplodował. Witek, ten którego poznałem przy odwrocie ze szpitala na Woli, opowiadał mi później, jak jego oddział zeskrobywał mięso ze ścian i zbierał ludzkie strzępy do koszów. Tak to Stare Miasto miało swego miniaturowego konia trojańskiego. Ktokolwiek przeżył oblężenie Starówki, nie zapomni tej masakry na Kilińskiego w dniu 13 sierpnia.

Nasze wieczorne uczty duchowe przy radiu zakończyły się nieprzyjemnym zgrzytem. Wysłuchawszy komunikatu z Londynu, na odchodnym sięgnąłem po karabin, ale karabinu nie było. Obecni, w składzie jednej kobiety i paru mężczyzn, nasi przyjaciele i mentorzy z batalionu Łukasińskiego, zgodnie stwierdzili, że przyszedłem bez broni, podbudowując swe spostrzeżenia słowem honoru. Na moje nalegania zareagowali zdumieniem i współczuciem, że pamięć mi nie dopisuje, pewnie z powodu przeżyć frontowych. Przez chwilę,

patrząc na przyjazne, szczere twarze, poczułem się jak Czerwony Kapturek na widok dziwnej babci. Bez karabinu nie mogłem ich zmusić do zwrotu karabinu. Jedno na pewno wiedziałem: że nikt nie wyszedł z pokoju i postanowiłem nie ruszać się z miejsca grożąc, że ich urządzę, gdy moi koledzy przyjdą z bronią. Po kwadransie nie wytrzymali wojny nerwów i karabin się znalazł. Próbowali obrócić to w żart, że zrobili to dla mego dobra, jako że żołnierz nie powinien wypuszczać broni z ręki. Dało mi to dobrą lekcję. Trzeba bowiem wiedzieć, że jeśli chodzi o kradzież broni i wojskowego wyposażenia, wszelkie moralne skrupuły przestawały istnieć. Odpięto ci granaty, gdyś spał, szczając nawet musiałeś trzymać karabin w drugiej ręce.

Każdego wieczora z radia oczekiwaliśmy wiadomości o rewolucji w Niemczech, o kapitulacji, a gdy nie przychodziły, a front wschodni usnął, cała uwaga koncentrowała się na Francji. Amerykanie nie mogli posuwać się dość szybko, by nas zadowolić. Ogólnie uważano, że Niemcy skapitulują, gdy Amerykanie zajmą Zagłębie Ruhry, od którego dzieliło ich około ośmiuset kilometrów. Kocioł staromiejski miał półtora kilometra średnicy. Aby więc dotrwać do końca wojny, nie mogliśmy oddawać Niemcom więcej niż sto metrów terenu na każde sto kilometrów, które Amerykanie przebywali posuwając się na wschód.

Nasze R and R, czyli po amerykańsku *rest and recuperation* [odpoczynek i odprężenie] dobiegło końca, choć sobie jeszcze z tego nie zdawaliśmy sprawy. Amerykańscy żołnierze na swoje R and R latali wprost z dżungli Wietnamu na Taiwan, do Japonii i Filipin. Tam wypoczywali i odradzali się duchowo w towarzystwie mikroskopijnych kosookich gejsz, a najbardziej wyczerpani spośród nich, w jaskiniach opiumowo-heroinowych. My, grupa inteligentów od Wiernego, doprowadzaliśmy do porządku napięte nerwy gadając z kim popadło, podczas gdy proletariacki segment, którego siłą napędową wydawał się być Kawka, odprężał się w towarzystwie kobiet.

W dwa czy trzy dni po zwycięstwie na Stawkach, w związku z wizytą u jakiejś kobiety, Kawka przyniósł butelkę wódki i bez rozgłosu zaczął ją konsumować w gronie najbliższych przyjaciół. Edek, podchorąży wywiadu, sokolim wzrokiem musiał coś wypatrzyć, gdyż został zaproszony na tajemną ucztę. W tym czasie francuski koniak, z takim nakładem potu wyszabrowany z podziemnego składu wódek, był już doszczętnie spożyty przez koła zbliżone do dowódcy kompanii, porucznika Lisa. Jako lekarstwo na wypadek anginy zatrzymałem jedną butelkę w plecaku, którego w ogóle nie

zdejmowałem, chyba że było to absolutnie konieczne, na przykład do spania lub odpięcia szelek.

Ukradkowe popijanie Kawki i towarzyszy wyszło na jaw w momencie, gdy Edek wypadł z jakiegoś zakamarka, chwytając z trudem oddech, a w przerwach wkładając palce do gardła. A to wszystko od rzekomej wódki, która okazała się być spreparowaną na spirytusie trucizną przeciw pluskwom, zwaną pluskwobojem. Edkowi wystarczył tylko jeden łyk, innym potrzeba było więcej, nim się upewnili, że coś nie jest w porządku. Potem na przemian pili wodę i rzygali, a następnie spali cały dzień. Mówiono, że to nie pomyłka, że kobieta chciała ich wytruć. Podporucznik Marian przeprowadził dochodzenie, ale Kawka nie znał nazwiska trucicielki i wydarzenie szybko poszło w zapomnienie w obliczu innych kłopotów.

Niemcy już ostrzeliwali Starówkę, siedemdziesiąt tysięcy ludzi siedziało po ciemku w piwnicach i szukaj tu dywersantki ze świecą w ręku. Wyśmiewano się z Kawki i innych potrutych, że Polacy, a bimbru nie odróżnią od pluskwoboju, i że takich cwaniaków kurwa-dywersantka wyrolowała.

Tom i Wilit dostali po Krzyżu Walecznych za akcje w obliczu nieprzyjaciela w czasie ataku na Stawki. Obaj biegli razem z podporucznikiem Marianem i to on podał ich do odznaczenia. Pomyślałem sobie, „pańskie oko konia tuczy", ale i tak mnie to zabolało.

Tom jest odrobinę nieśmiały, cichy, smutny, łysawy, dwudziestoczterolatek, niezbyt pasuje do reszty. Nigdy bym nie odgadł, że to on pierwszy dostanie Krzyż Walecznych. Wilit - spokojny, dopóki mu w drogę nie wejdziesz; nie potrafię z nim pożartować, nawet porozmawiać; chyba mnie nie lubi. Tom -szczupły i wysoki. Wilit - niski i krępy. Trzymają się razem. Marian też mało mówi i przy takim Kenarze, Konarze, Lisie, Kamieniu nie rzuca się w oczy. Żaden nie pisnął ani słowa, o krzyżach dowiedzieliśmy się dopiero przy odczytywaniu rozkazu dowódcy zgrupowania, majora Sosny. Droga urzędowa była zdaje się taka, że wniosek o odznaczenie i awans dla niższych rang szedł do dowództwa Starówki, pułkownika Wachnowskiego, a dla oficerów - wyżej. Sosna, który otrzymał majora, teraz miał pod sobą „Chrobrego", „Parasola" i inne oddziały - całe zgrupowanie stanowiące jedną trzecią załogi Starego Miasta. Na dowódcę batalionu dostaliśmy Kamienia. Wszyscy uważali, że Sosnę awansowano w uznaniu za błyskawiczne odbicie Stawek, do którego my, Lisa kompania, walnie przyczyniliśmy

się, zdobywając dwa działa.

Po drugiej stronie wielkiego korytarza mieściła się drukarnia. Z inicjatywy I dzięki stosunkom Edka zrobiono nam opaski z napisem „GS Lis". Pomocnym w tej sprawie okazał się chudy, wysoki, garbiący się pchor. Ostoja. Spierano się o kolor opasek. Lewicowym inteligentom odpowiadał czerwony, antykomunistom zielony. Zakończyło się ugodą. Drużyna o większej koncentracji inteligentów musiała się zadowolić buraczkowym z braku rewolucyjnej czerwieni. Druga drużyna dostała ciemnozielone. Opaski miały jedwabisto-szkłisty połysk. Materiał od biedy nadawał się na kokardy, falbanki, a najbardziej na wstęgi do wieńców pogrzebowych, takich z napisem... „Najukochańszemu i nieodżałowanemu...". By nie drażnić dowódcy kompanii, zamiast „GS Wierny" wydrukowaliśmy „GS Lis". I tak się nie podobało, choć nikt nie mógł zaprzeczyć, że nie tylko byliśmy najlepiej uzbrojonym pododdziałem kompanii, i to w prywatną broń, ale też doświadczeniem bojowym biliśmy resztę na głowę. Było na co popatrzeć, gdyśmy stali dwuszeregiem, chłop w chłopa, niemal 20 karabinów, 2 rozpylacze, tu i ówdzie rewolwer na dokładkę, pasy *Gott mit uns,* ładownice, plecaki z futerkiem, podkute buty, omszałe manierki. I każdy w hełmie! Inni też postanowili sprawić sobie opaski, ale nie zdążyli. Założyliśmy je na lewe ramię. Edek, wskazując na buraczkowy kolor, drażnił kogo się dało i kogo popadło mówiąc, że obaj jesteśmy komunistami, tymczasowo w Armii Krajowej.

W wielkim korytarzu wisiała gazetka ścienna z wycinkami prasy wszystkich kierunków politycznych z wyjątkiem PPR-u. W parę dni po wybuchu Powstania entuzjastyczna dotąd prasa komunistyczna poczęła krytykować Armię Krajową za podjęcie walki zbrojnej bez porozumienia z ZSRR, co jakoby zaskoczyło Armię Radziecką, nie przygotowaną do współdziałania. AK zarzucało krytykom, że ZSRR wzywał do powstania przez trzy lata, i że niektóre niemieckie pozycje w Warszawie są w zasięgu rosyjskiej artylerii, wystarczy obrócić lufy. Edek i ja przykleiliśmy wycinki z komunistycznego „Głosu Ludu". Ktoś je zdarł. Postaraliśmy się o nowe. Pchor. Ostoja przyłapał nas na gorącym uczynku, co doprowadziło do wymiany poglądów na temat wolności słowa i roboty dywersyjnej. Jeszcze raz miałem możność podziwiać oratorski kunszt Edka. Domorosły politruk ustąpił pola, ale znowu ktoś zerwał wycinki pepeerowskie. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział Ostoję z bronią. Z braku hełmu nosił niemiecką czapkę z daszkiem. Snuł się po sali wysoki, chudy, z rękami w tyle, pochylony, jakby garbił się, by podkreślić swój wzrost, zwłaszcza

mówiąc do niższych od siebie. Z powodu zawsze uniesionych brwi poprzeczne bruzdy przecinały mu czoło pomimo młodego wieku. Inni wołali go po imieniu, per ty, lub po prostu: hej, Ostoja! Ja, nie wiem dlaczego, zwracałem się per „panie podchorąży", może myślał, że kpię. Wielu było tych podchorążych bez określonej funkcji, gdyby wypadki potoczyły się inaczej, znaleźliby zajęcie.

Na piątym i szóstym piętrze Pasażu Simonsa znajdował się skład damskiej konfekcji. Kontrola nad magazynami na wyższych piętrach słabła w miarę nasilania się ognia artyleryjskiego. Dzięki temu dostaliśmy się tam i weszliśmy w posiadanie jedwabnych majtek oraz koszul we wszystkich barwach tęczy. Z przyjemnością wkładało się chłodny materiał na przepocone i rozpalone ciało.

Pasaż Simonsa stał się rodzajem targowiska niewolników. Dniem i nocą coraz to ktoś wpadał, żądając iluś tam ludzi na wsparcie. Już nie wołali, jak w browarze Haberbusza,... „dwóch chłopów z jajami", a tłum ochotników napierał. Brali dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu i przewodnicy podprowadzali nas do frontu, czyli na linię, jak się wtedy mówiło. Umacniało to nas w przekonaniu, że gdzie inni zawodzą, my musimy podpierać firmament, jak napoleońska stara gwardia. Skończyło się też regularne spanie. Po powrocie z akcji waliliśmy się na materace, a ponieważ nie wiedziało się, kiedy znowu nas poderwą, nie warto było się rozbierać; także ze względu na złodziejstwo. Najpierw przestaliśmy się myć, poza paru czyściochami. Zmienialiśmy tylko majtki i koszule, brudne rzucając do śmieci. To się nazywało żyć całą gębą! Potem przyszedł koniec codziennych zmian bielizny, brakowało czasu i ochoty na fasowanie z magazynów, połączone z przełamywaniem oporu strażników. Aby poprawić wentylację, rozluźniałem tasiemki bluzy pod szyją i rozpinałem oba rozporki - panterki i luftwaffe, gdy nikt nie widział. Skarpety nie tyle przepocone, co przenoszone, wyrzucałem i wkładałem świeże, aż wyczerpał się zapas w plecaku. Wtedy właśnie włożyłem ostatnie dwie pary w przewidywaniu bliskiego końca Powstania, nie zdając sobie sprawy, że obrona Starego Miasta jeszcze nie rozpętała się na dobre, a Powstanie zaledwie się zaczęło. Kilka brudnych par zatrzymałem w plecaku, aby mieć co naciągnąć na buty, gdy przyjdzie się podkradać nocą. Magazyny wkrótce spaliły się i już nie było gdzie uzupełniać zapasów. Po bieganiu pod obstrzałem buty nie przeszkadzały przy spaniu, ale co było robić z resztą ekwipunku? W pasie z ładownicami i w hełmie nie można było zasnąć, choćby człowiek nie wiem ile się nalatał i

utrudził. Plecak nie nadawał się na poduszkę, zwłaszcza z powodu butelki; nie wiadomo było, jak go ochronić przed kradzieżą, chyba że okręcić rzemień wokół kostki. Pas zarzucałem na szyję, przytulałem się do karabinu, a hełm polecałem opiece boskiej.

Szczęściem na sali, gdzie ulokował się Wierny, nie było obcych. Kwatera kompanii składała się między innymi z dwóch ogromnych sal na parterze, połączonych drzwiami. Pierwsza znajdowała się od strony uliczki Wyjazd, dwuramiennej jak kątownica. Druga sala, gdzie wypoczywał oddział Wiernego, w dwóch trzecich zastawiona była maszynami podobnymi do obrabiarek. Część kompanii kwaterowała na pierwszej sali, ale niedługo wszyscy przenieśli się do nas ze względów bezpieczeństwa i sala pierwsza stała pusta.

W wielkim oknie drugiej sali, przez które widać było tyły niskich domków wzdłuż Wyjazdu, szyb nie było. Musiały też być drzwi, ale widocznie potem wybuch wyrwał je z zawiasów i ten późniejszy obraz, prostokątne otwory wychodzące na wielki korytarz, utrwalił się w mej pamięci. Dla uproszczenia będę nazywał pierwszą salę - Pustą Salą, a drugą - Salą Obrabiarek.

W pierwszym kontrataku doprowadzono nas do kamienicy, skąd podziemiami mieliśmy podejść pod Niemców i podpalić ich. Okręciwszy buty szmatami, zeszliśmy do piwnicy. Jeśli kiedykolwiek brałem udział w czymś przypominającym korowód duchów, to właśnie wtedy. Przodem szedł przewodnik, oświetlając podłogę pod nogami błękitną latarką; stąpał ostrożnie, by nie potrącić walających się garnków i rondli. Za nim Wilit ze stenem, potem ja i linia powstańców z bronią krótką i długą, a z tyłu miotacz ognia. Co kilka kroków przystawaliśmy nasłuchując, ale poza przytłumionym dudnieniem kanonady żadnych dźwięków nie dało się odróżnić. W niebieskawym świetle z ciemności wyłaniały się walizki, kufry, materace, a gdzie korytarz rozszerzał się na kształt rozlewiska rzeki, stały łóżka z pościelą i zastawione stoły. Mieszkańcy mało co ze sobą zabrali. Świece były wypalone aż do końca, a wosk tu i ówdzie rozlał się i zakrzepł w kształcie maleńkich kałuż. Otworami przebitymi w murze między piwnicami przechodziliśmy z domu do domu. Ostrożnie i tak wolno, że wolniej prawie nie można. Wąż chyba tak się ślizga i skrada, że i źdźbła trawy nie poruszy.

Kolumna wiła się podziemnym labiryntem bezszelestnie. Kierując się słuchem, nie sposób było odgadnąć, ilu posuwało się poza mną. Czasem było widać błękitne światełka z tyłu. Sądząc z zachowania się pierwszego przewodnika, znaleźliśmy się pod Niemcami wkrótce

po zejściu do piwnic. Wahałem się, czy odbezpieczyć karabin, by przypadkiem nie strzelił przy potknięciu. Właściwie wystarczyło trzymać w gotowości kciuk na bezpieczniku. I tak w ciemności niewiele można było zdziałać jedną kulą, zwłaszcza strzelając spod pachy. Światło dzienne z rzadka sączyło się do środka; cywile zabarykadowali okienka piwniczne. Gdy się przejaśniło, miałem okazję dobrze przyjrzeć się Wilitowi. Szczęka wysunięta ku przodowi, dolne zęby zachodziły na górne, jak buldogowi do kąsania. Czułem się pewniej mając go przed sobą z pistoletem maszynowym. Z tyłu jego hełmu wisiały brązowe frędzelki, tak że i szyi widać nie było. Do dziś nie wiem, do czego miały Niemcom służyć, może zasłaniać biały kark, aby nie jaśniał nocą. Wreszcie przewodnik orzekł, że jesteśmy na miejscu. Obsługa miotacza ognia pchnęła się ku przodowi. Wspięliśmy się schodami na parter, po czym ja i kilku innych, rozejrzawszy się, o ile można było to zrobić w tych warunkach, wysunęliśmy się na skraj podwórza, celując we wszystkie strony naraz. Za nami miotacz ognia, który zaciął się, zaledwie zaczął.

Była to typowa warszawska czynszowa kamienica, brakowało tylko gołębi. Z miotacza znowu trysnął płomień, ramy okienne zaczęły się kopcić, ale ogień nie chwytał ich od razu, jak się to widuje w kinie. Gdy stałem na dnie podwórza-studni, wydawało mi się, że to nie ja patrzę w okna, ale kilkadziesiąt prostokątnych źrenic mnie się przygląda. Chyba każda komórka mojego ciała liczyła sekundy. Podobnie czuli się zapewne i podpalacze, ponieważ roboty nie dokończyli.

Czyta się, że wnuczek bawił się zapałkami i połowa ulicy spłonęła. Krowa pana O'Leary ubodła gazową latarnię i od tego całe Chicago się spaliło. A tu miotacz płomieni nie mógł poradzić jednej kamienicy. W drodze powrotnej przyszło olśnienie. Zamiast wychodzić na podwórze i kierować strumień płonącej ropy z zewnątrz do środka przez okno, należało po prostu wchodzić do mieszkań z klatki schodowej i podpalać je od środka. Później słyszałem, że jednak płomienie kamienicę ogarnęły i Niemcy mieli trudności. Od tego czasu Wilit zwracał się czasem pierwszy do mnie w sprawach niesłużbowych. Domyśliłem się, że przestał mnie uważać za mięczaka.

W tych pierwszych tygodniach nawiedzało mnie czasem dziwaczne uczucie, że jestem jakby na scenie; dziwaczne, bo na prawdziwej scenie trema by mnie od razu sparaliżowała. Teraz jednak prawdziwej widowni nie było. Wszyscy, chcąc nie chcąc,

znaleźli się na scenie, jeśli nie jako aktorzy, to w roli teatralnych rekwizytów. Po niebezpiecznej akcji, niejako w pamięci odfajkowałem jeszcze jedno powodzenie, nawet jeśli się skończyło niepowodzeniem - tak jak naukowiec, który wzbogaca swój dorobek o jeszcze jedną publikację, nawet o negatywnym wyniku. Wielu kontrataków już nie pamiętam. Często przyczajeni za pierwszą linią stanowisk czekaliśmy godzinę, dwie, nim przyszedł rozkaz „naprzód" lub „wracać". Nieraz odsyłano nas od razu mówiąc, że już nie trzeba, a ledwo weszliśmy do Pasażu, już ktoś inny czekał z zapotrzebowaniem.

Następnego dnia po odbiciu Stawek, po niedospanej nocy z powodu salwy rakiet, zerwano nas z materacy wczesnym popołudniem - cały pluton Wiernego z kompanią Klima i częścią Lisa. Wkrótce znaleźliśmy się w opuszczonym niewielkim domu na Nowolipkach, tuż przy getcie. Siedzieliśmy na podwórzu pod ścianą przysłuchując się strzelaninie, która - w miarę mijania kwadransów i godzin - zbliżała się powoli. Przeszło paru lekko rannych, przynieśli na noszach powstańca, który rzęził głośno od odłamka w płucu. Gdy kilka eksplozji obrzuciło podwórze kawałkami cegieł, schroniliśmy się na klatkę schodową Oby tak można było utrwalić na taśmie własne myśli, gdy się tak czeka i czeka... W brzuchu mnie kręciło, więc w końcu udałem się na strych. Odwlekałem tę decyzję w nadziei, iż samo przejdzie - aby nie dać kolegom okazji do wywyższania się. Obawiałem się, że rozkaz zbiórki padnie lada chwila i nie zdążę. Zaledwie zacząłem odpinać szelki, z dołu usłyszałem komendę:

-Wierny, zbiórka! Dać pierwszeństwo naturze i być okrzyczanym dezerterem, czy też biec i ryzykować pośmiewisko? Jeśli kto powie, że dwie minuty wystarczą, widocznie nigdy nie miał na sobie ochronnego munduru Waffen SS.

Kpt. Kamień na podwórzu wyjaśniał, jak Lis ma atakować. Najpierw biegiem wzdłuż Nalewek. Zająć pozycje wypadowe po lewej stronie między murem getta a Gęsią i nacierać w lewo, na Pawiak. Nagle z szeregu wysunął się Groźny, bez hełmu, bez czapki, kudłaty, rozczochrany, i zawołał do Kamienia:

-Panie kapitanie, ja mam lepszy plan, pójdziemy wzdłuż muru getta do dziury. Dziurą przejdziemy na gruz i wyskoczymy na nich z boku. Na Nalewkach szkopy zaraz nas zobaczą.

Kamień przerwał Groźnemu, a Groźny z kolei przerwał Kamieniowi. Kamień na Groźnego z mordą, a Groźny swoje; oczywiście był na gazie. Nie było czasu rozważyć propozycji

Groźnego, bo zaraz padł rozkaz - Naprzód! Wierny ruszył pierwszy pod komendą ppor. Mariana. Kilkadziesiąt kroków Nowolipkami, potem w lewo za młynem mechanicznym na rogu Nalewek, zwanym Białym Domem. Stanęliśmy na chwilę i zaraz biegiem naprzód. Zaledwie wypadliśmy spoza Białego Domu na otwartą przestrzeń - podmuch i huk. Anka znajdowała się po mojej prawej stronie na środku jezdni, gdy prysnął obok niej ogień i padła. Pędziłem lewym chodnikiem wzdłuż drucianej siatki. Na prawo bez przerwy błyskało. Odgadłem, że pociski przelatywały nad moją głową. Góral, biegnący przede mną, zwolnił pośrodku otwartej przestrzeni. Z prawego policzka ciekła mu wąska strużka krwi. Wrzasnąłem na niego, żeby prędzej. Dopadliśmy ceglanego bunkra przy wejściu do getta. Zgromadziło się tam nas kilkunastu, a nowi wciąż przybywali. Nie wszyscy mogli się wcisnąć do środka i przytulali się doń od zewnątrz. Paru powstańców z karabinem maszynowym - załoga ostatniej polskiej placówki - złościło się, że ściągniemy na nich ogień artylerii i zachęcali nas do wyjścia. Poganiając się wzajemnie, poderwaliśmy się znowu do ataku. Mogli nas wymacać z działa, a uszkodzony bunkier dawał tylko mizerną osłonę. Wbiegliśmy do getta sprintem i w ciągu może pół minuty lub mniej czoło osiągnęło skrzyżowanie Nalewek z Gęsią. Położyliśmy się po lewej stronie wśród zwałów cegieł przy chodniku, zajmując postawę wyjściową do natarcia, twarzą do Pawiaka. Granatniki nie przeszkadzały w tym manewrze. Za chwilę gruzami po drugiej stronie ulicy nadbiegła kompania Klima. Leżąc na brzuchach przyglądaliśmy się, jak fontanny pyłu wystrzeliwały wokół nich. Niemcy widzieli ich w ukośnych promieniach słońca jak pod reflektorami. Powstańcy dotarli do Gęsiej, kurz zasłonił ich, zniknęli.

Znajdowaliśmy się pośród czerwonoszarej pustyni. Leżąc nie było widać Starówki, a tylko zwały cegieł na kształt olbrzymich fal; pomiędzy nimi zapadliny i kratery. Tu i ówdzie sterczały parometrowe ułomki ścian i zardzewiałe stalowe szyny. Jezdnia i latarnie, niektóre obalone, były najlepiej zachowanymi pozostałościami miasta. Przed nami, za usypiskami gruzu zalegli Niemcy, jak można było poznać z kierunku, skąd czasem pryskały okruchy cegieł. Między płytami chodnika i w szczelinach asfaltu wyrastały chwasty i źdźbła trawy. Gdzieś w lewo znajdował się bunkier; w prawo za skrzyżowaniem z Gęsią ogromny dźwig górował na okolicą. Ogień granatników ustał, kurz rozwiał się i zapadła cisza. Z rozmów prowadzonych szeptem wynikało, że byli zwolennicy wycofania się tą drogą, którą

przyszliśmy, ale nikt nie chciał się ruszyć pierwszy. Zresztą cisza wskazywała, że Niemcy stracili rachubę i nie zdawali sobie sprawy, że jeszcze nas trzydziestu leży plackiem przy chodniku. Zbawczy bunkier, obyśmy go nigdy nie opuścili, znajdował się gdzieś za siedmioma górami i siedmioma rzekami. Trzeba było mieć siedem zapasowych serc w plecaku, aby tam wrócić. Paru metrów pod obstrzałem nie można porównać z najdłuższym odcinkiem normalnego życia. Przy braku pewności, że się zdąży dobiec, nawet najmniejszy dystans wydłuża się do nieskończoności.

Lada chwila cętkowany, żółtozielony czołg wolno wytoczy się z Gęsiej. Na próżno starałem się ułożyć plan działania na taką ewentualność.

Seria eksplozji zwróciła mą uwagę gdzie indziej. Kurzawa wzniosła się po naszej stronie ulicy, może o sto metrów w kierunku bunkra. Za chwilę kurzawa wzbiła się nieco bliżej. Każda następna salwa granatników padała bliżej od poprzedniej. Nie było gdzie się schronić pod otwartym niebem, ani dokąd uciekać, ani też posunąć w jakimkolwiek kierunku nie będąc zauważonym.

Czołgając się szukałem zagłębienia terenu, aż dotarłem do latarni, wokół której chodnik zapadł się na kształt płytkiego leja. Na dnie leżało już kilku powstańców. Położyłem się na wierzchu i rozpłaszczyłem tak, aby nic nie wystawało ponad poziom ulicy. Ostatnia salwa uderzyła nie opodal, zaśmierdziało trotylem. Uspokajałem się, że jeśli pocisk trafi w lej, to i tak nic nie poczuję, jeśli obok, nie zrobi mi krzywdy. Zakotłowało się. W kurzawie ukazał się Edek i zataczając się wpadł do leja. Posunąłem się.

- Porucznik Marian! - zawołał ktoś - do kapitana Kamienia!

- Porucznik Marian! - do kapitana Kamienia - powtórzyło kolejno parę głosów.

Wcisnąłem głowę jak najgłębiej i zacisnąłem oczy, by nie zaprószyło. Raczej czułem niż słyszałem wybuchy.

- Porucznik Marian ranny! Kapitan Kamień ranny!

Znowu wołanie i salwa. Przyszła chwila, że zacząłem odróżniać eksplozje uchem, a nie ciałem, jako huk, nie jako podmuch. Walec ogniowy przetoczył się Nalewkami poza Gęsią. Z każdą nową salwą fontanny cegieł i tumany kurzu oddalały się. Miło było znowu stać się widzem. Ucichło. Tak mi ulżyło, że na chwilę zapomniałem, że teraz kolej na czołgi.

Wpatruję się w jezdnię zarzuconą cegłami. Nic się nie dzieje poza tym, że cienie cegieł może odrobinę wydłużają się. Czekając na

czołgi liczysz sekundy do zachodu słońca, a jest ich tyle, że właściwie nie robi różnicy, gdyby było ich dwa razy więcej. Od tego wyczekiwania różne myśli tłoczą mi się do głowy. Jeśli stanę o parę kroków dalej, gdzie ta cegła, to mnie zabiją i już mnie nigdy nie będzie. Jeśli cegła tam może stać, to dlaczego nie ja. Wieczór nadejdzie, gwiazd nie zobaczę, inni ludzie zobaczą, ale nie ja; jak to może być, że mnie nie będzie. I żadna modlitwa nic nie zmieni. Jestem jak w sieci niewidocznego wszechmocnego pająka. Kichnij, a znajdzie cię. Mdłości przychodzą falami.

Nagle zdałem sobie sprawę, że sporo czasu upłynęło. Kobuz przyczołgał się z innego krateru, poszeptał i popełzł dalej. Jasne było: Niemcy nie wiedzieli, gdzie jesteśmy, tylko dla sprawdzenia przejechali granatnikami. Ukryci po dziurach mierzyliśmy lufami w trzech kierunkach. Mój brzuch do tej pory zdawał egzamin bojowy; teraz znowu zaczęło mnie kręcić i pobolewać. Prze-czołgałem się z zapadliny przy latarni do pustego krateru parę metrów bliżej Niemców. Żołnierz z odpiętymi szelkami zdolny jest tylko do wojny okopowej, a zapinać je w stanie podenerwowania lub w pośpiechu jest wręcz niemożliwe, gdyż ta operacja wymaga równie pewnej i spokojnej ręki jak strzelanie. Należało przegiąć kręgosłup w kształcie odwróconego łuku, by łopatki maksymalnie zbliżyły się do pośladków i w tej pozycji, między paznokciem wskazującego a poduszką środkowego palca, uchwycić koniec szelek i ściągnąć je z karku w dół. Wątpię, czy mężczyzna po czterdziestce potrafiłby tego dokonać, ale mundury były przeznaczone dla młokosów w jednostkach szturmowych. Tysiące żołnierzy niemieckich nosiło ten typ szelek na frontach drugiej wojny światowej. Wiedząc, jak skomplikowane sytuacje mogą zaistnieć w boju, trudno wątpić, iż wśród nich znaleźli się i tacy, którzy za wadliwą konstrukcję szelek zapłacili życiem.

Słońce skryło się za szczerby gruzu. Wysunąwszy głowy z dziur i wyrw, rozglądaliśmy się po świecie. Kamień i Marian zniknęli. Pozostali byli cali i zdrowi z wyjątkiem Edka, którego coś uderzyło w kolano; noga mu zesztywniała. Namawiałem, by przeczekać do nocy w gruzowisku. Skoro Niemcy nie zaatakowali nas za dnia, to nie zrobią tego pomiędzy zachodem słońca i zapadnięciem ciemności. Kobuz „obchodził" stanowiska na czworakach, od krateru do krateru, i usiłował wzmocnić dyscyplinę szepcząc rozkazy oraz słowa zachęty. Mimo to „oddolna" decyzja wzięła górę. Durnie, bali się czekać i po dwóch, trzech, przebiegali na drugą stronę Nalewek, a stamtąd dalej gruzami, na których Niemcy poharatali kompanię

Klima. Wsunąłem się głębiej w zapadlinę, ale ku memu zdumieniu granatniki milczały. Coraz więcej postaci podrywało się, przebiegało ulicę i znikało za zwałem cegieł. Jeszcze minuta, dwie, a zostalibyśmy sami w tej pustyni. Pomogłem Edkowi wstać, zarzucił mi rękę wokół szyi i pokuśtykaliśmy za innymi. Dałem mu swój karabin, aby się podpierał, a ja wziąłem jego błyskawicę. Nie zauważyłem, że do nas strzelali. Najwolniej szło wdrapywanie się na usypiska, gdy nasze sylwetki były widoczne na tle nieba. Powstańcy już dawno zniknęli, a my dwaj, okrążając wzniesienia i zapadliny, kluczyliśmy dolinkami, aż oczom naszym ukazał się ceglany mur getta rozjaśniony blaskiem zachodu, a za nim sylwetki drzew i wieczorna zieleń ogrodu Krasińskich.

Okazało się, że Edkowi noga zdrętwiała tylko - od uderzenia cegły. Następnego dnia już chodził raźno jak zwykle. Miałem rację, że należało odczekać do nocy. Wilit, przeskakując gruzy, dostał postrzał w przegub lewej ręki. Krew trysnęła, więc aby nie wypuścić stena, którego trzymał w prawej ręce, przygryzł tętnicę zębami i tak biegł aż do punktu opatrunkowego. Do końca życia chodził z obandażowaną ręką. Dziwniejsza rzecz przydarzyła się Góralowi. Kula trafiła go w sam środek zatkniętego za pasem granatu zwanego tłuczkiem. Najstarsi żołnierze tego nie widzieli i kiwali głowami na widok granatu, który nie wybuchł pomimo przestrzału na wylot. Góral granatu nie wyrzucił. Tłuczek był już pamiątką i wciąż jeszcze granatem. Jako pamiątka miał tę wadę, że mógł eksplodować samoczynnie; jako granat, że mógł nie eksplodować; sprawdzić go można było tylko rzucając. Wywiązały się dyskusje. Ostrzegano Górala, że jeśli mechanizm zapłonowy jest uszkodzony, granat może eksplodować w ręku przy wyciąganiu zawleczki. W końcu specjalista orzekł, że przestrzelony tłuczek jest prawie tak dobry jak nowy.

Następnego dnia ppor. Marian ukazał się z obandażowaną szyją, a kpt. Kamień z ręką na temblaku. Kamień wkrótce zniknął bez śladu, zdjęty z dowództwa batalionu pod pretekstem rany; tak w każdym razie u nas mówiono. Ankę z poharatanymi nogami odnieśli na Długą 23. Kompania Klima straciła kilkunastu rannych.

Po nieudanej eskapadzie w getcie podzieliłem się uwagami na temat Górala z jednym z jego kumpli. Inni, którzy znali go od lat, też zauważyli, że coś z Góralem niezupełnie w porządku. Znany był z wielkiej odwagi. W czasie okupacji należał do grupy dywersyjnej, między innymi wykonując wyroki śmierci na agentach Gestapo. Akcje te odbywały się na ulicach w biały dzień pośrodku miasta pełnego

mundurowych i cywilnych Niemców, wymagały błyskawicznej orientacji i wielkiej odwagi. Rokowały krótkie życie i długie konanie w katowni Gestapo. Mniej więcej na trzydziestu mieszkańców Warszawy przypadał jeden uzbrojony Niemiec, łatwo było wpaść. Gdy Góral zwolnił biegu pomiędzy Białym Domem a bunkrem przy murze getta, to poza oczywistą utratą odwagi (po wybuchu zaledwie kilku granatników) objawił także brak dyscypliny, najwyraźniej nosząc się z zamiarem zawrócenia. Jego błyskawiczna orientacja też zawiodła, skoro zaczął się wahać i przystawać na otwartej przestrzeni, pod lufami nieprzyjaciela. Może przyzwyczajonego do precyzyjnych akcji polskiego podziemia Górala wytrąciła z równowagi ta dzika improwizacja Kamienia; może zapas jego odwagi wyczerpał się; może taniec ze śmiercią stracił urok.

Dotąd rzucano nas do natarć głównie dniem; od niepowodzenia w getcie -więcej nocami. W dzień najczęściej obsadzaliśmy barykady nieco z tyłu linii bojowej, zazwyczaj w rejonie Długiej, niedaleko naszej kwatery w Pasażu.

Raz z nudów oszabrowaliśmy sklep na samym rogu Długiej i uliczki Wyjazd (nie mylić z Przejazdem). Pietrek postarał się o drąg zakończony hakiem i w ten sposób bez wyłamywania drzwi, przez zakratowane okno, zaopatrzyliśmy się w wełniane swetry na wypadek, gdyby się wojaczka przeciągnęła do złotej polskiej jesieni. Kradło się nie tyle dla zysku czy z potrzeby, co dla rozrywki. Jak grzybobranie, każdy je lubi, nawet jeśli sam grzybów nie jada.

Doświadczałem nagłych zmian nastroju - od optymizmu do grozy. To, że wszystko będzie dobrze, to znowu, że zginę, aby inni mogli przeżyć.

Usłyszawszy, że dobrze uzbrojony oddział, którego nazwa „Zośka" obiła mi się o uszy parę razy, zatrzymał się obok, przy Nalewkach, pod czwartym, poszedłem zobaczyć, kto zacz oni są. Powstańcy stali w klatce schodowej, ni to sztywno, ni to wiotko, w miarę brudni, bardziej szarzy niż usmoleni. Od razu odczułem bijącą od nich siłę, którą widoczne na twarzach zmęczenie jeszcze bardziej podkreślało. Odzywali się skąpo. Nagle zobaczyłem Basię, w panterce jak wszyscy. Od razu zrozumiałem, że pomarańczowe wyłogi Luftwaffe wypuszczone na bluzę panterki, oficerski pas inkrustowany i plecak z futerkiem tyle wrażenia robią, co pawie pióro zatknięte za pokrowcem hełmu. Rozmowa nie kleiła się, a już zupełnie utknęła, gdy niby to mimochodem pokazałem buraczkową opaskę z napisem GS LIS. Poraziła mnie świadomość, że oni wiedzą o wojnie coś, czego ja

jeszcze nie rozumiem.

Raz w ruinach Szczecina, miesiąc po wojnie, obszarpany i wymizerowany żołnierz niemiecki poprosił mnie o ogień. Takie to były czasy, że Niemcy nie mieli zapałek, a Polacy mieli niemieckie. Ani wysoki, ani blondyn i nie młodzik, ale jak stał, jak przypalił papierosa i oddał zapałki, jakimś nieznacznym, ale wyraźnym gestem podziękował! Po czymś poznaje się prawdziwych żołnierzy. Jest jakaś harmonia w ich ruchach, a może po prostu jest to pewien spokój tych, co przeżyli śmierć, nigdy jej nie ulegając. Jakby wszystko, co zbyteczne, wypaliło się w nich na zawsze.

Gdy mówię, że po klęsce w getcie mniej rzucano nas do natarć w ciągu dnia, mam na myśli właściwie tylko siebie. Tom, na przykład, w czasie dziennej walki z czołgami dostał odłamkiem w kolbę karabinu. Wszyscy oczywiście podziwiali poharatane drzewce. Tom, stawszy się ośrodkiem zainteresowania, wyglądał nieco onieśmielony, pomimo swych dwudziestu paru lat, trzeba było go prosić, aby pokazał kolbę. Kawka, w podobnych okolicznościach nieco później, przypominał wschodzącą gwiazdę amatorskiego teatru. Edek, który przybrał sobie Maniusia za adiutanta, ocalił się dzięki przytomności umysłu. Otóż zaledwie wyszli z Pasażu na Wyjazd, rozległ się odgłos „szafy", nieco głośniej niż zazwyczaj. Z miejsca poderwali się do biegu. Ledwo wpadli do bramy przy Długiej, salwa rozbiła dwa piętra nad ich głowami, zarzucając ulicę gruzem.

Nazwa „szafa" pochodziła od swoistego, trudnego do określenia dźwięku, z jakim rakiety wylatywały z sześciopalczastej wyrzutni - jakby ktoś przesuwał ciężką szafę po podłodze. Nie było to ani chrząkanie, ani stękanie, ani wycie, ani zgrzytanie, ani skrzypienie, ani też ryczenie krowy, jak to nazywali w Śródmieściu.

Ze źródeł niemieckich wynika, że w dniu natarcia na Pawiak, to znaczy 12 sierpnia, dwieście armat, nie licząc granatników, ostrzeliwało Stare Miasto, a nowe wciąż przybywały. Wykluczało to chodzenie ulicami w zwartym szyku, a zwłaszcza ze śpiewem. Śpiewało się zresztą coraz mniej, aż śpiew całkowicie zamarł na ustach Starówki. Maszerowanie dwuszeregiem przerodziło się w gęsiego. Łatwiej było skoczyć w bramę lub dać nura do dziury, gdy nikt obok nie zawadzał. To ulepszenie też nie utrzymało się długo i przerodziło w przemykanie jako najbezpieczniejszy sposób poruszania się. Karabiny zaczęliśmy nosić nie na ramieniu lufą w górę, jak w przedwojennym wojsku polskim, ale na odwrót, kolba z tyłu za łopatką, skierowana ku górze, lufa w dół ku przodowi. Inaczej,

przy przechodzeniu otworów w ścianach - zwłaszcza w piwnicach, po ciemku - koniec lufy zawadzał i paprochy wpadały do środka. Zresztą i pod otwartym niebem coraz to coś się sypało z dachów i ścian. Żołnierze niemieccy na służbie wartowniczej i patrolujący ulice Warszawy też nosili karabiny w ten sposób, ponieważ szybciej zdejmowało się je z ramienia.

Na tyle Pasażu Simonsa, wzdłuż jego szczytowej ściany stały parterowe murowane magazyny. Jeden z nich przerobiono na swego rodzaju schody, ułożywszy bele papieru na kształt stopni. Przez otwór wyrąbany w dachu wychodziło się w pobliżu wielkiego okna Sali Obrabiarek. Obok „stopni" ustawiono także drabinę. Różnica pomiędzy poziomem podwórza na tyłach a wielkim oknem wynosiła ze trzy metry. Dzięki tej innowacji można było dojść do ulicy Długiej pod osłoną ścian, zamiast odkrytym placykiem na wprost bramy Pasażu.

Pomimo wzrastającego obstrzału staraliśmy się nie dopuścić do wygaśnięcia życia towarzyskiego. W przerwach w pracy Edek, ja, a czasem Barykada i Bajkop, wymykaliśmy się do sądu na plac Krasińskich obok Kościoła Garnizonowego, gdzie, radośnie witani przez dziewczęta, byliśmy częstowani przysmakami z żandarmskiego stołu. Nasze opowieści o linii, zwłaszcza w wykonaniu Edka, przeplatane komunistyczną propagandą, wzbudzały u jednych podziw, u innych zazdrość i wrogość.

Pewnego ranka paru żandarmów z Barym na czele napadło przy wejściu do Pasażu na Edka, usiłując mu wyrwać broń. Zaczął się szamotać. Ktoś krzyknął, że Edka rozbrajają. Zanim wyskoczyliśmy, żandarmi rozpierzchli się, a Bary umknął na klatkę schodową. Edka już nie było i sądziliśmy, że go uprowadzono. Paru z nas rzuciło się w pogoń ku Długiej, a kilku, wśród nich i ja, pobiegło schodami na szóste piętro, gdzie za okutymi drzwiami magazynu ukrył się szef policji. Na szczęście drzwi nie puściły, a Edek odnalazł się. Wyjaśniło się, że Bary ze swą ochroną osobistą przyszedł do magazynu - gdzie, jak mówiono, wśród damskiej bielizny schowane były sardynki - i gdy zobaczył nieoczekiwanie znajomego wywrotowca, poszczuł go swymi kanarkami. Żandarmi, połapawszy steny z angielskich zrzutów, uaktywnili się znacznie, ale nie do tego stopnia, by wchodzić w drogę Niemcom.

Odwiedzaliśmy Ankę. Leżała na podłodze w piwnicy czynszowej kamienicy. Opowiadaliśmy jej trochę o Amerykanach wciąż pędzących na Paryż, no, bo o czym było mówić. Wiedziała dobrze,

że jej poharatane nogi nie wygoją się przed końcem wojny. Kuba najpierw wymykał się do niej, jak mógł najczęściej, dostał bólów brzucha na tle zrostów po dawnej operacji wyrostka, oddał broń, wycofał się z czynnej służby i cały czas spędzał u boku Anki, karmiąc ją, przewijając, zmieniając opatrunki, wysadzając na nocnik.

Krypo marniał z dnia na dzień. Musiał mieć nowy rzut gruźlicy, gdyż woda w boku przybrała i został przeniesiony w stan chorych. Bajkop dostał przydział do prasy, do „Żołnierza Starego Miasta". Swoją broń, nawet hełm, choć tego ostatniego nie musiał - zwrócił, uważając, że więcej przyda się na linii.

W ten sposób, nim front przetoczył się pod Pasaż Simonsa 18 sierpnia, ubyło trzech jako straty bezkrwawe. Odwiedzali nas potem często, nie licząc się z ostrzałem granatników.

Piętnastego nocą znów nas pchnięto do getta. Tym razem natarcie przeprowadzono mniej więcej według planu poczętego wcześniej przez strzelca Groźnego w stanie nietrzeźwym. Bunkier przy wjeździe do getta wciąż był w polskich rękach, ale Niemcy zagnieździli się blisko i obrzucali go ręcznymi granatami. Podczas dnia załoga była odcięta ogniem od tyłów. Wyznaczono do akcji Lisa, ponieważ już znaliśmy teren. Owiązaliśmy buty szmatami. Ja naciągnąłem na buty wełniane skarpety, specjalnie przechowywane w tym celu. Coraz więcej powstańców używało skarpet, bo nie ześlizgiwały się w biegu. Z ogrodu Krasińskich przeszliśmy do getta dziurą w murze i posuwając się wolno po jego wewnętrznej stronie, niemal w absolutnej ciszy, dotarliśmy do Nalewek. Tu kolumna stanęła. Ktoś przemknął się do bunkra, aby zasięgnąć świeżego języka, po czym, pozostawiając bunkier po stronie lewej, skręciliśmy w prawo, rozciągając się długą linią wzdłuż Nalewek. Miała to być powtórka czy poprawka ataku sprzed trzech dni, tylko że było nas mniej: oddział Wiernego plus kilkunastu ludzi od Lisa. Zapadliśmy w gruzach gdzieś pośrodku tego dziwacznego miasta-pustyni. Daleko z tyłu pozostały ostatnie ślady życia. Ciemno, choć oko wykol, gdyby nie gwiazdy. Od najbliższych pożarów Starówki dzielił nas kilkusetmetrowy ciemny pas. Zwinęliśmy opaski, aby ukryć biały kolor. Leżałem przyczajony, próbując rozpoznać znajome sprzed trzech dni szczegóły widnokręgu - zwłaszcza dźwig przy Gęsiej, i wsłuchując się w stronę, gdzie mieli być Niemcy. Odblask dalekich ogni różowił nieco wierzchołki co wyższych usypisk cegieł.

Przy naszym uzbrojeniu atak polegał na tym, iż biegło się z nadzieją, że wróg spudłuje, przestraszy się i ucieknie. W nocy

karabin przeciw rozpylaczowi nic nie wart. Można było rzucić granatem, ale człowiek wahał się wyrzucić przedostatni.

Zaledwie poderwaliśmy się, pustynia ożyła. Spoza pobliskich hałd wyleciały rakiety i oślepiającym blaskiem przygwoździły nas do ziemi. Zataczając wysoki łuk spadały prawie pionowo, czasem wprost nad głowami. Gasły z lekkim sykiem tuż nad ziemią, zostawiając po sobie smużkę fosforyzującego dymu. Ciemność wtedy zapadała taka, że przez chwilę i gwiazd nie było widać. Linia natarcia w terenie pofalowanym jak wzburzone morze z miejsca rozpadła się na kilkuosobowe grupki. Znalazłem się razem z Maniusiem, Jasiem Sokołem, Pietrkiem i Cyganem. Przeskakiwaliśmy z krateru do krateru w krótkich momentach pomiędzy absolutną ciemnością i oślepiającym światłem, robiąc jak najwięcej hałasu. W blasku rakiety wszystko dookoła jakby ożywało. Czarne cienie zmieniały kształt, obracały się, wydłużały, a gdy rakieta zaczynała opadać, poruszały się szybciej i szybciej - oko za nimi nadążyć nie mogło. Rzucaliśmy cegły przed siebie, aby Niemców zdezorientować i sprowokować do wystrzelania rakiet i amunicji.

Niemcy strzelali z umiarkowaniem, pewnie aby nie zdradzić swych stanowisk, a my wcale. Od chwili, gdy zarys jezdni zniknął w ciemności, straciłem poczucie przestrzeni, nie miałem pojęcia, jak daleko odczołgałem się od pozycji wyjściowej przy Nalewkach. Uważałem, by nie oddalić się zbytnio od mojej grupki. Trzeba było czołgać się w prawo, w lewo, ukosem, wprost, a także i rakiem, gdy drogę zagradzał mur, głęboka zapadlina, lub gdy otwierała się wolna przestrzeń, której koniec zamazywał się w ciemności. Pomylilibyśmy kierunek natarcia, gdyby rakiety nie wskazywały położenia Niemców. Łączność urwała się i ogarnął mnie niepokój, czy aby nasza piątka zbytnio nie wysunęła się do przodu.

Noc, gwiazdy, pustkowie, podchody w labiryncie tajemniczych ruin... W porównaniu z niektórymi poprzednimi akcjami była to jak dotąd podniecająca zabawa w wojnę. Chciałoby się powiedzieć, że rakiety szybowały po nocnym niebie jak srebrnopióre ptaki, wygaszając gwiazdy, a świat na przemian to wynurzał się z nieistnienia w oślepiającym blasku magnezji, to zapadał w czarną otchłań niebytu.

Znalazłem się obok parometrowej ściany o kształcie piramidy, spod której jeszcze niedawno wystrzeliwały rakiety. Ogień nasilił się znacznie i czuło się, że Niemcy dalej bez walki nie cofną się. Bez granatów nie było się po co pchać. Nasza piątka dotarła do podłużnej

doliny. Dalszą drogę po jej bokach zagradzał niski mur i rozpadliny, przez które można się było stoczyć do zawalonej piwnicy. Koniec doliny, prawie niewidoczny, nadawał się na stanowisko karabinu maszynowego i zapewne był obsadzony. Porozumieliśmy się szeptem, że trzeba dowiedzieć się, co robią inni. Kobuz był gdzieś na prawo. Zosia Kos i Wanda Żydówka zagubiły się. Jeden z nas musiał przeczołgać się do Kobuza. Pomimo ciemności spoglądaliśmy po sobie w nadziei, że ktoś zgłosi się na ochotnika, aż w końcu Maniuś zaofiarował swoją osobę. Zostało to przyjęte bez protestu, jako że mały był i przez to trudny do trafienia. Do grzechotu kaemów dołączyły się działka szybkostrzelne. Może podeszliśmy zbyt blisko Pawiaka i broń maszynowa z pięter ziała na nas ogniem. Na dalsze posuwanie się zabrakło ochoty, cofać się też było niebezpiecznie. Skrzat Maniuś odczekał aż ciemność zapadła po serii rakiet, raźno popełzł w drogę i od razu zniknął. Sądząc po strzelaninie, powietrze nad nami musiało wibrować. Przysłowiowe gwizdanie kul występuje częściej w książkach niż w życiu. Zapewne ołowiane kule w osiemnastym wieku robiły sporo gwizdu, świstu i furkotu, i autorzy bohaterskich eposów, którzy sami prochu nie wąchali, przekazywali te akustyczne tradycje z pokolenia na pokolenie. Współczesne kule rzadko gwiżdżą, w każdym razie nie te najgroźniejsze. Ileż to razy przyglądałem się jak szczypały mur tuż obok bez żadnego bzykania.

W oczekiwaniu na szczęśliwy powrót Maniusia przeszliśmy do obrony, to znaczy stanu przejściowego pomiędzy natarciami, jak to wyjaśniają regulaminy wojskowe, lub pomiędzy natarciem i odwrotem, jak pouczało nas życie.

Powstańcy z kompanii Lisa podchodzili bez fanatyzmu do zagadnień dyscypliny, co się objawiało w tym, że rozkazy jednych oficerów były wykonywane prawie zawsze, a innych prawie nigdy. Gdyby na przykład Maniuś przyczołgał się z rozkazem od nie wiadomo kogo, nawet na piśmie, że należy dalej atakować, wzbudziłoby to co najwyżej niezadowolenie, ale nikt by się nie ruszył. Każdy rozumiał, że należy przeczekać, aż się Niemcy wyprztykają z amunicji.

Maniuś nie wracał. Zawarczał samolot, jeden, drugi... Czarne niebo pokryło się setkami iskier. Samoloty szły tak nisko, że reflektory kręciły się za nimi w kółko, nie mogąc ich złapać. Za to widać było kadłuby bombowców RAF-u w świetle pożarów. W tym czasie średnica kotła Starego Miasta skurczyła się poniżej półtora kilometra i samolot lecący dwieście czterdzieści kilometrów na

godzinę, a wolniej podobno nie mógł, przelatywał nad polskim obszarem w dwadzieścia sekund. Nie widać było zasobników. Prawdopodobnie lotnicy nie zorientowali się w położeniu, bo samoloty kołowały dłuższy czas. U podstawy skrzydła jednego z nich trzepotał płomień. Działka szybkostrzelne uwzięły się na trafiony samolot, choć nic już mu więcej zaszkodzić nie mogło. Leciał przez zawiesinę iskier, a reflektory wciąż go chwytały i gubiły. Niemcy przestali w nas strzelać. I my, i oni, na odmianę, staliśmy się widzami.

Maniuś wypełzł spoza zwału gruzu z rozkazem odwrotu. Po cichu wyczołgaliśmy się z powrotem na Nalewki. Kogoś od Lisa drasnął odłamek. Za dnia dowiedzieliśmy się, że brytyjski samolot zwalił się na ulicę Miodową i lotnicy zginęli.

Ze szczątków kadłuba powstańcy wymontowali nie uszkodzony najcięższy karabin maszynowy. Jakimś trafem znalazł się on wkrótce w Pasażu Simonsa. Obsługa enkaemu składała się z pięciu ludzi pod komendą kapitana Włada, o którym mówiono, że był lotnikiem czy też zrzutkiem z Anglii. Wład wyróżniał się niepozornym wyglądem. Niewysoki, o ziemistej cerze, nosił szary drelich i granatowy beret z trzema gwiazdkami. Kolorem przypomina mi postać z powojennej książki Fallady „Każdy umiera w samotności", a mianowicie komisarza gestapo Eschericha, o którym mówiono, że wyglądał, jakby był ulepiony z kurzu akt. W miarę jak obrona Starówki przeciągała się, wszyscy szarzeli, tracąc swe pawie kolory, jeden Wład tylko pozostał niezmieniony.

Zasobniki zawierające broń i amunicję spadły na Starym Mieście i zostały w znacznej części przejęte przez żandarmów; dowiedziałem się o tym w czasie odwiedzin w piwnicy obok Kościoła Garnizonowego. Nasze towarzyskie wieczorki przeniosły się piętro niżej ze względu na osobiste bezpieczeństwo. Szliśmy w odwiedziny zawsze we dwóch, Edek i ja. Bajkop pisał artykuły, Kuba pielęgnował Ankę, Reńkowi Czarnocie, jako dowódcy drużyny, nie wypadało chodzić na spacery. Barykada był żonaty, inni przerwy w pracy wypełniali odsypianiem i grami hazardowymi.

Z Banku Polskiego powstańcy przynieśli niemieckie banknoty i bez przerwy rżnęli w oczko. Jak jaśnie panowie za dawnych czasów, stawiali kilkumiesięczne zarobki na raz, przegrywając i wygrywając sumy, których ani oni sami, ani ich ojcowie nigdy nie widzieli. Dylemat zwycięzcy polegał na tym, że z wygranymi krociami należało przejść na niemiecką stronę, gdzie te tysiące miały wartość tysięcy.

Moim zdaniem owe pieniądze należały do kontynentu zatopionego na zawsze jak Atlantyda, i nawet mi do głowy nie przyszło, by markami czy góralami wypchać choćby jedną ładownicę. Za to, choć inni powyrzucali kenkarty ostemplowane czarnym niemieckim orłem ze swastyką, przezwanym wroną, ja zachowałem swoją jako pamiątkę historyczną.

Na spotkania z dziewczynami wymykaliśmy się zazwyczaj, gdy ogień artyleryjski słabł w godzinach przedwieczornych. Niemcy ku końcowi dnia mniej atakowali, może byli utrudzeni, a może uważali, że niełatwo będzie zorganizować obronę świeżo zdobytej pozycji przed zapadnięciem ciemności. Powstańcy zaś, jeśli nie musieli, nie kontratakowali o zachodzie słońca, mając noc za pasem.

Zawsze odczuwałem nieprzyjemne napięcie w bramie komendy żandarmerii, gdy pytaliśmy wartownika o dziewczęta. Było to tak, jakby po kilkunastu latach wracało się do rodzinnego miasteczka z dalekiego kraju, aby odnaleźć starych przyjaciół. Oczekiwały nas jak siostry braci-rybaków dobijających do brzegu pośród sztormu.

Potem szykowały jedzenie i pierwszy raz w życiu czułem się jak mężczyzna, głowa domu, którego po pracy witają z szacunkiem i uznaniem. Przy świeczce, przegryzając przysmaki z żandarmskiego stołu, rozmawialiśmy o boju. Musiała być też i inna potrzeba, by wydarzenia dnia opisać słowami, inna niż imponowanie dziewczynom, które i tak nas podziwiały.

Jeszcze dwa, trzy dni, i Powstanie skończy się, myślałem. A po wojnie będziemy razem włóczyć się po świecie: palmy, kaktusy, baobaby, minarety, piramidy, pagody, rafy, laguny.

Nie znałem Warszawy nocą; przed wojną z racji wieku musiałem iść do łóżka przed dziesiątą, potem przyszła okupacja z godziną policyjną. Teraz dopiero chodziłem ulicami, kiedy mi się żywnie podobało.

Pewnego ranka wypuściłem się na własną rękę, na obchód polskiej linii, do sąsiadów z prawa. Edek robił to często. Już dokładnie nie pamiętam, dlaczego wybrałem się z tą wizytą. Może odczuwałem granie w karty jako niezgodne z duchem czasów, może też chciałem zobaczyć popularnych kolegów z „Parasola", dogryźć im trochę i sprawdzić, czy nam dorównują. Planowałem odwiedziny także innych oddziałów dla zaspokojenia własnej ciekawości oraz by zaimponować kolegom od Wiernego znajomością spraw wojskowych z pierwszej ręki. „Parasolarzy" uważaliśmy za cwaniaków, którzy pierwsi będą wiedzieć, kiedy i którędy pryskać. Przewodnikiem

duchowym i wzorem był mi Edek, który wciąż przynosił z punktu kontaktowego wywiadu AK i z zakonspirowanej komunistycznej komórki wiadomości nie zawsze dobre i nie zawsze prawdziwe, ale za to ciekawe.

Wyszedłem przez wielkie okno naszej sypialni na tyły Pustej Sali, a stamtąd drabiną w dół za Pasaż, podwórkami do Długiej i na plac Krasińskich. Prościej, ale nie bezpieczniej, byłoby wyjść z Pasażu bramą na ulicę Wyjazd.

Końcowy odcinek Długiej, pomiędzy Wyjazdem a Przejazdem, miał kształt wydłużonego prostokąta zakończonego masywnym pięciopiętrowym domem. Po lewej stronie stały kamienice różnej wysokości, po prawej - płaski Arsenał, a za nim niskie domki czy też ruiny nie dające osłony. Czasy już przyszły takie, że lepiej było nie kręcić się po otwartych przestrzeniach. Groźne były nie tylko granatniki i artyleria - ludzie wciąż padali również od tak zwanych zabłąkanych kul. Poza Arsenałem wznosiła się, często przesłonięta dymem, wieża kościoła; smukła, wysoka, jasnoszara, jakby spleciona ze stalowych szyn, coś z warkocza, coś z ryby piły. Trochę zbyt późno zaczęliśmy podejrzewać ją o związek z zabłąkanymi kulami.

Nad wejściem do Pałacu Krasińskich zwisał otwarty, czarny parasol, godło stacjonującego tu oddziału. Był on najbardziej znany, jeśli już nie sławny na Starym Mieście i z tego powodu zgodnie krytykowany przez nacjonalistów i internacjonalistów od Wiernego. Oskarżano „Parasol" głównie o autoreklamę i zamaskowane tchórzostwo. Gdyśmy w pełnym rynsztunku z barwnymi chustami wokół szyi kręcili się po placu, nieraz się pytano, czyśmy z „Parasola". To tak jakby Słowaka nazwać Czechem. Gdy nas prowadzono do kontrataku, nieraz podkpiwaliśmy sobie - oho, pewnie „Parasol" znowu się zwinął. Sama nazwa łatwa do zapamiętania, przypominała o czasach, kiedy deszcz był jednym z problemów życiowych. W Polsce parasol w rękach mężczyzny bywał oznaką zniewieścienia i starokawalerstwa. Porucznik noszący parasol nie mógł zostać kapitanem, chyba że miał generała za teścia. Uszło jakoś uwadze Polaków, że Anglicy zbudowali imperium, nie rozstając się z parasolem i kaloszami.

Pierwszy raz w życiu wszedłem do pałacu bez pytania, bez przewodnika, w podkutych butach. Byłem tu już raz mając jedenaście lat, z całą klasą, pod nadzorem nauczyciela. Nie pozwalano niczego dotykać i, jak wszędzie w muzeach, musiało się założyć miękkie flanelowe łapcie na buty, aby nie pobrudzić i nie porysować posadzki.

W sali balowej na piętrze kilku „parasolarzy" siedziało na starożytnych fotelach w pewnym oddaleniu od okien, zerkając na ogród. Wielkie lustra popękane, białokamienne posągi bogiń i bożków podziobane, plafony poszczypane, tynk chrupał pod butami. Mówi się o majestacie śmierci człowieka. Ja wówczas odczułem majestat końca cywilizacji. Odwiedziny gościa z innego batalionu nie wzbudziły zdziwienia. Zaczęliśmy od wzajemnego wypytywania się o sytuację na naszych odcinkach, potem przeszliśmy do udzielania sobie rad i na końcu wyraziłem ubolewanie, że im się nie udało utrzymać Stawek i zdobyć Dworca Gdańskiego. Na to mi powiedzieli, że i oni i inne oddziały były na dworcu, ale tam nie ma co utrzymać czy obsadzić - same tory i parę baraków, które nie dają osłony. Uderzał brak entuzjazmu do Powstania i jakby znużenie. Z miejsca obudziło się we mnie podejrzenie, że krytykują Powstanie, a naprawdę to ogromnie im się podoba.

Zaraz na lewo, na skraju parku, pod samym murem stały ławki, gdzie przed tygodniem, siedząc z Bajkopem, podniosłem spod nóg gorącą kulę karabinową. Wciąż miałem ją w kieszeni i nie omieszkałem pokazać. Opodal, na wprost okna leżał w trawie wypalony szkielet citroena, niedawno lśniący czarnym lakierem.

Tyle mają amunicji - powiedział „parasolarz" z goryczą - przecież wiedzą, że nikt nie siedzi w samochodzie na ziemi niczyjej, a i tak coraz to po nim pociągną serię.

Rzeczywiście, w wypalonym samochodzie widać stąd było dziurę przy dziurze. Jak głodny nie rozumie, że syty jada dla rozrywki, tak i my nie mogliśmy pojąć, po co tyle kul weń wpakowali. Niemcy wystrzeliwali nieprawdopodobne ilości amunicji. Najpierw to przerażało, potem uważano tę rozrzutność za oznakę tchórzostwa, później przyszło rozgoryczenie, a na końcu otępienie i rozpacz.

Ścieżki wiły się wśród drzew i krzewów zalanych promieniami słońca. Podczas niemieckiej okupacji zapewne nikt ogrodu nie pielęgnował; zarastał zielskiem i trawą. Chyba po raz pierwszy od wieków park książąt Krasińskich ział pustką pomimo upału. Za to na jego skraju dookoła kilkuset ludzi w hełmach, czapkach, butach, wełnianych skarpetach wpatrywało się w zieleń, spływając potem i podrygując za każdym poruszeniem gałęzi i szelestem liści.

Przyszedłem gotowy do zaczepki, wypatrując okazji, aby podrażnić tych lojalistów i propagandzistów, a skończyłem na powściągliwo-pozytywną nutę.

Zaniechałem odwiedzania innych odcinków. Zabawa w

harcerstwo, jak mawiał zapewne już nieżyjący, piegowaty podporucznik Kenar, skończyła się. Sytuacja pogorszyła się do tego stopnia, że każdy dzień wydawał się przedostatnim.

Dostaliśmy w tym czasie ulotkę w języku rosyjskim, którą przetłumaczyłem. Pierwszy raz w mym życiu znajomość rosyjskiego znalazła praktyczne zastosowanie. Do nauki języka doszło następująco: uważałem, że niemieckiego nie warto się uczyć, bo i tak szkopy wojnę przegrają; gdyby nawet wygrali, Polaków zagazują bez względu na to czy niemiecką mowę rozumieją, czy nie. Pociągnięty tajemniczym alfabetem wziąłem się do rosyjskiego z przekonaniem, że armia sowiecka wkroczy do Polski. Frapowała mnie rewolucyjna mistyka bolszewizmu, że wszyscy są równi, oficerowie nie noszą odznak i jedzą razem z żołnierzami, do kościoła nie trzeba chodzić, wszystko należy do wszystkich, i *grabi nagrablionnoje* [grab to, co zostało nagrabione].

Miałem stryja, o takich jak on mówią *he died in his boots* [trzymał się do końca, umarł stojąc]. Rewolucjonista z 1905 roku, potem carski huzar i polski ułan; praktykujący katolik, babiarz i wielokrotny rozwodnik; narodowiec i zagorzały antykomunista. Pamiętam, w 1940 roku wpadł do nas z wizytą już z progu oznajmiając podniecającą wieść, że w Sowietach kobiety są własnością publiczną.

Przetłumaczona przeze mnie ulotka zawierała oświadczenie rosyjskiego oficera, łącznika ze sztabu Rokossowskiego, że sowiecka armia wkroczy do Warszawy za trzy dni. My od Wiernego zwołaliśmy natychmiast nieoficjalną radę żołnierską, by zdecydować, co robić. Rozmowy na temat przebijania się do lasu, i to nie później niż następnej nocy, znowu przybrały na sile. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że Stare Miasto znalazło się w sytuacji bez wyjścia, więc dlaczego nie wyjść samemu, póki można. Zdecydowaliśmy, że jeszcze trzy dni wytrzymamy na naszym odcinku. Doba przestała być jednostką czasu, za dużo działo się każdej godziny. Po tym rosyjskim oświadczeniu duch się podniósł, jakby na końcu tunelu ukazało się światło.

Przed świtem zerwali z materacy ze snu pluton Wiernego. Po szybkim marszu zatrzymaliśmy się na placu Krasińskich przy karuzeli. Czyżby jeszcze jedno natarcie na getto, jego mur stał nieopodal. Większość siadła na krawężniku chodnika, kilku usadowiło się na drewnianych koniach, chyba dla zgrywy. Powoli szarzało. Na placu jeszcze niedawno tak gwarnym, ziało pustką. Nim

słońce wzeszło wróciliśmy do Pasażu.

Bez względu na zajęcia w czasie dnia, każdej nocy pędzono nas do kontrataku. Naciągaliśmy wełniane skarpety lub obwiązywaliśmy buty szmatami i w drogę - ruinami, podwórkami, piwnicami, obchodząc z dala palące się domy, jeśli się dało.

Idziemy gęsiego za przewodnikiem i naszym oficerem. Im bliżej Niemców, tym wolniej suniemy i częściej stajemy. Dla odpoczynku ten i ów opiera się o mur, po minucie - dwaj, trzej bardziej zmęczeni siadają. Wkrótce cała kolumna, z wyjątkiem tych paru na przedzie, osuwa się na chodnik. Jeszcze kilka minut i niektórzy drzemią na siedząco, inni wyciągają się na chodniku, kolumna zasypia. Tymczasem na czele podjęto decyzję. Budzą pierwszego śpiącego, ten budzi następnego i za chwilę wszyscy są na nogach. I znów stąpamy pod ścianą prawie bezszelestnie, noga za nogą, zwykle nie wiedząc, gdzie jesteśmy i dokąd idziemy, niewiele rozumiejąc, czego się od nas oczekuje. Czasem rakieta wylatuje niedaleko, wtedy sztywniejemy jak posągi, aż zgaśnie. Co kilkanaście, kilkadziesiąt kroków przystajemy, zaraz siadamy, a za parę minut większość znowu się kładzie.

Wystarczy, by seria z kulomiotu wycięła i swąd prochu doleciał i nagle robię się rześki, jak pierwszego dnia Powstania. Mija kwadrans albo mniej i straszna senność znowu wraca. Za wszelką cenę utrzymuję pozycję siedzącą, opieram się o ścianę, ale oczu nie udaje mi się utrzymać otwartych. Śnię bez przerwy, ale wciąż pamiętam, gdzie jestem.

Niektórzy powstańcy na rozkaz: oddział stój - szeptem oczywiście - z miejsca bez skrupułów kładą się na ziemię i zasypiają licząc na to, że inni będą za nich uważać, a może nie licząc na nic. Oficerowie już do tego przywykli i nie krzywią się. Nieraz czaimy się bez ruchu i pół godziny, i więcej, kto ma mocne nerwy i słabą wyobraźnię może się wyspać.

Czasem wybucha strzelanina na przodzie kolumny, a z tyłu nikt nie wie, o co chodzi, więc kładziemy się plackiem oczekując dalszych poleceń. Gorzej, gdy trzeba się czołgać lub posuwać na czworakach chodnikiem po szkle, którego po ciemku nie widać. Karabin należy tak trzymać, aby brud nie dostał się do lufy, by nie zawadzić o co i nie narobić hałasu. Przekazywanie rozkazów i informacji odbywa się jak w zabawie w głuchy telefon: oficer szepcze do stojącego za nim, a inni podają dalej.

- Obstrzał z lewej - Niemcy za rogiem - niewypał z prawej...

Czasem trzeba niejednym wpierw dobrze potrząsnąć, a potem dopiero szepnąć mu do ucha.

Któregoś popołudnia poprowadzono nas z Pasażu Simonsa, przez otwór w murku pomiędzy Arsenałem a parterową szopą, do ogrodu straży pożarnej. Był tam cały system okopów przeciwlotniczych przygotowanych jeszcze przed Powstaniem; można było przejść z jednego końca na drugi, prawie nie wychodząc na powierzchnię. W tych okopach trzymano nas parę godzin, widocznie coś się szykowało. Ciągłe, bezskuteczne domyślanie się zamiarów dowództwa i odgadywanie na podstawie sprzecznych i zmiennych nowin planów wroga, Rosjan, aliantów, rządu londyńskiego, przekraczało możliwości niewyspanego mózgu i prowadziło do różnych aberracji myślenia, z otępieniem włącznie. Już trudno powiedzieć, co powodowało większe napięcie, akcja czy czekanie. Ogród nie nadawał się do obrony, gdyby nas zauważyli, granatnikami by wytłukli pomimo okopów. A przy tym nikt z nas nie wiedział, gdzie byli najbliżsi Niemcy.

Słońce zachodzi i ściemnia się. Spoza Nowolipek, jakby ze skraju getta, karabin maszynowy strzela świetlną amunicją. Iskry mkną ponad ogrodem, Arsenałem, uderzają w kamienice przy Długiej. Niekończące się serie, w okna, we framugi; domyślamy się, że chcą je podpalić. Zamiast zadowolenia, że nie po nas biją, ogarnia mnie groza zupełnie niezrozumiała. Podobnie, jak dzieckiem będąc, naczytawszy się tylu opisów bitew, doświadczyłem nieoczekiwanie lęku nad lekturą „Wieczorów w Ojcowie", gdy pod Wiedniem, na rozkaz króla Sobieskiego pięćdziesięcioosobowy oddziałek wykonał rozpoznawcze natarcie na oczach obu wojsk. Wówczas to pierwszy raz odczułem strach przed wojną.

Pewnej nocy poprowadzili nas do pałacu Mostowskich. Po drodze dopalała się jakaś rudera. Coś wybuchło na wąskiej jezdni, zaśmierdziało trotylem, kłąb kurzu oświetlony dogasającym pożarem zaczął rosnąć i rosnąć. Wyglądał jak dziwaczna skała, a nie pył, i, nim dobiegłem doń, zdawało mi się, że uderzę o twardą powierzchnię. Pałac dopalał się po obu stronach bramy wjazdowej. Pusty dziedziniec był zalany blaskiem ognia, mienił się pomarańczowo, żółto, czerwono. Staliśmy między ścianami w ciepłym popiele. Oficerowie naradzali się.

Potem szliśmy cicho i powoli, powłócząc nogami, aby nie stąpnąć na żelastwo i nie narobić hałasu. Od naszych stóp popiół wzbijał się obłoczkami, unosił coraz wyżej i wyżej, drapał w gardle, świerzbił w

nosie. Gdyśmy dotarli do podstawy wyjściowej natarcia, tuż obok długimi seriami zaczął strzelać karabin maszynowy. Od razu wiedziałem, na co się zanosi i słabą mi pociechą było, że nie znajdowałem się na przodzie kolumny. Przez dziurę w ścianie mieliśmy wypaść na Niemców. Ktoś z czoła, przechodząc na drugą stronę muru, dostał w brzuch i na tym zakończył się nasz kontratak.

Nie uszło bystremu oku powstańców, że Niemcy nie podpalili wszystkich domów, jak to zrobili na Woli. Nic w naturze nie zdarza się bez powodu, więc wkrótce wydedukowaliśmy, że zachodni alianci wystosowali ultimatum do Niemiec - „jeśli będziecie palić Warszawę, to my wam...". Musiała tam być zawarta jakaś poważna groźba, skoro SS „poprawiło się".

Jak się jednak okazało po wojnie, inicjatywa wyszła nie od Roosevelta, ale od SS Obergruppenführera von dem Bacha-Zelewskiego. Krytykował on swoich podwładnych za to, że zamiast wykorzystywać nowo zdobyte domy do dalszego natarcia, bezmyślnie je podpalali natychmiast po zajęciu.

Nieprzyjaciel przestał też masowo używać ludności cywilnej do osłony piechoty i czołgów. Osłona ta miała umożliwić Niemcom podejście na małą odległość do naszych pozycji bez własnych strat.

Powstańcy, uzbrojeni w znacznym procencie w rewolwery, i tak strzelali tylko z bardzo bliska. Gdy dochodziło do wymiany ognia, osłona rozpierzchała się, chyba że była dobrze powiązana. Niemcy, jeśli strzelali do uciekających cywilów - wystawiali się na ogień powstańców, jeśli strzelali do powstańców - cywile uciekali bezkarnie, a jeśli do jednych i drugich - rozpraszali ogień. Gdy Niemcy przestali stosować „żywe osłony", przypisywano to także interwencji naszych zachodnich sprzymierzeńców. Ktoś jednak, pamiętam, twierdził, że nie pędzą cywilów przed czołgami, ponieważ kości włażą w ogniwa gąsienic i czołgi nie mogą zakręcać.

Z błyskotliwym Edkiem nie sposób było konkurować, niemniej powoli wyrobiłem sobie pewne poważanie jako niezależny myśliciel, zwłaszcza pośród robotniczego i drobnomieszczańskiego sektora oddziału. Raz zagadali mnie, co myślę o sytuacji, na co odparłem.

- Dożynki... Alianci dożynają Niemców, a Niemcy nas.

To i kilka innych powiedzonek zyskało mi reputację w rodzaju „cicha woda brzegi rwie", zresztą do tego czasu już wyszedłem ze stanu onieśmielenia, który mnie paraliżował na Woli. Pietrek i Cygan nabijali się ze mnie mówiąc, że Niemcy wypierają nas „krok za krokiem". Często powtarzali z uśmieszkiem:

- Krok jest człowiek bez nerw.

Jeszcze przed walkami o Arsenał dały się zauważyć początki wzmożonego czytelnictwa, schyłek gadulstwa i zanik karciarstwa. W ciągu tygodnia książki stały się najbardziej poszukiwanym artykułem po amunicji, na równi z jedzeniem, a przed papierosami. Książek było w bród po domach. Gdy okoliczne źródła zaopatrzenia - prywatne mieszkania - wypaliły się lub znalazły po stronie niemieckiej, pozostawały tylko te książki, które uprzednio przyniesiono do Pasażu Simonsa. Znikoma ilość na tylu chętnych. Książkę rozdzierano więc na pół, w ten sposób dwóch mogło czytać naraz, potem każdą połowę na dwie połowy i tak dalej. Wkrótce kilkunastostronicowe kawałki krążyły z ręki do ręki. Jedni czytali wolniej, inni spali więcej, trudno było zsynchronizować wymianę, w zamieszaniu kartki gubiły się. Idąc na akcję wrzucało się książkę do plecaka, chyba że pożyczyło się ją zaufanemu koledze. Zdumiewała nie tylko ilość czytających, ale i fakt, że wśród nich większość nie wyglądała na miłośników literatury i zakończyła wykształcenie na szkole powszechnej. Żeromski, Reymont, Orzeszkowa, tłumaczenia z obcych języków, bez różnicy, cokolwiek popadło. Zwłaszcza Prusa porozdzierali na strzępy. Nie pamiętam, czy czytano Sienkiewicza, w każdym razie nie wpadł mi w ręce. A przecież jego książki były najpopularniejsze w polskich domach. Sam przypominam sobie, że plądrując czyjąś domową bibliotekę, Sienkiewicza pominąłem.

Zasypianie w czasie nocnych ataków osiągnęło takie rozmiary, że pod wieczór 17 sierpnia, dla odpoczynku, wyznaczono nas kilku na tyłową pozycję na parterze domu na Nalewkach, przy oknach wychodzących na ogród Krasińskich. Po dotarciu na miejsce odbył się zwykły rytuał: obsadzenie i poprawienie stanowisk strzeleckich, a następnie przygotowanie „sypialni". Nim się przesunęło łóżko we właściwy kąt poza zasięg kul i odłamków, trzeba się było dobrze rozejrzeć i zastanowić, zwłaszcza w narożnym domu, jak tutaj.

Najstarszy wiekiem Barykada objął dowództwo placówki. Kolację zjedliśmy jeszcze za widna i od razu dobraliśmy się do biblioteki. Książek było mnóstwo, w pięknych, twardych oprawach. Złote i srebrne litery na szarym, granatowym i czarnym tle. Zanim wybrałem parę, bobrowałem dość długo nie bez poczucia winy, bo to nie moje... Co powiem, jeśli właściciele nagle wejdą, a tu stos książek na podłodze. Potem wziąłem się do czytania w łóżku, położywszy hełm obok poduszki pomiędzy głową a ścianą i tak mnie sen zaskoczył - z książką w ręku i karabinem między nogami. Noc minęła spokojnie.

Mało co zakłócało ciszę, czasem daleka seria, miękki terkot, jakby ktoś powoli rozdzierał zbutwiałe prześcieradło. Co dwie godziny zmienialiśmy się przy oknie i w ten sposób każdy wyspał się do woli. Ranek jak zwykle nastał bezchmurny i piękny -oczywiście dla Niemców. Przed nami leżał ogród cichy, bezludny, drzewa przesłaniały mur getta. Po drugiej stronie Nalewek, w piętrowym młynie mechanicznym zwanym Białym Domem, mieściło się poddowództwo pododcinka w osobie nie znanego nam podporucznika Zdana. Zawiadomili nas o tym Reniek i Kobuz, którzy wpadali od czasu do czasu, by zasięgnąć języka i sprawdzić, jak się sprawujemy.

Każdemu było wiadomo, że dowództwo AK planowało Powstanie na dwa do czterech dni, więc nic dziwnego, że my i tego poranka głowiliśmy się, jak wymknąć się z Warszawy po zachodzie słońca; chyba, że Rosjanie przyjdą.

Niezwykła cisza niepokoiła. Czyżby kapitulacja Niemiec? A może nocą dowództwo, tyły i uprzywilejowane oddziały wycofały się kanałami, nas zostawiając. Trzeba się dowiedzieć na własną rękę „co w trawie piszczy". Może Niemcy coś już wiedzą i dlatego tacy spokojni. Z rzadka dobiegał metaliczny dźwięk odległej eksplozji, jakby echo odbijało się od niebieskiego sklepienia. Zaofiarowałem się zasięgnąć języka w Białym Domu.

Wyskoczywszy oknem, chyłkiem biegłem do bramy ogrodu, niezupełnie zdając sobie sprawę, że miasto pozostało poza moimi plecami i znikąd nie ma osłony. Przede mną, poza drzewami leżała płaszczyzna getta, na lewo ogród straży pożarnej. Wszystko wydawało się jasnoszare, oślepiające jak w słońcu tropików: nie kończące się jezdnie, chodniki bez domów, szaroceglasta pustynia i Biały Dom, w którym mieli być Polacy. Biegłem jakby środkiem areny, z bramy ogrodu przez skrzyżowanie Nalewek z Nowolipkami. Mogli mnie widzieć z getta i od strony pałacu Mostowskich.

Podporucznik Zdań w Białym Domu uważał, że cisza nie wróży nic nadzwyczajnego. Niemcy przegrupowują się do natarcia. Na prośbę, by nas powiadomił, gdy będzie się cofał, oświadczył spokojnie - nie okazując ani niezadowolenia z powodu mojego defetyzmu, ani zarozumialstwa - że o wycofywaniu się nie ma mowy i że będzie się bronić do ostatniego naboju.

W bunkrze przy bramie getta wciąż jeszcze musieli być powstańcy, inaczej nie dobiegłbym do Białego Domu.

Po szczęśliwym powrocie przez Nalewki do kwatery postanowiłem

być ostrożniejszym na przyszłość i znów oddałem się czytaniu. Wbrew zapowiedziom ppor. Zdana spędziłem kilka miłych godzin grzebiąc się w książkach, jedząc bez pośpiechu, zerkając na ogród i gawędząc, głównie z Barykadą. Dotąd znałem go półoficjalnie, jako żołnierza, teraz spoza Barykady wyłonił się Stasiek Bugajski. Czułem się wielce zadowolony z życia. Jeśli spokój nie zwiastuje natychmiastowego załamania Niemiec, to już sam przydział na drugą linię obrony wystarczał, żeby wprawić człowieka w świetny humor.

Chyba koło południa odwołano nas do Pasażu. Wychodząc, zabrałem całe naręcze książek. Wkrótce w pośpiechu przerzucono część kompanii tam, gdzie Niemcy przełamali polską linię. Gdy przybyliśmy na właściwe miejsce, okazało się, że przełamania nie było, ale na wszelki wypadek zatrzymano nas.

Pod wieczór wróciłem do Pasażu z jakimś poleceniem i na Sali Obrabiarek zastałem niemały rozgardiasz. Coraz to pocisk uderzał w górne piętra od strony ogrodu. Tynk sypał się wzbijając nieco pyłu. Powstańcy tyłowych formacji, wypłoszeni z wygodnej kwatery na wyższym piętrze, pętali się zalęknieni między maszynami, nie wiedząc dokąd uciekać. Za mojej pamięci Pasaż po raz pierwszy znalazł się pod bezpośrednim ogniem. Oficerów nie było, poza porucznikiem Szoferem, który dopiero co wrócił ze szpitala, gdzie mu wyjęto oko. Zobaczywszy mój karabin kiwnął na mnie, ale ja, znając go dobrze, ani drgnąłem. Wtedy zaczął rozglądać się za innymi. Jego właśni żołnierze nie chcieli biec kilkadziesiąt metrów po otwartej przestrzeni, skrajem ogrodu do przybudówki na tyłach Pasażu, gdzie jakoby usadowili się Niemcy. Po krótkim sporze rozgniewany Szofer machnął ręką i już zbierał się do skoku w pojedynkę, gdy mu inni zagrodzili drogę i zaczęli perswadować jak dziecku.

Słów już nie pamiętam, ale argumenty sprowadzały się mniej więcej do tego, że jeśli śmierć za ojczyznę jest słodka i zaszczytna, to dlaczego umierać teraz, a nie później. Powstrzymywany siłą Szofer zaczął się szarpać, ale w końcu uległ. Gdy tak z czarną opaską na oczodole wyrywał się sam do ogrodu po śmierć, pomyślałbyś, że wariat albo pijany; zawsze był takim, mówili ci, co znali go lepiej.

Czerwieniąc wierzchołki drzew, niskie zadymione słońce kładło długie cienie. Z półmroku, spod gałęzi i krzaków, mogła wybiec w każdej chwili niemiecka tyraliera. Było nas tylko kilku uzbrojonych. Groza ogarnęła wszystkich, że kompania wycofała się zostawiając nieuzbrojonych na pastwę Niemcom. Oczywiście, cofać się można

było zaledwie pół kilometra, dalej cofanie automatycznie przeradzało się w marsz ku przodowi. Prawie na każdym rogu był właz do kanału. Nikt z nas nie wiedział, które z nich otwierały się do burzowca na Żoliborz. Zdawało się, że aby uciec ze Starego Miasta, wystarczyło tylko podnieść właściwą klapę i zejść pod ziemię.

Arsenał

Następnego ranka po przespanej nocy obsadzono mną jednoosobowe stanowisko bojowe w Pasażu przy Nalewkach, w głębi dużej wypalonej sali. Sądząc po wymiarze otworu w ścianie, musiał tu kiedyś być sklep z wielkim oknem wystawowym. Siedząc z tyłu za osłoną z cegieł, miałem wgląd na Nalewki, na wąską przestrzeń pomiędzy Arsenałem a parterową szopą. Solidna barykada ukośnie przecinała skrzyżowanie Wyjazdu z Nalewkami, łącząc narożnik Pasażu z narożnikiem Arsenału.

Na wojnie tyle jest pomyłek, ponieważ rozkazy bywają niejasne, a jeśli rozkazy są w porządku, to sytuacja jest niejasna**,** a jeśli i sytuacja, i rozkazy jasne, to niewyraźnie widać.

Zadanie, które dostałem od oficera, było tak niezwykłe i proste, że z miejsca wzbudziło we mnie podejrzenia. Ktokolwiek pojawi się na ziemi niczyjej między szopą a Arsenałem lub dalej poza szopą wzdłuż ściany Arsenału - strzelać. Porucznik usiłował rozwiać moje wątpliwości podkreślając, że bez względu na to, jak ten ktoś będzie wyglądał - zabić, nawet gdyby był w mundurze powstańca. Utkwiło to mi w pamięci jako jeden z niedorzecznych rozkazów. Jak się po wojnie dowiedziałem, ten rozkaz był jednak do pewnego stopnia uzasadniony. Tego samego czy poprzedniego dnia poległ trzeci dowódca naszego batalionu, kapitan Edward. O świcie, widząc żołnierzy z biało-czerwonymi opaskami na ziemi niczyjej, wysunął się i zawołał. Strzelili do niego z pistoletu maszynowego. Jak zwykle, podejrzewano Ukraińców.

Czas mijał miło, dziewczęta przyniosły śniadanie. Cicha błogość zalewała mi serce, gdy po przespanej nocy, mając wciąż ociężałość w kościach, siedziałem wygodnie na krześle popijając słodzoną kawę. Trzeba być frontowym żołnierzem i trochę wojnę lubić, by zrozumieć, jak czuje się człowiek, który do niedawna sam był zwierzyną, a teraz na odmianę z bezpiecznego ukrycia okiem kłusownika lustruje przedpole wypatrując, kogo by ustrzelić.

Na moich oczach dzień budził się do życia i do śmierci. Z dogorywających zgliszcz dym się snuł powoli, rozświetlony pierwszymi promieniami, brzoskwiniowy u góry, dołem jeszcze szary. Czerwone słońce wschodziło i nie świergot ptaków je witał, ale rzadkie strzały, jak trzaskanie suchych gałęzi pod stopą grubasa.

Nie spuszczając oczu z przedpola, poprawiłem barykadę. Do mych ulubionych zajęć należało urządzanie się na nowym stanowisku - takim, które jeszcze nie znajduje się pod obstrzałem. Nim się wziąłem do przemeblowywania, wpierw pozwoliłem pogalopować wyobraźni, co najgorszego może się przydarzyć. Trzeba zastanowić się, którędy odłamki prysną, gdy pocisk wleci ukosem stąd albo stamtąd. Co robić, gdy granat padnie przede mną, za mną. Gdzie zastawić się blatem stołu, a gdzie drucianą siatką z łóżka. Gdzie podeprzeć fotelami, uszczelnić materacami, nie blokując sobie przy tym drogi odwrotu. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Niedorzeczność rozkazu i stanowczość, z jaką go wydano, intrygowały mnie nieco i niepokoiły, bo co zrobić, jeśli za chwilę na wprost mej lufy ukaże się powstaniec lub cywil. Zabić? Czasem ktoś wpadał, pogadał i tak zeszło parę godzin.

Koło południa przerzucili mnie na przeciwległy róg, do Arsenału. Tu już zastałem Czarnotę, Barykadę, Edka i Kawkę. Z pustego domu naprzeciwko, po drugiej stronie Nalewek, przynieśli już łóżko z materacem i ustawili je kilka metrów za barykadą z płyt chodnikowych, pod sklepieniem, między ścianą a arkadami Arsenału. Żołnierz frontowy kładzie się, kiedy tylko może.

Nowa pozycja wyglądała mniej więcej tak. Po przekątnej, między rogiem Arsenału a Pasażem Simonsa - barykada z płyt chodnikowych, „kocich łbów", worów z piaskiem i cukrem. Wyjście spod arkad na Nalewki w kierunku Białego Domu zamknięte było przesłoną z płyt chodnikowych z płaskimi otworami strzelniczymi, przez które widać było Nalewki aż do bramy w murze getta. Zaraz na lewo znajdowała się parterowa szopa, równoległa do północnej ściany Arsenału, a za nią poprzecinany okopami ogród straży pożarnej. Dalej, po lewej stronie, za Nowolipkami - Biały Dom, niewidoczny za koronami drzew. Obok na prawo - sześciopiętrowa ściana Pasażu, a następnie dwie niewysokie kamieniczki wzdłuż Nalewek i siatka ogrodu Krasińskich z bramą na wprost Nowolipek. Niezupełnie było wiadomo, gdzie nasi, a gdzie oni. Od rana huczały działa z wielką siłą, choć w polu widzenia nic się nie działo.

W bramie getta pojawił się czołg, co upewniło nas, że bunkier

obok bramy i Biały Dom zajęli Niemcy. Goniec pobiegł po armatę. Tymczasem czołg wycelował lufę ku nam. Cofnęliśmy się w głąb arkad. Oddał dwa, trzy strzały w skrzyżowanie i ucichł. Po kolei przyglądaliśmy się przez wojskową lornetkę cętkowanemu „tygrysowi", który wykręciwszy się strzelał w ogród Krasińskich. Jeszcze raz uderzyły mnie pastelowe kolory ceglanej pustyni na tle bladego błękitu. Niebo nad gettem było mniej zadymione niż nad nami. Wróciłem na łóżko do czytania „Niedobrej miłości" jakiejś polskiej autorki, ale przerwałem, gdy nadciągnęła nasza artyleria. Okazało się, że barykada była za wysoka i należało albo rozebrać ją trochę w jednym miejscu, albo ustawić działo na podwyższeniu, a wszystko to zrobić szybko i dyskretnie, by Niemcy nie zauważyli. Przez strzelnicę nadal przyglądaliśmy się czołgowi zajętemu czymś w ogrodzie Krasińskich. Artylerzyści w nerwowym pośpiechu przebudowywali stanowisko. Działo było już gotowe do strzału, gdy wtem stoczyło się w dół. Napięcie ogromne. Ściągną na nas ogień! Widziałem pierwszy raz polską armatę w akcji. Artylerzyści też chyba pierwszy raz na samej linii frontu. Zaparli się o bruk i działo wtoczyło się wyżej na płyty chodnikowe. Kapral Jur kręcił korbą, padł strzał i artylerzyści wznieśli okrzyk zwycięstwa...

- Trafiony! Czołg jednak wycofał się rakiem poza mur getta. Pociski były rozpryskowe, więc o przebiciu pancerza nie było mowy.

W przyległym skrzydle Pasażu, gdzie czuwali butelkarze, powstał rwetes, rozległy się pokrzykiwania:

- Trzymaj go za ucho...

- Za ogon go, za ogon! Dał się słyszeć urywany kwik świni... Przycichło i zdawało się, że sytuacja jest opanowana, gdy nagle kwik znowu rozdarł powietrze i niewidoczny dotąd duży prosiak wypadł na Nalewki z tego właśnie pomieszczenia, gdzie rano siedziałem na służbie. Mając drogę ucieczki zagrodzoną na lewo barykadą, a na wprost siatką ogrodu straży pożarnej, pomknął w prawo ku Niemcom. Nadarzyła się znowu okazja wyszydzać tyłowców. Oberwało się i butelkarzom, który pomagali grupie aprowizacyjnej w akcji przeciw świni.

Nagle z bramy getta wyjeżdżają dwa czołgi i od razu biją prosto w nas. Pociski rwą się na narożnym pustym domu po drugiej stronie Nalewek, o dziesięć metrów od łóżka. Przytulamy się do arkad, artylerzyści rzucają się do ucieczki. Kotłuje się, pryska cegłami, pył świerzbi w nosie i drapie w gardle. Szybko zdejmuję okulary. Po paru minutach ogień urywa się, artylerzyści wracają i odciągają działo ku

bramie Pasażu. Czołgi wykręciły lufy i strzelają, ale nie wiadomo w kogo.

Artylerzyści ochłonęli i zachęceni okrzykami przyciągają z powrotem armatę; jeden z czołgów wciąż jeszcze stoi i strzela. Ustawiają armatę, Jur kręci korbą, pada strzał, czołg zakręca - gąsienica zerwana. Drugi czołg wysuwa się i strzela po barykadzie. Artylerzyści łapią działo i w nogi. Wkrótce „zdrowy" czołg odciąga „rannego". Jeśli ktoś, kto tam wtedy był, stwierdzi że było nie tak, ale na odwrót, nie będę się spierał.

Z Pasażu zauważono, że kopci się w magazynie cukru na piętrze nad naszymi głowami. Ogień szerzył się z wielką szybkością i wkrótce było słychać ni to szum, ni to bulgot, jakby motor jakiś szedł nierówno. Wyglądało na to, że przyjdzie opuścić pozycję. Dym buchający sponad arkad wypełniał na górze wąską przestrzeń pomiędzy Arsenałem a Pustym Domem, przesłaniając niebo. Odcinek Nalewek od Długiej do Pasażu Simonsa przypominał bardziej tunel niż wąwóz. Rude promienie słońca raz po raz przebijały dym rozjaśniając ulicę. Na jezdnię sypały się iskry i tlące strzępy.

Jednym z ulubionych tematów powstańców były rozmowy o tchórzostwie innych. W tym wypadku używaliśmy sobie na artylerzystach. Przyznać jednak trzeba, że gdy czołg strzelał, działon nie miał żadnej osłony. Ich dowódca, podchorąży, zwiewał, jeśli nie pierwszy, to w każdym razie nie ostatni, za to kapral Jur, który był ojcem działonu, uciekał ostatni, a wracał pierwszy. My pod arkadami mieliśmy prawdziwą ucztę duchową, gdy artylerzyści rzucali się do ucieczki ku bramie Pasażu z powodu fałszywego alarmu i wracali z niepewnymi minami. Dziś myślę inaczej - niełatwe było życie obsługi jedynego działa na siedem tysięcy żołnierzy w połowie dwudziestego wieku.

Od czasu do czasu eksplozje po drugiej stronie ulicy przerywają nam odpoczynek i obsypują ceglanym miałem. Wypracowaliśmy taki system: gdy czołg wykręca lufę na naszą pozycję, jeden zostaje za płytami przy strzelnicy, a reszta biegiem w tył, ze trzydzieści metrów, do bocznej bramy Arsenału, poza zasięg odłamków. Mnie tak się ta zabawa w chowanego czy w czarnego luda podoba, że zostaję na ochotnika prawie za każdym razem.

Koło piątej po południu, bez przygotowania artyleryjskiego, z Białego Domu wybiegli na Nalewki Niemcy, z lewa na naszą prawą flankę do ogrodu Krasińskich. Stałem opierając lufę w otworze

strzelnicy, gdy nagle wyskoczyły przede mną ciemne postacie. Nim pociągnąłem za cyngiel, już byli na jezdni. Dopadli do siatki. Strzelam, wprowadzam nabój do lufy, składam się do strzału, i gdy znowu celuję już kilka nieruchomych ciał leży na pustej ulicy. A to artylerzyści nie dali się zaskoczyć ani wystraszyć i wygarnęli do Niemców z armaty.

Pojawił się porucznik Konar z paru powstańcami i widząc, że jeden Niemiec wstaje, zmierzył się. Któryś z jego żołnierzy podbił mu karabin:

- Panie poruczniku, Polak nie dobija rannych! Niemiec zataczając się, zawrócił do Białego Domu.

Konar zapewne oczekiwał nowego natarcia piechoty, bo zaledwie odszedł, przybiegł powstaniec z jego kompanii z garłaczem osadzonym na końcu lufy karabinu. Garłacz jest to urządzenie w kształcie butelki bez dna służące do miotania z karabinu specjalnych granatów na odległość kilkudziesięciu i więcej metrów.

Przez artyleryjską lornetkę kolejno przyglądaliśmy się poległym. Dwaj, w trawiastych mundurach niemieckiej policji, z plecakami z brązowym futerkiem jak nasze, leżeli obok siebie na chodniku w tej samej pozycji, na lewym boku z podgiętymi kolanami. Musieli zginąć klęcząc przy przecinaniu siatki. Zdziwiło mnie, że nosili furażerki - sądziłem, że Niemców stać było na hełm dla każdego żołnierza. Zwyczajem niemieckiej policji mieli wysoko podgolone głowy, po twarzy bliższego, z włosów po policzku sączyła się stróżka krwi. Trzech leżało na jezdni skrzyżowania Nalewek z Nowolipkami.

Ledwo ochłonęliśmy, rozgorzał spór o broń po zabitych. Artylerzyści upierali się, że im się wszystko należy, bo to oni położyli Niemców jednym strzałem. Przechwalali się, że specjalnie wycelowali w jezdnię przed biegnącymi, aby zmieść ich lawiną odłamków, jak z kartacza. Przyznawałem im rację, ale tylko w duchu.

Tłumaczyliśmy im: „Po co wam broń, skoro macie armatę?". Oni na to, że sprawiedliwość po ich stronie. A my, że bez broni łatwiej uciekać. Hutnicki zaperzył się. Cała ta wymiana zdań toczyła się na odległość kilkunastu kroków poprzez Nalewki, gdyż artylerzyści zaraz po strzale odciągnęli armatę z barykady za węgieł muru.

Kompromis został osiągnięty na zasadzie, każdemu podług jego potrzeb, zamiast podług jego zasług; dla nich karabiny, dla nas granaty i rewolwery. Przy pistoletach maszynowych długo nie obstawali, z góry wiedząc, że ich nie dostaną.

Wydawało się, że Niemcy mieli dosyć na dzisiaj, chód do nocy

było jeszcze daleko. Urozmaicaliśmy sobie czas oglądaniem poległych; lornetka była jedna, chętnych wielu. Nim obeszła wszystkich, człowiek znowu nabrał chęci, by popatrzeć.

Niemcy, dotychczas niewidoczni, bili w nas pociskami, rakietami, granatnikami; palili, obrzucali bombami, obsypywali kulami. Nieraz wydawało się, że przeciw nam walczą nie ludzie, ale zdalnie kierowane maszyny. Teraz pierwszy raz mogłem im się przyjrzeć bez lęku i bez pośpiechu. Jakby czapka niewidka z nich spadła i nagle ukazali się zaskoczonym przeciwnikom.

Widok trupów pobudzał mnie do filozofowania na temat śmierci. Udając człowieka głębokiego, wynajdywałem banały, które krępowałbym się wypowiedzieć na głos. Na przykład: ile mógłby on, poległy, dokonać w życiu; ile cierpień go ominęło; nigdy nie spotkamy się po wojnie; nawet nie wie, że już nie żyje. Śmierć młodego tak zaskakuje, jak widok pary nowiutkich, prosto z kopyta oficerek, stojących na skraju gościńca.

Pomimo kanonady dookoła uderzał spokój w naturze podkreślony bezruchem postaci. Odnotowałem w pamięci miejsce, gdzie leżeli zabici żandarmi: kilkanaście kroków od bramy ogrodu Krasińskich w naszą stronę, pomiędzy dwoma szczerbami w podmurówce ogrodzenia. Starałem się odgadnąć, co Niemcy, naprzeciw nas, robią w tej chwili... zapewne to samo co ja - wpatrują się w poległych. Każdy ma wspomnienia, których czas nie wymazuje. Dla mnie jedno z nich, to to puste, pokryte pyłem skrzyżowanie, zieleń po obu stronach, rude pasmo ruin w dali, porozrzucane ciała w promieniach ukośnego słońca i radość zwycięstwa.

Pożar, co buzował nad nami na piętrze Arsenału, okazał się nie tak groźny. Temperatura pod arkadami podniosła się wprawdzie, ale nie na tyle, by zmusić nas do odwrotu. Po godzinie, gdy się okazało, że gruby strop nie tylko wytrzymuje ogień, ale i stanowi dobrą izolację, przestaliśmy nań zwracać uwagę. Od strony Niemców pewnie wyglądało to okazale, gdy tony cukru paliły się żółtym płomieniem trzy metry nad naszymi głowami. Nie uwierzyliby, że tuż poniżej ktoś czytał „Niedobrą miłość".

Poza naszymi plecami trwał nieustający ruch. Łączniczki przebiegały, wynoszono rannych z Arsenału. Dziewczęta od Lisa wpadały od czasu do czasu z kawą, z jedzeniem, by porozmawiać. Mój kolega Dlouhy ze szkoły sanitarnej Zaorskiego ukazał się w dymie na czele obsługi „piąta". Powitałem go radośnie. Cieszyło mnie, ilekroć ktokolwiek znajomy z cywila widział mnie w panterce,

uzbrojonego po zęby. Dlouhy, zawsze powściągliwy, ledwie skinął głową w odpowiedzi na moje wołania i wymachiwania, jakby ważna misja nie pozwalała mu przystanąć na parę sekund. Wszedł z tyłu pod arkady, gdzie były boczne drzwi do Arsenału. Przechodzili oficerowie, ledwie rzuciwszy na nas okiem. Żaden nie interesował się, co u nas słychać, jakbyśmy byli tylnym ubezpieczeniem. Konar wpadł pierwszy, zapewnię zaalarmowany natarciem w rejonie północno-wschodniego narożnika Arsenału.

Mieliśmy za to gości z prasy. Już się dowiedzieli o porażce Niemców i chcieli szczegółów. Na Starówce wychodziło chyba z dziesięć czasopism, więc wciąż gościliśmy korespondentów terenowych. Ich rola nie ograniczała się do wysłuchania naszych przechwałek i narzekań. Informowali nas także o walkach na innych odcinkach; mówili, że nie jest źle i że Polska jest natchnieniem świata w walce o wolność. Dziewczyny roznosiły gazety różnych kierunków politycznych. Moją największą sympatią cieszyli się syndykaliści. Nie bardzo wiedziałem, co słowo to dokładnie miało znaczyć, ale z jakichś powodów najbardziej przypominali mi anarchistów. Prawicowcy podkreślali, że to naród polski walczy bohatersko. Lewicowcy, że lud polski.

Nagle znowu z Białego Domu wyskoczyły postacie na skrzyżowanie. Spudłowałem i zanim pociągnąłem spust drugi raz, ktoś krzyknął:

- Cywile! Teraz dopiero zauważyłem, że powiewali białymi płachtami. Pod lufami Niemców cywile zabrali zabitych, ich broń i tak się zakończył spór z artylerzystami.

Zaledwie cywile zniknęli z pola widzenia za Białym Domem, w bramie getta pojawił się czołg. Powoli wypełzł spoza bunkra, jak wąż, a raczej sama jego głowa bez tułowia. Wiedząc, na co się zanosi, włożyłem okulary do kieszeni. Zawsze zdejmowałem je z nosa najpóźniej po pierwszym wybuchu, aby mi ich nie zdmuchnęło lub nie wgniotło szkła do oczu. Zostałem z Edkiem na przedzie przy przesłonie z płyt chodnikowych. Reszta pobiegła w tył i schroniła się w środku Arsenału. Jeden z pierwszych pocisków eksplodował na arkadzie, za którą stałem. Jakby gigantyczny odkurzacz buchnął wstecz rudym pyłem. Podmuch uderzył Edka stojącego po drugiej stronie przesłony i pchnął go na ścianę. Edek chwycił się za twarz i trzeba było odprowadzić go na tyły, bo nie mógł otworzyć oczu. Bombardowanie prawie nie ustawało. Sądząc po częstości wybuchów, musiały strzelać dwa czołgi albo działa szturmowe.

Pociski uderzały w róg domu po drugiej stronie wąskiej jezdni w odległości dziesięciu metrów i w barykadę. Wzbijały taki kurz, że nie było widać Nalewek, skąd mogli wypaść Niemcy. Kobuz dołączył i objął dowództwo. Kazał reszcie trzymać się nieco z tyłu, a my obaj zostaliśmy na przodzie jako obserwatorzy. Ogarnęło mnie wesołe podniecenie, jakbym po pijanemu wyszedł na scenę teatru. Mrużąc oczy rozglądałem się. Przez grzeczność próbowałem wstrzymać się od śmiechu, widząc jak inni kurczyli się i drgali przy każdej eksplozji. Kobuz o trzy kroki ode mnie, w pół skulony, przytulony do arkady, bał się -twarz mu się krzywiła przy każdym podmuchu. Gardziłem nimi, że nie panowali nad strachem.

W przerwie pomiędzy salwami Kobuz kazał mi się cofnąć. Odskoczyliśmy aż do bocznego wejścia do Arsenału. Gdyby pocisk uderzył w płyty chodnikowe lub ponad nimi wpadł pod sklepienie arkad, byłoby po nas. Dlatego, zwykle po pierwszym wybuchu każdej serii, biegliśmy w tył kilkanaście kroków, czekając aż obstrzał ustanie i wtedy pędziliśmy z powrotem do przesłony z płyt. Tak długo, jak czołgi strzelały, piechota nie mogła wedrzeć się na barykadę. Zazwyczaj biły szybko raz za razem, potem nagle ustawały, jak gdyby Niemcy chcieli zobaczyć, co się zwaliło, a co jeszcze stoi. W myśli musieliśmy liczyć sekundy pomiędzy wybuchami. W pewnej chwili wydawało mi się, że przerwa przedłuża się i wtedy sadziłem susami do barykady wyprzedzając innych, by nie dać się ubiec Niemcom.

Kurz z wolna rozwiał się. Nalewkami pędził ku nam czołg. Artylerzyści już wytoczyli armatę i Jur nakręcał nań lufę. Strzelili raz czy dwa razy. Czołg podjechał tak blisko, iż widać było, że to tylko tankietka. Granat potoczył się po jezdni. Nie rozumiałem, o co chodzi. Czołg był za mały, by przejechać przez barykadę. Artylerzyści wygarnęli z armaty jeszcze raz i wrzasnęli radośnie. Wieżyczka spadła na ziemię, a tankietka zrobiła ostry zwrot w lewo i wyrżnęła w ścianę Pasażu. Parę pocisków rozerwało się po drugiej stronie jezdni. Podniosła się kurzawa.

Usłyszałem krzyki.

- Niemiec, Niemiec!

To wołali nie uzbrojeni butelkarze z pierwszego piętra Pasażu Simonsa, którymi niedawno wzmocniono naszą pozycję. Przez otwór strzelnicy zobaczyłem człowieka pędzącego do getta, już minął bramę ogrodu Krasińskich. Nie mogłem chwycić go na muszkę. Biegł chodnikiem po przeciwnej stronie i zasłaniał go rząd latarń. Migał za

nimi jak poza gęstymi sztachetami. Strzeliłem, zniknął w getcie.

Spór z artylerzystami rozgorzał na nowo. Kto zniszczył czołg? My podkreślaliśmy, że granat rozerwał gąsienicę, ale zakrzyczeli nas, że wieżyczka czołgu nie mogła odpaść od wybuchu granatu. Na to nie było argumentu.

Trudno było zrozumieć, co Niemcy chcieli osiągnąć. Może tankietka zawierała materiał wybuchowy z zegarowym zapalnikiem. Jeśli tak, to należało od razu cofnąć się. Posłaliśmy po jeńców. Nie uszło jednak naszej uwagi, że czołgista próbował zawrócić. Po krótkiej i głośnej dyskusji z butelkarzami po drugiej stronie Nalewek w Pasażu postanowiliśmy podpalić czołg z obawy, że jest jedną wielką bombą zegarową. Tak jak tamten, który przed tygodniem eksplodował na Kilińskiego. Dopiero czwarta czy piąta butelka z benzyną zapaliła się. Oczywiście spod arkad posypały się szydercze uwagi.

Jeszcze czołg dymił, gdy pojawił się Sosna. Nadszedł uliczką Wyjazd od bramy Pasażu. Zanim my zdążyliśmy otworzyć usta, butelkarze, stojący pod ścianą Pasażu, pierwsi z dumą zameldowali mu o zniszczeniu czołgu. Sosna od razu wykrył kłamstwo i dał im opeer za spalenie tankietki, która po małej naprawie nadawałaby się do użytku. Teraz z kolei do głosu dorwali się artylerzyści, jak to oni odstrzelili wieżyczkę czołgu, choć bił z karabinu maszynowego. Nie dał im dokończyć.

- To wcale nie wygląda na wieżyczkę.

A nas pod arkadami objechał za gapiostwo, że pozwoliliśmy samotnemu Niemcowi uciec spod nosa.

Wkrótce przyprowadzono jeńców, którzy potwierdzili, że rzekoma wieżyczka zawierała sto czy ileś tam kilo trotylu. Czołg, zrzuciwszy ładunek przed naszą barykadą, miał zawrócić, odjechać kilkadziesiąt metrów i detonować ładunek przy pomocy kabla, którego dotąd nikt nie zauważył na jezdni zasypanej gruzem. Niemcy, choć poddawali się niechętnie, wzięci do niewoli starali się nas nie drażnić, przekonani przez własną propagandę, że korkociągami wyrywamy oczy itp. Można więc było im zaufać, że mówili prawdę. Nie wiem, czy to jeszcze jeńcy za dnia pod lufami, czy też nasi saperzy nocą przenieśli trotyl, bo zaraz po odejściu Sosny położyłem się na łóżku z „Niedobrą miłością" w ręku i wkrótce zasnąłem. Gdy obudzili mnie, było już ciemno, cukier na piętrze nad nami wypalił się do cna, nawet żaru nie zostało.

Wanda Żydówka i Zosia Kos przyniosły wiadomość o

zbombardowaniu Komendy Żandarmerii. Hanka, jej siostra i Niunia były ranne.

Gdyby nasze dowództwo nie uknuło zemsty, nam i naszym przeciwnikom przypadłby w udziale zasłużony nocny wypoczynek aż do ich śniadania, aby z nowymi siłami i wiarą w zwycięstwo przystąpić do boju w promieniach budzącego się słońca.

Jak w tym teutońskim raju, bitwa szaleje, konie i rycerze walą się na ziemię i wszystko, co żyło, u schyłku dnia leży na pobojowisku. Z pierwszymi promieniami słońca goją się śmiertelne rany, ogólne zmartwychwstanie, rycerze dosiadają koni i znów bitwa się zaczyna.

Nasz nocny *ordre de bataille* odznaczał się prostotą i zamaszystością: podczołgać się pod Biały Dom, wrzucić trotyl do środka, wysadzić i skoczyć na Niemców. Powstańcy z ogrodu Krasińskich mieli nas wesprzeć ogniem.

Kto miał zapasowe wełniane skarpety, naciągnął je na buty. Pozostali owinęli je szmatami. Usunąwszy płyty tuż przy ścianie Pasażu, wąskim przejściem chyłkiem przeciskaliśmy się poza barykadą na drugą stronę Nalewek, pod siatkę ogrodu straży pożarnej, i kładliśmy się na chodniku. Coraz więcej żołnierzy dołączało się i czołówka musiała posuwać się nieco ku przodowi, by zrobić miejsce innym. Za widna człowiek dostałby tu kulę, ledwie by zdążył przeżegnać się. Teraz jednak, nie tylko ciemność kryła nas przed okiem Niemców, ale także gałęzie, które ścięte odłamkami, gęsto zalegały chodnik. Przepchnąłem się do przodu i byłem trzeci, gdy kolumna ruszyła gęsiego, na czworakach, wzdłuż płotu. Nabierałem coraz silniejszego przekonania, że nic mi się stać nie może.

Niskie podmurowanie siatki dawało osłonę od lewej strony tylko wtedy, gdy leżało się płasko. Im dalej od Arsenału, tym mniej gałęzi. Trzeba było się czołgać. Domy po prawej skończyły się. Zaczęliśmy pełznąć i po nieokreślonym czasie dotarliśmy na skraj skrzyżowania Nalewek z Nowolipkami. Przez ulicę ujrzałem zarys rogu Białego Domu. Tu zatrzymaliśmy się. Saperzy z trotylem mieli podciągnąć lada chwila.

Na lewo była siatka ogrodu straży pożarnej, na prawo, po drugiej stronie jezdni - ogrodzenie parku Krasińskich. Z przodu, z niewidocznego teraz bunkra przy bramie getta, zapewne wychylała się ku nam lufa kulomiotu. Z Białego Domu i okopów wokół straży mogli obrzucić nas granatami. Nie było ani gdzie się schować, ani dokąd uciekać. Leżeliśmy, rzec można, obok zamkniętej paszczy

drzemiącego krokodyla. Wtedy jednak sądziłem, że to Niemcy byli w większym niebezpieczeństwie. Gdy rakiety wylatywały po prawej stronie nad ogrodem Krasińskich, a ściana Białego Domu po lewej odbijała światło rozjaśniając skrzyżowanie, wypatrywałem miejsca, gdzie za dnia leżeli zabici; może został tam granat, magazynek.

Niemcy strzelali z broni maszynowej za dużo, często zupełnie niepotrzebnie, chyba dla uspokojenia własnych nerwów i aby nam dać do zrozumienia, że czuwają. Miało to ten skutek, że ludzie szybko do tego przywykli. Jeszcze na Woli seria z kaemu przyprawiała mnie o wewnętrzne dygotanie, ale już w czasie walk o Arsenał przestałem reagować. Oczywiście, jak każdy, dbałem o swoje zdrowie, ale widok kul szczypiących mur opodal nie budził ani grozy, ani nie pobudzał skojarzeń w rodzaju *dulce et decorum est pro patria mori;* nawet rzadko zakłócał posiłek. Ostatnio przestałem się bać na wyrost - na przykład, że mogą do mnie strzelić za pięć minut. Doświadczałem lęku tylko wtedy, gdy do mnie strzelali, ale ani przedtem, ani potem. Dzięki tej nowo nabytej właściwości charakteru, przedłużające się wyczekiwanie na trotyl nie odbijało się na moich nerwach.

Mijały minuty, może kwadranse. Wreszcie nadeszła szeptana wieść, że trotyl gotowy. We trzech przeskoczyliśmy pod Biały Dom. Wchodziło się do niego od strony Nowolipek. Powoli, by nie zachrobotać, naciskałem klamkę. Jeden kolega przyłożył lufę do zamka, drugi wycelował ku oknom. Klamka przekręciła się, ale drzwi nie drgnęły. Stanąwszy po bokach, by do nas nie strzelono od środka, we dwóch pchaliśmy drzwi kolbami, a trzeci uważał na okna. Nie ustępowały, nie ugięły się nawet. Zabarykadowane. Za tymi drzwiami, niecałe dwa dni temu, porucznik Zdań upewniał mnie, że stanowiska nie opuści. Ani jedna rakieta nie wyleciała pod niebo, jakby nikt nas nie zauważył. A przecież stąd wychodziły natarcia Niemców aż do samego wieczora.

Staliśmy niezdecydowani obok zabarykadowanych drzwi, nieco oszołomieni ciszą. Czekać na saperów? Wracać? W głębi Nowolipek zaiskrzyło się parę razy, jak gdyby ktoś krzesał ogień wilgotną zapałką. Przeszliśmy za róg Białego Domu na chodnik od strony Nalewek. Można było próbować wejść przez wysokie okno, ale bez wątpienia Niemcy czaili się w głębi. Wahałem się, czy rzucić do środka jedyny granat, który od tygodnia chowałem na czarną godzinę. Był to trzeci od początku Powstania: tłuczek rzucił za mnie Mały na rogu Wroniej i Chłodnej, sidolkę zgubiłem w natarciu pod

Stawkami, a ten trzeci, jajkowaty, podarował mi Kobuz.

Czasem jakaś seria zakłóciła spokój nocy, ale eksplozje były miękkie, zamazane, dobiegały z daleka, niby przez watę czy gęstą mgłę i wsiąkały w ciemność bez echa. Błysnęło w powietrzu pomiędzy nami i temu, co stał bliżej, przypiekło policzek. Wyczekując trotylu staliśmy jak głupi pod gwiazdami, na tle białej ściany, aż okruchy tynku zaczęły padać. Położyliśmy się na chodniku między ścianą a olbrzymią żelazną śrubą, która nieco osłaniała nas od strony getta, skąd chyba nadlatywały kule.

Polskich pozycji, Arsenału i szkoły przy Barokowej, nie było widać. Oddzielony pasmem asfaltu, otaczał nas półkolem czarny gąszcz drzew i krzaków, a młyn pośrodku odcinał się jasną plamą i choć tylko jednopiętrowy, górował nad ogrodami i równiną getta. Nikt do nas nie dołączył, czyżby odwołano natarcie?

Niebo zaczęło tracić nieprzeniknioną czerń. I nagle uczucie przygody skończyło się i przyszedł strach. Cofnęli się, zostawili nas! Porozumieliśmy się na migi. Pierwszy, nie czekając, poderwał się i przebiegł Nowolipki. Źle!... Trzeba było razem. Teraz ja ustawiłem się do skoku, ale bruk przede mną skrzył się i skrzył, choć nie słyszałem strzałów. Noc ustępowała szarówce.

Mogłem odróżnić już co bliższe kocie łby. Iskierki pryskały od kamieni to tu, to tam, i nie wiedziałem, czy skakać ponad iskrami, czy czekać. Słońce podchodziło do widnokręgu. Gdy tylko bruk przestał się skrzyć, odbiłem się, przebiegłem Nowolipki i za chwilę byłem między swymi. Większość już zawróciła, paru jeszcze leżało czekając na nas.

W Arsenale powitali mnie z radością. Już się rozniosło, że poległem. Bardzo mi to pochlebiło, zwłaszcza że zdarzyło się to już po raz drugi. Przed kilku dniami widziano mnie zabitego z mózgiem na chodniku. Zdaje się, że Kawka przyniósł, czy też rozpowszechnił tę wieść.

Okazało się, że saperzy z trotylem w ogóle się nie pokazali, a powstańcy ze szkoły w ogrodzie Krasińskich, zobaczywszy postacie pod Białym Domem, pociągnęli po nas z enkaemu. Nie wiem, dlaczego z enkaemu, gdyż, oprócz naszej armaty, była to najcięższa broń w posiadaniu powstańców na Starówce i można jej było użyć lepiej niż strzelać nocą do cieni. Wszyscy jednak powtarzali, że to enkaem.

Rozwidniało się szybko. Ukazały się zarysy koron drzew, strzępy dachów, gałęzie na chodniku, jezdnia nakrapiana cegłami, szkielet

tankietki, druciane siatki, krawężniki. Pusta scena. Niewidzialni aktorzy zeszli do kuluarów po nocnej komedii omyłek, pozostały rekwizyty i dekoracje. A oto już światła zapalają się do dziennego przedstawienia. Błysnęło słońce i rozwiało do reszty tajemniczość tej dziwacznej nocy.

Nalewki od Arsenału po bramę getta znowu stały się ziemią niczyją. Dziwnie mi było pomyśleć, że na skrzyżowaniu przed Białym Domem, gdzie niedawno stałem, znowu włada śmierć. Gdybym się dłużej wahał, czy skakać pomiędzy iskrami, leżałbym tam teraz.

W doskonałym humorze, zmęczony i podniecony, położyłem się na łóżku, nacisnąwszy na uszy mój cętkowany, watowany kaptur. Zawiązałem tasiemki pod brodą i odszukawszy właściwą stronę, pogrążyłem się w lekturze „Niedobrej miłości". Choć nic już mi nie groziło, nie tak łatwo było się zdrzemnąć. W środku wciąż buzował jakiś płomień, należało odczekać aż się wypali, wtedy dopiero powieki zaczynały się kleić.

Polubiłem ten kaptur, choć nie wiem, do czego miał służyć, przecież nie do ochrony przed chłodem - trudno uwierzyć, aby komu głowa marzła w sierpniu i to pośrodku płonącego miasta. Ostatecznie i kaptur, i „Niedobra miłość" dostały się Niemcom i nigdy tej książki nie dokończyłem. O ile jeszcze pamiętam, były to dzieje dziwnego małżeństwa. Ona ładna, kochająca, on obojętny i niepojęty, czy coś w tym rodzaju. Mówili niewiele, jakby nie mieli sobie nic do powiedzenia, albo rozumieli się bez słów. Znajomi czegoś się domyślali, ale w rzeczywistości było na odwrót. Żyli życiem, w którym nic się nie dzieje. Przemierzali znajome mi ulice dziewiętnastowiecznej Warszawy bez celu, bez pośpiechu.

Obudzono mnie, gdy cętkowano-pręgowaty czołg wysunął się z bramy getta. Obracał lufę niezdecydowanie - „jako ten lew ryczący, wypatrując, kogo by pożarł". Ranek nastał piękny, jak wszystkie ranki Starówki, ciepły, ale nie upalny, nawet niezbyt zadymiony.

Kobuz oznajmił, że podał mnie do odznaczenia Krzyżem Walecznych za wczorajsze walki w Arsenale. Piąty krzyż u Wiernego, po Wilicie, Tomie, Wandzie Żydówce i Zosi Kos.

Działko małego kalibru uwzięło się na murowaną szopę obok. Z jej okien raz po raz kurz buchał kłębami z nagłym szarpnięciem - jak dym z komina lokomobili. Znaczyło to, że w szopie nie ma jeszcze Niemców, ale już pod osłoną ognia mogli się ku niej podkradać ogrodem straży pożarnej. Szopa, mała i krucha, nie nadawała się dla nas na stanowisko, a równocześnie zasłaniała widoczność w lewo na

ogród.

Gawędząc przyglądaliśmy się jak czołg strzelał ukosem przez ogród Krasińskich. Potem wykręcił lufę na nas, co widząc, szybko uciekliśmy w głąb, gdzie arkady lepiej osłaniały. Czołg, jak zwykle, oddał szereg strzałów w pusty dom po drugiej stronie Nalewek. Ulica tu była tak wąska, bez chodników, że odłamki i kawałki cegieł zasypywały naszą stronę. Niebezpieczeństwo jednak nie groziło, chyba że ktoś się wychylił lub przeskakiwał od arkady do arkady. Najtrudniejsze chwile były wtedy, gdy lufa celowała w nas bezustannie przez dłuższy czas. Wówczas należało jednocześnie i chować się, i uważać na to, co się dzieje. Grad odłamków był i mieczem dla Niemców, i tarczą dla nas. Kiedy kurzawa zasłaniała przed wzrokiem snajperów, można było bezpieczniej wysunąć głowę ponad barykadę i szybko rozejrzeć się. Zaledwie parę kroków dzieliło nas od szopy, a w jej oknach w każdej chwili mogli pojawić się Niemcy.

Gdy jeden czołg ma cię na celowniku, kurczysz się, wstrzymujesz oddech, serce ci galopuje, i lękasz się, i chcesz, by nareszcie strzelił; bo kiedy już strzeli, można wyprostować kości, odprężyć się, przebiec na inne stanowisko. Gdy czołgów stało więcej niż jeden, cała ta kalkulacja brała w łeb.

Od Niemców uczyliśmy się sztuki wojennej na gorąco, niemniej w roli nauczycieli nieraz zawodzili, dając zły przykład. Jedną z podstawowych zasad regulaminu walki piechoty było, że powinna ona atakować w dymie wybuchów własnej artylerii. Za przykład nieskoordynowanego działania niemieckiej broni ciężkiej i piechoty mogą służyć walki o nasz narożnik Arsenału, a zwłaszcza natarcie po południu 19 sierpnia, kiedy to Niemcy stracili sześciu ludzi. Pomimo że czołgi i działa szturmowe oddały w ciągu poprzedzających paru godzin kilkadziesiąt strzałów w skrzyżowanie Wyjazdu z Nalewkami, fizylierzy ruszyli do szturmu bez wsparcia artylerii. Ponadto atakując prawie równolegle do barykady odsłonili swą prawą flankę. A w ogóle nie byli w stanie rozwinąć szyku bojowego, ponieważ musieli wpierw albo wdrapać się do ogrodu przez siatkę, albo ją przeciąć, albo gromadą biec przez bramę, nadrabiając drogi. Stąd wniosek nienowy, że większość żołnierzy ginie przez własną lub cudzą głupotę**,** inaczej wojny trwałyby dłużej.

Najbardziej zdumiewało mnie już w czasie Powstania to, że wszystkie pociski uderzały w barykadę lub w Pusty Dom, gdzie nikogo nie było. Jeden tylko ugodził w Arsenał i właśnie wtedy Edek

dostał w oczy. Ten niezrozumiały system strzelania przywodzi mi na pamięć pewne zdarzenie jeszcze sprzed wojny.

Moje gimnazjum szykowało się do turnieju szachowego z inną szkołą. Na ostatniej, dziesiątej szachownicy miał grać mój przyjaciel Czesio, o twarzy sfinksa, którą w razie potrzeby przyozdabiał wieloznacznym uśmieszkiem. Ogromnie koleżeński, potrafił podpowiadać sąsiadowi nie poruszając wargami, jednocześnie patrząc nauczycielowi przyjaźnie w oczy. Niestety, w naukach był słaby, co obniżało wartość jego usług. Zanim zaczął podpowiadać, sam wpierw musiał przeczytać. Otóż, chcąc zwyciężyć za wszelką cenę, kapitan naszej drużyny popełnił maleńkie oszustwo, umieszczając Czesia na pierwszej szachownicy, rzekomo jako najlepszego. W ten sposób Czesio rzucony był lwu na pożarcie, za to pozostali zawodnicy mego gimnazjum mieli większe szansę na zwycięstwo: nasz pierwszy miałby za przeciwnika ich drugiego, nasz drugi ich trzeciego i tak dalej. Czesio-nowicjusz rozpoczął grę takimi niesamowitymi posunięciami, że wprawił w osłupienie przeciwnika, który mniemał, iż potyka się z mistrzem naszego gimnazjum. Twarz sfinksa i przelotne wieloznaczne uśmieszki dopełniły reszty. Przeciwnik, starając się zrozumieć ruchy Czesia, stracił głowę i Czesio, ku zdumieniu własnych kolegów, wygrał w rekordowym czasie.

Co widzieli Niemcy patrząc ku nam z getta? Oprócz masywnej barykady, łączącej Pasaż z Arsenałem, rzucała się w oczy przesłona w wejściu z Nalewek pod arkady. Zbudowana z płyt chodnikowych, z symetrycznymi otworami strzelniczymi, miała wygląd dekoracji teatralnej. Wytrzymałaby uderzenie pocisku małego kalibru, ale 88-milimetrówka, w jakie zwykle były wyposażone „tygrysy" i działa szturmowe, zwaliłaby ją jednym strzałem. Niemcom najwidoczniej nie przyszło do głowy, aby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach krył się za płytami i dlatego okładali pociskami tylko barykadę, narożnik Pasażu i Pusty Dom. Biorąc nas za dojrzałych żołnierzy, choć bandytów, prowadzili walkę według prawideł sztuki wojennej, o których myśmy nawet nie słyszeli. Gdyby strzelili w przesłonę z płyt lub powyżej, pod łukiem arkady, trzeba by nas było, jak to mówiono, łyżką ze ścian zeskrobać.

Maniuś przyniósł kawę do Arsenału. Dzieci w jego wieku siedzą po schronach z rodzicami. Za mały na żołnierza, broni mu nie dają, ale w wielu akcjach bierze udział. Biega razem z nami dla towarzystwa, nie chce sam w Pasażu zostać, boi się zgubić, bo raz już zgubił

rodziców. Zrazu niezbyt chętnie pozwalano mu iść ze starszymi na linię w obawie, że się rozpłacze i zdradzi stanowisko, ale szybko stwardniał. Zabawnie wyglądał w bluzie panterki, która sięgała mu poniżej gołych kolan.

Gdy tylko czołg odkręcił się i zajął kim innym, załoga powracała z działem lub do działa. Parę razy udało się artylerzystom spędzić czołg ze stanowiska w bramie getta, zanim w nich wycelował. Częściej jednak czołg był pierwszy. Wtedy, zależnie od stanu nerwów i od tego, jak blisko pękały pociski, artylerzyści porzucali lub odciągali działo. Większość czołgów używanych na Starym Mieście była typu „pantera" lub „tygrys", więc pociski naszej armatki się ich nie imały.

Jur jako celowniczy najbardziej chyba był narażony, ale najmniej było to po nim widać. Zdumiewające, że nikt z działonu dotąd nie oberwał, choć wielu było zalęknionych i bardzo zakurzonych. Najgroźniejszy bywał pierwszy pocisk, jeśli uderzał w barykadę, nim zdążyli odskoczyć. Wiele pocisków przelatując nad barykadą trafiało w róg Pustego Domu za plecami artylerzystów. Te jednak były mniej groźne, ponieważ odłamki rzadko kiedy pryskają ku tyłowi.

Kawka z dumą pokazywał rękaw wyszarpany odłamkami przy samym łokciu, wobec czego inni też jęli się oglądać i obmacywać. Ja także znalazłem dziury w luźno zwisającej bluzie panterki, na lewym biodrze.

Od wczesnego rana rozpętała się ostra strzelanina. Co kwadrans przelatywał pocisk z jękiem, jakby słoń-olbrzym rzężąc, ostatkiem sił pędził po niebie. Towarzyszyły temu dziesiątki innych o mniej niezwykłym głosie. Seriami po sześć chrypliwie postękiwały „szafy". Świergotało nam nad głowami. Powolny warkot sztukasów czasem przeradzał się w skowyt. Skowyt urywał się i ziemia drżała.

Spod arkad niewiele dało się zobaczyć. Pusty Dom i Pasaż Simonsa przesłaniały okolicę i tylko nad gettem widać było wycinek nieba. Z nasilaniem się bitwy człowiek zdany był coraz bardziej na słuch, gdyż łączność się rwała, plotki mnożyły, a wyglądać było niebezpiecznie. Strzelanina z broni małokalibrowej zlewała się w monotonny pomruk, jak szum lasu czy wodospadu, i nie przykuwała już uwagi tak, jak przed dwoma tygodniami.

Zosia z blizną na szyi szła do nas, jak zwykle, od bramy Pasażu, wzdłuż jego ściany. Gdy zaledwie kilka kroków dzieliło ją od barykady, mur zaczął kruszyć się nad jej głową. Krzyknęliśmy, by się cofnęła, ale czy nie dosłyszała, czy też wymachiwanie rękoma ją

zdezorientowało, bo stanęła na chwilę, zamiast uciekać. Myślała widocznie, iż dajemy jej znak, by dalej nie szła. Udało jej się i tym razem. Odtąd krzykiem zawracaliśmy nadchodzących uliczką Wyjazd z Pasażu Simonsa.

Było oczywiste, że Niemcy zajęli jakiś wysoki dom po nieparzystej stronie Długiej, naprzeciw południowo-zachodniego narożnika Arsenału. Zaniepokoiło nas to, gdyby bowiem posunęli się dalej, barykada znalazłaby się pod obstrzałem od tyłu. Od Długiej, ani przy wejściu pod arkady ani w poprzek jezdni nie było żadnej przesłony. Niestety, zwykle człowiek dowiadywał się o zmianie położenia dopiero wtedy, gdy nieprzyjaciel strzelał do niego z budynku, w którym mieli być swoi. Lada chwila placyk pomiędzy Długą, Pustym Domem i Pasażem mógł się znaleźć pod obstrzałem. Już nikt nie wysuwał się z bramy Pasażu na otwartą przestrzeń.

Pociski poczęły rwać się dokoła. Wszyscy rzucili się biegiem ku tyłowi. Zostałem na wypadek, gdyby tym razem piechota skoczyła w dym własnej artylerii. Działon, z wyjątkiem Jura, pomknął ku bramie Pasażu. Wyglądałem przez strzelnicę między płytami. Pole widzenia było tak zawężone, że z lewej strony mogliby mnie zaskoczyć z siekierą w ręku.

Nalewkami jechał czołg, zygzakiem, zataczając się od krawężnika do krawężnika. Jur sam ładował i celował. Działo cofało się po każdym strzale. Czołg im bliżej był, tym mniejszym się wydawał. Wsunąłem przeciwpancerny nabój do lufy i strzeliłem doń z paru kroków. Zwolnił. Sądziłem, że ten czołg, tak jak i wczoraj, rzuci pod barykadę ładunek wybuchowy i zawróci. Sięgnąłem po granat, ale w tym momencie czołg przesłoniła barykada; czyżby chciał przejechać barykadę, oszalał?

Widziałem tylko Jura, jak nerwowo kręcił korbą. Ostatnie, co zapamiętałem, było to, że kolory i cienie nabrały niezwykłej intensywności, liście jarzyły się zielonym światłem... Jur odgiął się ku tyłowi...

Czerwień... wszystko obróciło się w czerwień...

Nie miałem żadnych innych myśli poza świadomością, że jestem. Nie czułem nic, nawet własnego ciała. Znajdowałem się w przestrzeni bez światła, bez dźwięku, bez czasu. Najpierw zdałem sobie sprawę, że otacza mnie absolutna ciemność, potem wróciła pamięć o ogniu eksplozji. Ogarnął mnie okropny lęk, że jestem żywcem pogrzebany. Nie wiedziałem, czy leżę, czy siedzę; gdzie są moje ręce, nogi; gdzie i jak długo się znajduję. Wydawało mi się, że

mogę otwierać i zamykać powieki. Poprzez czerń jakby przebijał kolor czerwony i wtedy przypomniało mi się, że ludzie, którzy stracili oczy, przez kilka dni widzą tylko czerwień, zanim ciemność ogarnie ich na zawsze. Czerwień robiła się coraz wyraźniejsza, nabierała rudego odcienia. Rozjaśniło się. Z kurzawy powoli wyłaniał się świat nieco inny niż przedtem.

Podmuch rzucił mnie kilka metrów w tył. Siedziałem z nogami podwiniętymi w pozycji jogi, plecami oparty o łóżko. Przesłona z płyt wygięła się na kształt talii kart niedbale upuszczonej na stół. Barykada obniżyła się, płyty i kamienie zalegały gęsto jezdnię, armata mierzyła lufą w niebo. Nadbiegli koledzy i dopiero teraz usłyszałem pierwszy dźwięk - postukiwanie - gdy strzelali z karabinów. Podnieśli mnie i ze zdziwieniem stwierdziłem, że mogę utrzymać się na nogach bez wysiłku. Hełm miałem wciąż na głowie, ale zdmuchnęło mi pokrowiec, pomimo jego stalowych pazurów. Działon pojawił się na miejscu eksplozji. Złożyli Jura na noszach i ponieśli. Pośpiesznie odgrzebywali działo. Czas był najwyższy, bo drugi „goliat" już minął Biały Dom, zygzakiem jadąc ku nam. Wzięli mnie pod ramiona, ale wyzwoliłem się, a gdy „goliat" podjechał na kilkanaście metrów, uciekliśmy spod arkad do bocznego wejścia do Arsenału. Wszyscy, wyłączając mnie, zamienili się w słuch. Ja słyszałem świat jakby przez mój watowany kaptur o kolorach jesieni. Jeden z nas zerkał na zewnątrz, aby nie przeoczyć Niemców, gdy będą przełazić przez barykadę. Otworzywszy usta [Usta otwarte podczas eksplozji miały zapobiegać uszkodzeniu bębenków] i przymrużywszy oczy czekaliśmy... Oni nasłuchując, a ja wpatrując się w ich twarze. Przełknąłem ślinę, zakłuło mnie w lewym uchu.

Arsenał zakiwał się i podmuch pchnął nas nieco do środka. Nie czekając aż gruz przestanie się sypać z nieba, skoczyliśmy w kurzawę pod arkady. Drugi wybuch spłaszczył barykadę jeszcze bardziej. Niektóre wory z piachem rozpruło i wydmuchało, ale w większości ostały się, za to kocie łby i płyty podmuch rozrzucił po ulicy.

Już trzeci „goliat" pędził. Znowu schowaliśmy się w tym samym miejscu. Teraz wyglądało to na zabawę - niech je puszczają, aż się wyprztykają. Wygłupiłem się, nie uciekając przed pierwszym. Znowu zachybotał się świat, a gruz posypał się z zakurzonego nieba. Skoczyliśmy z powrotem do barykady.

Trzeciego „goliata" przystawili do Pasażu Simonsa; sześciopiętrowa ściana zwaliła się grzebiąc szkielet spalonej

tankietki. Sądziliśmy, że Kawka zginął. Dopiero co przerzucili go na stanowisko na wprost szopy, tam gdzie byłem poprzedniego dnia rano. Oczekiwaliśmy czwartego „goliata" albo ataku piechoty. Szopę ogarnęły płomienie. Tłusty, wełnisty, smolisty dym przelewał się powoli ogrodem straży pożarnej ku Niemcom.

Zdarzyło się już parę razy, że eksplozja przytępiła mi słuch na kilkanaście minut. Teraz jednak głuchota nie ustępowała, a w uchu ćmiło, nie wiem dlaczego w lewym. „Goliat" wybuchł zaledwie o pięć, sześć metrów w prawo, ale widocznie narożna arkada osłoniła mnie z tej strony, za to podmuch poszedł okrężnie na przesłonę z płyt i uderzył z przodu. W ostatniej chwili, którą pamiętałem, spojrzałem w prawo na Jura i lewą stronę twarzy miałem zwróconą ku przesłonie. Barykada też skarżył się na ból w lewym uchu. Gdy pierwszy „goliat" wjeżdżał na barykadę, akurat wysunął głowę spod arkad, by zobaczyć, co się dzieje, i podmuch rzucił nim o ścianę, choć stał ze trzydzieści metrów za mną.

W uchu wciąż kłuło. Byłem coraz bardziej zmęczony. Koledzy zdecydowali, że powinienem iść do Pasażu wypocząć. Nie opierałem się. Spełniłem swój obowiązek, jestem popularny, dostałem Krzyż Walecznych, mam dosyć Powstania. Byle dalej od tego Arsenału, póki jeszcze można. Głowę miałem pełną waty i nogi z waty.

Nie wiedzieliśmy, że nasze położenie znowu odrobinę skomplikowało się. Tynk odpryskiwał od ściany, ktokolwiek przebiegał Nalewki spod arkad do drzwi Pustego Domu. Ulica była tu zbyt wąska, by snajper mógł mieć w polu widzenia drzwi Pustego Domu, nawet gdyby usadowił się w wysokiej kamienicy na Przejeździe, po przeciwnej stronie Arsenału. Z drugiej strony była zbyt szeroka, aby można było zauważyć, w którą stronę spadały okruchy muru. Wkrótce jednak wykryliśmy tajemniczego snajpera. Na Nalewkach i w ogrodzie straży pożarnej podmuch eksplodujących „goliatów" zerwał liście z drzew i teraz po raz pierwszy spod arkad widać było Biały Dom. Oczywiście i *vice versa,* stamtąd też mieli wgląd na naszą barykadę i jezdnie pomiędzy arkadami i Pustym Domem. Ktoś z Pasażu przez lornetkę wypatrzył snajpera w oknie na piętrze Białego Domu. Kręcił się w naszym batalionie strzelec wyborowy, posiadacz karabinu z teleskopem. Poszli go odszukać. Odnalazł się Kawka; nic mu się nie stało, gdyż na widok pierwszego goliata wycofał się na z góry upatrzoną pozycję.

Barykada zaofiarował się odprowadzić mnie do Pasażu, widocznie wyglądałem gorzej niż się czułem. Drzwi Pustego Domu były wąskie,

trzeba było biec pojedynczo. Barykada włożył fajkę do kieszeni, skoczył pierwszy, i gdy już był w głębi drzwi, mur prysnął nad jego głową. Pobiegłem za nim. Zadymionymi korytarzami przeszliśmy do bramy na wprost Pasażu, gdzie operował inny snajper, ten który omal że nie zastrzelił Zosi z blizną na szyi. Ostatni skok - przez uliczkę Podjazd. Barykada doprowadził mnie do Sali Obrabiarek i zawrócił do Arsenału, gdzie pozostał Kobuz, Kawka i Reniek.

Teraz poczułem się ogromnie zmęczony i bezpieczny, jakby już było po wojnie, choć Arsenał znajdował się zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Położyłem się okręciwszy rzemień karabinu wokół szyi.

Gdy obudziłem się blisko zachodu słońca, akurat wnieśli Barykadę na noszach. Dostał odłamkiem w pachwinę, chciałem się z nim pożegnać, nie wiedziałem jak.

Nie od razu wyczułem stan podenerwowania. Słuch zawodził. Musiałem polegać głównie na wzroku. Strzelali w Pasaż z ogrodu Krasińskich, skośnie w głąb wielkiego korytarza.

Dwóch młodych chłopaków z kompanii Lisa, o prostackich twarzach, siedziało na krzesłach z karabinami na kolanach, przy drzwiach na wielki korytarz, tuż u wierzchołka Sali Obrabiarek, przerabiając zwykłe kule na pociski dum dum. Snajper uwziął się na drzwi i raz po raz strzelał pod ostrym kątem. Mur pryskał może o stopę od nich, a oni spokojnie spiłowywali czubki kul, wydrążali je i nacinali krzyż. Po raz pierwszy od bardzo dawna doświadczyłem lęku na widok odpryskującego muru. Oto śmierć jest zaledwie krok ode mnie. Poza tym wypadkiem nigdy nie widziałem, żeby ktoś robił dum dum, słyszałem jednak, jak ten i ów się odgrażał. Powszechnie uważano, że Niemcy ich używali, ale było to prawdopodobnie nieporozumieniem. Nieraz komuś wyszarpało kawał mięsa - powodem zapewne były kule, które rykoszetując od ścian i od metalowych szyn, zadawały okropne rany.

Każdy hałas czy głośna rozmowa pogarszały mój słuch. Przy połykaniu bąble powietrza przedostawały mi się do lewego ucha sprawiając ostry ból. Martwiłem się, że razem z powietrzem przedostaną się bakterie i jedzenie. Próbując różnych sposobów zauważyłem, że zatkawszy ucho palcem, zapobiegam bąblom. Gdy przeginałem głowę, brodę zbliżając do piersi, a prawe ucho do ramienia, ból przy połykaniu śliny zmniejszał się. Zatkałem uszy watą i znowu zasnąłem wśród maszyn. Gdy ocknąłem się, wewnątrz ciemno było jak w jaskini; jaśniej na dworze, od ognia. Ucho pobolewało, słowa zlewały się w niewyraźny bełkot, jak w starym

radiu, niewiele mogłem zrozumieć.

Zachciało mi się być ze swoimi, popisać się żywotnością ciała i ducha. Nikt tu się mną nie interesował. Chciałem spać - mogłem spać, chciałem pójść na spacer - proszę bardzo - nikogo to nie obchodziło. Wysunąwszy się z Pasażu Simonsa, od razu zauważyłem błyski poza naszą barykadą. Przeskoczyłem pod ścianę Pustego Domu i podszedłem na odległość tylko kilku kroków do Nalewek. Jezdnia pomiędzy Pasażem a Arsenałem sypała iskrami. Wyjąwszy watę z uszu wołałem do kolegów przez Nalewki, coś odkrzykiwali. Pusty Dom od tej strony już się wypalił, więc wszedłem do środka i siadłem na skraju, na zwale ciepłego popiołu. Po bokach, wśród zgliszcz, wyskakiwały tu i ówdzie błękitne ogniki, zapląsały i znikały. Rozżarzały się i gasły czerwone świetliki, różowiąc krążki popiołu. Sam niewidoczny, mając stąd na oku barykadę, skrzyżowanie i zarys pierwszej arkady, czekałem aż jezdnia przestanie się skrzyć. Obudziłem się wypoczęty, popiół grzał w plecy, powiew chłodził od przodu. Barykada już nie błyskała, a jezdnia nie sypała iskrami. Drugi koniec Pustego Domu od Długiej dopalił się i zgliszcza dokoła przestały się żarzyć. Ciemność i cisza - jakby wszelkie życie wygasło. Chyłkiem pomknąłem z powrotem do Pasażu. Wkrótce zaczęło świtać.

Podporucznik Marian posłał mnie na obsadę tyłowej pozycji po nieparzystej stronie Długiej, nieopodal pałacu Radziwiłłów. Tu, na pierwszym piętrze nad apteką, zastałem Pietrka, Cygana, Górala, Ryśka Jabłońskiego i Edka. Zostałem przyjęty jak honorowy członek załogi i ze względu na stan zdrowia tymczasowo przydzielony do rezerwy, to znaczy do sypialni z oknami na podwórze. Obok, w jadalni, której okna wychodziły na Długą, znajdowało się stanowisko bojowe. Jeden z nas na wszelki wypadek wyglądał na ulicę, a reszta zajmowała się rozmową i jedzeniem w sypialni. Nie dano nam wyraźnego zadania, należało po prostu uważać. Niemców nie było w pobliżu, a Arsenał znajdował się sto metrów przed nami. Opowiedziałem o spotkaniu z „goliatem" i spaniu w palącym się domu, po czym głos zabrał Edek. A oto, co z nim się działo.

Po wielokrotnym przepłukiwaniu zaprószonych oczu skurcz powiek ustąpił i następnego dnia po południu, mniej więcej w tym czasie, kiedy Barykada dostał w pachwinę, Edek powrócił do Arsenału, dokąd już przerzucono na wsparcie Toma, Wilita i paru innych od Wiernego.

Z zapadnięciem nocy Niemcy przecięli siatkę ogrodu straży

pożarnej i wypchnęli na ulicę cywilów powiązanych drutem w żywy łańcuch. Około trzydziestu metrów przed naszą barykadą cywile zbudowali w poprzek Nalewek przesłonę z cegieł i czego się dało, poza którą Niemcy przedostali się do kamieniczki przylegającej do Pasażu. Wyszli więc na naszą prawą flankę, prawie na tyły Arsenału.

Ściągnięto armatę, która dwoma strzałami rozbiła przesłonę. (W tym czasie spałem obok w popiele.) Z Pasażu Simonsa ruszyli do przeciwnatarcia butelkarze, obrzucając Niemców benzyną. Dom zajęty przez Niemców stanął w ogniu i musieli uciekać z powrotem do dziury w siatce, pojedynczo, przez oświetloną płomieniami ulicę. Co chwila ciemna sylwetka wyskakiwała z bramy palącego się domu, a nasi do każdego bili salwą, mierząc tuż przed dziurą. Niemcy z ogrodu straży pożarnej usiłowali osłaniać swoich ogniem broni maszynowej. Kawka, nie wysuwając głowy ponad barykadę, strzelał na ślepo. Chcieli go rozbroić za marnowanie amunicji. Edek, który nie przepuścił okazji, by zadrwić z Kawki, rozśmieszył wszystkich do łez, demonstrując, jak Kawka przy strzelaniu odginał głowę do tyłu, byle dalej od Niemców; wyglądało to, jakby mu karabin okropnie śmierdział.

Zagospodarowaliśmy się na nowym stanowisku. Łóżka poszły pod ściany, poza zasięg odłamków. Fotele ściągnęliśmy z salonu do sypialni.

Przyszła kolej na Edka postać w oknie na czatach. Aby się lepiej rozejrzeć w sytuacji, wysunął damskie lusterko o długiej rączce poza framugę okna. Popatrzyłem w nie i ja. Gdy trzymałem uchwyt, ręka mi nieco drżała i cały świat dygotał. To migał Arsenał, to Pusty Dom, parapet sąsiedniego okna, niebo, dym, w końcu udało się wycelować lusterko wzdłuż ulicy. Przy Arsenale stał czołg, co chwila traciłem go z oczu i lękałem się, że mnie zauważył i zdąży wycelować, zanim jego odbicie znów zobaczę. Czołgi normalnie nie podjeżdżały do powstańczych stanowisk tak blisko, na odległość rzutu butelką. Coś niezrozumiałego tam się działo.

Ilekroć przyglądałem się czołgowi, nawet z daleka, choćbym nie wiem jak dobrze był ukryty, nie mogłem zupełnie pozbyć się obawy, że on też mnie widzi.

Dom, gdzie zajęliśmy stanowisko, znajdował się jeszcze w wąwozie ulicy Długiej, która dalej stopniowo rozszerzała się, wychodząc na Pusty Dom i Arsenał. Pierwsza barykada, z tyłu za nami, zamykała gardziel ulicy Długiej między Hotelem Polskim a mikrowieżowcem. Następna, tuż przed nami, stała przy numerze 46.

Dwie dalsze, wzmocnione rowami, przegradzały szerokie rozlewisko ulicy Długiej przy południowo-wschodnim i południowo-zachodnim narożniku Arsenału.

Nagle zauważyłem świeże skrawki drewna na podłodze, a w drzwiach parę postrzępionych dziurek. Odłamki nie mogły wpaść skądinąd, jak tylko z ulicy. Zląkłem się o Edka, ale on znów odezwał się, udając sprawozdawcę sportowego. Czołg zachowywał się spokojnie, nadal stojąc przy Arsenale, jakby wpatrzony w Nalewki. Rozmemłany Rysiek Jabłoński wpadł z wizytą. Reportaż Edka coraz to urywał się, gdyż przy najmniejszym drgnieniu ręki zmieniało się pole widzenia.

- Kręci lufą - zawołał w pewnej chwili.

Już po głosie można było poznać, że czołg obracał lufę ku niemu, a nie w przeciwną stronę. Wiedząc, jaki z niego ryzykant, krzyknąłem, żeby uważał. Opisywał czołg z taką dokładnością, że omal widziałem lufę. Zląkłem się, że przeholuje.

- Co się wygłupiasz - wrzasnąłem - ty głupia kurwo, uciekaj!

- Jeszcze tylko raz spojrzę! - odkrzyknął.

Minęło parę sekund, huknęło niezbyt głośno. Edek, cały pokryty pyłem, podskakując nierówno wbiegł do sypialni i padł na łóżko, wskazując na nogę. Szybko ściągnęliśmy mu granatowe pumpy. Na łydce widać było odrobinę krwi i żywego mięsa. Opatrunek założony przez aptekarza, który przyszedł z piwnicy, nie wystarczał. Edek musiał pożegnać się z kolegami i z bronią. Oddał błyskawicę i granat. Zatkałem lufę watą i podałem mu swój karabin jako laskę. Zarzucił mi ramię na szyję i ruszyliśmy do szpitala przy Kościele Garnizonowym, gdzie leżała Hanka.

Na otwartych przestrzeniach ciągnąłem go jak najszybciej, odpoczywaliśmy pod stropami. Ciężko było rannemu przeciskać się przez niskie dziury w murach pomiędzy piwnicami. Podpierając się karabinem, Edek skakał na jednej nodze. Dopiero co jeszcze śmigał schodami, a teraz z wysiłkiem wspinał się na każdy stopień. W piwnicach na ogół panował mrok. Ludzie, czym mogli, zasłaniali okienka przed odłamkami, a najchętniej siedzieli w bezokiennych korytarzach piwnicznych. Za potrzebą odważniejsi wychodzili na parter, nerwowi robili pod siebie, normalni do kubła, wariaci na podwórzu. Tu i ówdzie ciemność rozpraszały pasma światła dziennego. Trudno było się przepychać na jednej nodze przez tłum siedzących. Edek wściekł się na cywilów:

- Zdrowe chłopy, tchórze... i tak was rozwalą!

Po drodze minęliśmy „szpital" przy Drugiej 23, gdzie leżała Anka z poharatanymi nogami. Prowizoryczne szpitale wyrastały jak grzyby po deszczu; prawdziwych nie było, poza domem wariatów u Jana Bożego. Maltański już zajęli Niemcy. Podobno w czasie operacji nad pacjentem trzymano rozpięte prześcieradło, aby paprochy z sufitu nie wpadały do otwartej rany. Lotnicy jakoby mieli szpitale szczególnie na oku i dlatego celowo nie oznaczano ich czerwonym krzyżem. W szpitalach przelot był ogromny, ciężej ranni szybko umierali, a zdrowsi, jeśli nogi im pozwalały, uciekali przestraszeni czerwonką i smrodem oraz z obawy, że gdy Niemcy wpadną, wszystkich rozwalą. Dziwiłem się, że zmarłych wciąż chowano w ziemi, pomimo obstrzału. Grabarz nigdy nie mógł być pewien, czy nie kopał dołu dla siebie samego. Dlatego grzebanie stopniowo zanikało. Składano trupy na podwórkach i w ruinach, gdzie je jeszcze doprawiały granatniki. Ludność nikomu nie pozwalała palić pod kuchnią. Mówiono, że Niemcy rzucali bomby w dymiące kominy, jakby lotnik mógł zauważyć mały dymek, kiedy wokół setka domów płonęła.

Dotarliśmy do barykady w poprzek Miodowej zbudowanej z czego popadło. Należało dobrze się przygiąć i szybko pomykać na drugą stronę szerokiej ulicy.

Już wtedy ta barykada musiała mieć złą reputację; po jej obu stronach stał powstaniec dając instrukcję, jak przebiegać. Podobno snajper strzelał z wysokiego domu na drugim końcu Miodowej koło Koziej. Tędy głównie odbywał się ruch pomiędzy wschodnią i zachodnią częścią staromiejskiego kotła.

Ostatnie dni spędziliśmy miedzy Pasażem Simonsa a placem Bankowym i gettem. Nocą my uganialiśmy się za Niemcami bez wytchnienia i bez rezultatu, a dniem Niemcy za nami; nie było więc czasu na wizyty. Starówka zmieniła się nie do poznania. Wyglądała jak miasta Rosji na fotografiach z walk ulicznych w niemieckich magazynach ilustrowanych. Część gmachu komendy leżała zwalona.

Odszukaliśmy Hankę w piwnicy sądu za Kościołem Garnizonowym. Oczu prawie nie było jej widać spod bandaża. Była przytomna mimo wielkiej rany na czole i połamanych żeber. Niuni i siostrze Hanki amputowano zmiażdżone ręce i nogi. Niunia już nie żyła, stan siostry Hanki poprawił się początkowo, ale umarła następnego dnia; nie dziwota, skoro głównym lekarstwem była przegotowana woda. Nikt nie chciał powiedzieć Hance o śmierci siostry i w końcu mnie wydelegowali z tą wiadomością, ponieważ byłem studentem medycyny. Z reakcji Hanki poznałem, że już się

sama wszystkiego domyśliła. W połowie spazmu utknęła, jakby jej zabrakło siły na płacz. Tygrysa i Bergmana także zasypało, ale wyszli bez szwanku.

Pod każdą ścianą komórki piwnicznej leżało po trzech rannych. Edek położył się na siódmego na materacu z Hanką. Miała przeropiały opatrunek na głowie, a złamane żebra kłuły ją przy oddychaniu. Nie śpieszyło mi się z powrotem. Rozmawialiśmy i milczeliśmy długi czas. Chory po prawej stronie Hanki, który wcale się nie odzywał, okazał się rannym Niemcem. Sam bym się tego nie domyślił, bo wszyscy mieli pod głowami zwinięte niemieckie mundury zamiast poduszek.

Traciłem w Edku przyjaciela i przewodnika. Dotąd liczyłem, że jeśli nadejdzie czarna godzina, we dwóch na własną rękę jakoś sobie poradzimy. Obu nam nie brakowało odwagi, zimnej krwi i giętkości. Edek był niezwykle pomysłowy i przedsiębiorczy, mnie zaś szczęście dopisywało. Tylko jego jednego znałem od dawna, od pierwszej klasy gimnazjum; pozostali koledzy od Wiernego byli mi właściwie obcy.

Zamiast wrócić na stanowisko nad apteką, udałem się wprost do Pasażu, żeby dowiedzieć się „co w trawie piszczy". Jak się okazało była to dobra myśl. Cygan, Pietrek, Góral i reszta naszych z Długiej była już w Pasażu. Prawdopodobnie z powodu ogólnego zamieszania, a pewnie częściowo i z powodu mojej głuchoty nie dowiedziałem się, co się stało po moim wyjściu z rannym Edkiem. Każdy dzień potem dostarczał tylu nowych wrażeń, że o starych sprawach rzadko się mówiło. Wiem tylko, że oddział, który bronił Długiej naprzeciw Arsenału uciekł i Niemcy przeskoczyli Bielańską. Cywile machając białymi płachtami wychodzili z piwnic. Rysiek Jabłoński, idąc rozmemłany i bez broni do oficyny po kawę, natknął się w korytarzu na oficera niemieckiego, który, biorąc go za cywila, nakazał ręką, by wychodził z innymi. Ryśkowi udało się umknąć. Reńkowi rano w Arsenale oberwało nos. Większość naszych od Wiernego gdzieś się zapodziała. Nie było wiadomo, czy Niemcy nadal utrzymywali się w nieparzystych numerach domów przy Długiej pomiędzy Bankiem Polskim a naszymi stanowiskami. Dopiero po tygodniu, przypadkowo, w rozmowie, dowiedziałem się, że tego zdaje się dnia Rysiek Wilit zastrzelił z peemu sześciu Niemców, którzy przebiegali Bielańską przy Długiej.

Tuż przed wejściem do wielkiego korytarza stała, już na widoku Niemców, armata, a obok leżało dwóch powstańców twarzami do ziemi. Postanowiliśmy nocą przeciągnąć działo pod Pasażem

Simonsa na stronę ogrodu. Dodatkową przeszkodą, poza bliskością Niemców, był rów dobiegowy, który łączył podziemia Pasażu ze szkołą na Barokowej. Należało po ciemku zbudować nad rowem pomost lub zasypać go, a potem dopiero odciągnąć działo w stronę placu Krasińskich. Zostało nam jeszcze sześćdziesiąt pocisków w Pustej Sali. Oszczędzaliśmy je na czarną godzinę.

Ktokolwiek do tej pory miał swą rezydencję na Pustej Sali, przeniósł się pomiędzy obrabiarki. Jedni twierdzili, że w Arsenale są Niemcy, inni mówili, że nasi wciąż jeszcze wycofują się, a nie brakowało i bardziej optymistycznych głosów. Tyle zdań, jakby Arsenał znajdował się o kilometr, a nie o kilkadziesiąt kroków od Sali Obrabiarek.

U wylotu Bielańskiej na Długą pojawił się czołg i oddał szereg strzałów do naszego działa. Kurz wypełnił wielki korytarz i przelewał się drzwiami do Sali Obrabiarek. Nie mogłem pozbyć się natrętnej myśli, że odłamki dziurawią ciała obu zabitych. Pocieszałem się, że jeśli nawet zostanie uszkodzone podwozie armaty i przyrządy celownicze, to choć trzon można będzie umocować na cegłach i dalej jej używać. Od czego warszawska improwizacja. Jednakże jeden z pocisków trafił w sam wylot lufy działa i rozdarł ją od środka na kształt rozgwiazdy czy napoczętego banana.

Reszta oddziału Wiernego, z wyjątkiem Reńka Czarnoty, wróciła z Arsenału. Pusty Dom zajęli Niemcy i od Pasażu dzieliła ich tylko uliczka Wyjazd, dziesięć metrów szeroka.

Z zapadnięciem ciemności porucznik Lis zarządził odprawę kompanii wśród maszyn. W sinym świetle latarki odczytał rozkaz o mianowaniu porucznika Konara dowódcą batalionu i jego promocji na kapitana. Następnie wyjaśnił ogólne położenie: jesteśmy w zgrupowaniu Sosny; front przebiega wzdłuż Bielańskiej do Długiej, Nalewkami, ogrodem Krasińskich; sąsiadem po lewej stronie jest Gozdawa w Banku Polskim. Oczekiwałem, iż teraz, po upadku Arsenału, powie coś o wycofaniu się - może jeszcze tej nocy - kanałem na Żoliborz. Miałem nadzieję, że ktoś zabierze głos w tej sprawie.

Nominacja Konara jeszcze bardziej mnie przygnębiła, gdyż uważałem go za jednego z zawodowych oficerów (z wielką mordą), który, jeśli w ogóle coś zrobi, żeby nas wyciągnąć z tej matni, to będzie faworyzował swoich. On to przecież chciał mi odebrać karabin, gdyśmy się cofali z Woli pierwszy raz. Sądziłem, aż do tego momentu, że Kamień, choć go nie było widać, był nadal dowódcą

„Chrobrego". Nie wiedziałem, że po jatce w getcie dwunastego sierpnia, w miejsce lekko rannego Kamienia, objął batalion kapitan Edward. Na krótko, zginął pierwszego dnia. Po nim dowodził kapitan Zdań z Banku Polskiego - właśnie urwało mu nogę. Nie wiem, czy to trzymano w tajemnicy przed nami, czy po prostu byliśmy zbyt zajęci na linii i administracyjne plotki do nas nie docierały. Pamiętam jednak dokładnie, że Lis oznajmiając o nominacji Konara, nie wspomniał nic o Zdanie.

Lis wyjaśnił następnie nowe zadania batalionu. Kompania Edwarda, ta, w której było mnóstwo dziewczyn, broniła szkoły w ogrodzie Krasińskich. Kompanie Konara i Klima obsadzały część Pasażu na zachód od wielkiego korytarza i przyległe ruiny na Nalewkach między Pasażem a ogrodem Krasińskich. Zadaniem naszej kompanii miała być obrona obu sal Pasażu oraz odcinka Wyjazdu do Długiej, składającego się z kilku niskich magazynów i zakończonego trzypiętrową kamienicą pod numerem 44/46. Pierwszą, Pustą Salę, dzieliły od stanowisk nieprzyjaciela trzy sekundy biegiem. Z tej odległości, przy odrobinie pecha, nawet granat mógł się do niej wtoczyć. Od góry zabezpieczały nas cztery piętra z żelbetonu; po przeciwnej stronie wielkiego korytarza Pasaż miał sześć pięter. Od ogrodu, gdzie znajdowała się Sala Obrabiarek, nie było prawie zagrożenia - chyba żeby nieprzyjaciel przemknął się obok szkoły na Barokowej i wzdłuż stanowisk Klima i Konara, ale i z tej strony wystawiono posterunek. Na zakończenie Lis wyjaśnił rozstawienie stanowisk: w drzwiach z Sali Obrabiarek na wielki korytarz - dwóch strzelców, na zewnątrz Pustej Sali, w ruinach przy zdechłym koniu - dwóch lub jeden; dalej idąc ku Długiej, w piętrowym domku - czterech, w bramie piętrowej wypalonej oficynki - czterech, a na Długiej 44/46 - dwóch na strychu i paru na parterze. W odległości trzydziestu metrów w tyle, w bramie przy Długiej, postawiono czterech - widocznie, by utrzymać obronę w głąb. Reszta stanowiła ruchomą rezerwę z miejscem postoju na Sali Obrabiarek.

Tego dnia i paru następnych nie wystawiono czujek wzdłuż Długiej, widocznie po przeciwnej, nieparzystej stronie ulicy byli Polacy. Słabo się orientowałem w tym, co się działo u naszego najbliższego sąsiada pomiędzy Długą a Bankiem Polskim. Jeśli sztukas znikał za dachami i po chwili kamienie wylatywały w powietrze, jakby wydmuchnięte przez niewidoczny wulkan, można było z pewnością przyjąć, że tam wciąż byli Polacy.

Spokojna noc zeszła w nerwowym napięciu. Pierwszy raz przyszło

nam spać w takiej odległości od Niemców, że moglibyśmy usłyszeć ich chrapanie. Najbardziej nieswojo było tym, którzy, jak ja, leżeli pierwsi na linii lotu odłamków. Wielu w ogóle się nie kładło, oczekując odwrotu w głąb Starego Miasta na nową kwaterę. W Pasażu można było walczyć, ale nie wypoczywać.

Pasaż Simonsa

Z nadejściem dnia nastrój poprawił się. Przynajmniej było widać. Jak zwykle na nowej pozycji, snajperzy mieli pełne ręce roboty do czasu, aż się ludzie nauczyli, którędy można chodzić. Wpierw należało przystosować kwaterę do nowych warunków mieszkalnych. Z Pustej Sali ściągnęliśmy pozostałe materace. Kocioł postawiliśmy w kącie Sali Obrabiarek, między drzwiami do Pustej Sali i drzwiami do wielkiego korytarza. Kuchcikiem został starszy powstaniec, o którym mówiono, że był Ukraińcem.

Sala Obrabiarek miała kształt trójkąta podobnego do drukowanej dużej litery A, którego ostry koniec znajdował się przy ścianie od ogrodu Krasińskich. U jej podstawy, po prawej stronie, Sala Obrabiarek łączyła się dużymi drzwiami z wierzchołkiem Pustej Sali; zaś po lewej stronie, wielkie okno otwierało się na linię nieco poharatanych domków, które wkrótce miały się obrócić w gruzy.

U podstawy Pustej Sali, która także miała kształt dużego A, jedne drzwiczki wychodziły na wielki korytarz, drugie - na wąską przestrzeń między ścianą Pasażu i przyległą ruderą, gdzie leżał zdechły koń. Salę Obrabiarek łączyło z wielkim korytarzem dwoje drzwi - jedne obok kotła, a drugie u samego wierzchołka. Te ostatnie miał na oku snajper z ogrodu Krasińskich. W Sali Obrabiarek najlepsze, bo od Niemców najdalej położone, były miejsca u wierzchołka litery A.

Lis, wraz ze swym pocztem składającym się z paru lizusów obojga płci, zajął miejsce gdzieś w połowie drogi pomiędzy wielkim oknem a wierzchołkiem sali. Dawniej, unieruchomiony raną uda, nie mógł doglądać swej kompanii; teraz, gdy zostaliśmy stłoczeni na małej przestrzeni, każdego miał na oku i znowu stał się faktycznym dowódcą. Spał między dwiema dziewczynami na dużym tapczanie bez nóg. Niby to miały mu pomagać przy wstawaniu. Ktoś napomknął, że Lis celowo śpi pośrodku, aby go osłaniały przed odłamkami, ponieważ tapczan jak płaskowyż górował nad materacami.

Po powrocie ze szpitala, do którego odprowadziłem Edka, zastałem większą i lepszą część Sali Obrabiarek zajętą. Wolna przestrzeń pozostała tylko na wprost wielkiego okna i drzwi Pustej Sali. Nie mając innego wyboru, usłałem sobie legowisko za tokarką, w pierwszej linii obstrzału, bliżej Niemców. Niestety, maszyny stały nie w poprzek, ale równolegle do ewentualnego toru odłamków i kul, dając przez to mniej osłony. By poprawić swe szansę, wcisnąłem materac jak najgłębiej pod maszynę. Tuż nad głową zwisało mi stalowe imadło. Łatwo było przewidzieć, co mogło się stać, gdybym nagle zerwał się ze snu.

Pod ścianą Pustej Sali złożyliśmy butelki z benzyną i 60 pocisków armatnich, które dla bezpieczeństwa należało wynieść na tyły. Można było je tam rozkręcić i trotyl użyć do produkcji granatów, ale nikomu nie uśmiechało się z pociskiem pod pachą balansować na drabinie lub zeskakiwać po belach papieru.

Po trochu dowiedziałem się o tym, co się wczoraj działo w Arsenale. Po nocnym odwrocie Niemców przez Nalewki z płonącego domu do ogrodu straży pożarnej, walka ustała. O świcie Reniek, słysząc szmery za barykadą, a słuch wszyscy mieli przytępiony, wychylił się i zobaczył grupę cywilów, którzy już brali się do ściągania worków z piaskiem. Za nimi stało dwóch żandarmów. Strzelił, trafił jednego żandarma, drugi uciekł, a cywile przybiegli do nas. Jakiś mądrala u Niemców wpadł na pomysł, by rozebrać pod naszym nosem barykadę, której bardzo skutecznie broniliśmy przez dwa dni. Cywile zeznali, że tej nocy wynieśli z ogrodu straży pożarnej jedenastu Niemców rannych na Nalewkach. Wkrótce Reńkowi Czarnocie oberwało czubek nosa, zwisał tylko na skórze. Ni stąd ni zowąd zaczęły padać strzały od tyłu, od Długiej. Z głębi Arsenału znoszono rannych pod arkady. Tylko szybkobiegacze ryzykowali przeskok przez Nalewki do Pustego Domu. Niemcy wpadli do Arsenału i przez dziedziniec ostrzeliwali się z powstańcami. Coraz więcej powstańców wycofywało się pod arkady, a stąd sprintem do Pasażu. Nasi od Wiernego tak długo zastanawiali się czy już czas uciekać, aż było za późno. Karabin maszynowy zaczął strzelać wzdłuż Nalewek od Długiej i już dziesięciometrowy przeskok do Pustego Domu okazał się niemożliwy. Wilit próbował zbudować osłonę z bel papieru, ale kule rozdzierały je równie szybko, jak on układał. Wydawało się, że kto żyw, a w porę nie uciekł, znalazł się pod arkadami. Ranny z kompanii Klima, któremu kiszki wychodziły na zewnątrz, prosił przyjaciela, żeby go dobił, a przyjaciel błagał innych,

aby mu pomogli przenieść rannego kolegę do Pasażu. Czołg od strony getta strzelał po narożniku Pustego Domu i barykadzie, a drugi bił od Długiej. W tumanie dymu i kurzu powstańcy hurmem przeskoczyli przez Nalewki.

Dopiero wiele lat po wojnie wyczytałem, że niemiecka piechota wdarła się do Arsenału wyrwą wybitą przez „goliata", tuż po eksplozji, nim dym wybuchu opadł. Fakt, że o tym nie wiedziałam ani ja, ani nikt u Lisa, był powodem nie kończących się rozmów na temat niższości kompanii Klima, a zwłaszcza Konara. Zarzucano im, że nie tylko dały się Niemcom zaskoczyć przez bardzo szeroką (jak na Stare Miasto) ulicę, ale jeszcze zwiali, podczas gdy my w kilku odparliśmy tyle natarć na Nalewkach. To prawda, że nieprzyjaciel uporczywie usiłował przełamać się na tyły Arsenału w rejonie naszej barykady, jednakże jego akcje były nieskoordynowane. Czołgi postrzelały i odjechały; po godzinie piechota wybiegła bez wsparcia. „Goliaty" zrobiły z dnia noc, ale piechota ruszyła do szturmu dopiero po zapadnięciu prawdziwej nocy. Czyżby Niemcy uważali, że aby wypłoszyć takiego przeciwnika jak my, wystarczy narobić huku i potrząsnąć ziemią?

Na Starym Mieście, poza brakiem osłony powietrznej, ciężkiej i lekkiej broni piechoty oraz amunicji, największą bolączką był nieodpowiedni system umocnień polowych. Większość barykad zbudowano w pierwszych dniach Powstania, aby zagrodzić drogę wałęsającym się czołgom. Potem, pod silnym ogniem, było trudno przystosować je do walki z piechotą. Wątpliwe, czy ktokolwiek spośród budowniczych barykad miał doświadczenie w walkach ulicznych. Wznoszono je bez centralnego planowania, pod naciskiem okoliczności. Z lotu sztukasa system barykad swym koncentrycznym układem przypominał zapewne przekrój cebuli, jak gdyby oczekiwano, że Niemcy będą nacierać z równą siłą ze wszystkich kierunków, a obrona przeciwstawi im taki sam opór na wszystkich odcinkach. Barykady i przekopy należało budować z myślą o obronie każdego obiektu z osobna. Brakło przekopów w poprzek otwartych przestrzeni. Nieraz utrata jednego domu odcinała całkowicie załogę drugiego obok. Odcięci mieli do wyboru albo ginąć w płomieniach, albo uciekać pod ogniem w biały dzień. Powiększało to tylko grozę odcięcia, którego lękano się najbardziej. Gdyby na przykład w porę wykopano rów dobiegowy z Arsenału do Pasażu - wszystkiego kilkanaście metrów - dałoby się utrzymać, jeśli nie arkady, to co najmniej Pusty Dom. W rezultacie nieprzyjaciel musiałby podjąć

walkę o oba obiekty z minimalnym - z powodu bliskości stanowisk i pogmatwanej zabudowy terenu - wsparciem broni ciężkiej.

Powszechną dokuczliwą bolączką była również niewiedza o tym, co się dzieje poza rogiem lub nawet bliżej. Natura nie znosi próżni, zwłaszcza pod takim ciśnieniem, więc obradzały wiadomości wyssane nie wiadomo skąd. Nim dało się je sprawdzić, napływały nowe, powiększając poczucie niepewności i zagrożenia.

Tego ranka, 22 sierpnia, zastanawialiśmy się, dlaczego taki spokój zapanował na odcinku Pasażu. Czyżby nasi przeciwnicy lizali rany albo coś knuli, a może dostali złe wieści z domu. Nastrój mi się poprawił i postanowiłem obejść nowe stanowiska. Nie byłem pewien, czy wciąż jestem uważany za rannego, czy już za zdrowego.

Ostrożnie przeszedłem przez Pustą Salę. U wylotu drzwi na wielki korytarz, skąd otwierał się widok na Pusty Dom, zrobiłem metrowy przeskok do drzwiczek, poza którymi w ruinach, obok zdechłego konia, stał kpr. Jur. Już wydobrzał po spotkaniu z „goliatem", pomimo że znieśli go z barykady nieprzytomnego. Choć szedłem tylko z wizytą, odbezpieczyłem jednak karabin. Jur wskazał ręką leżącego pod drugą arkadą Niemca. A oto, co się zdarzyło: Jur stał już długi czas, gdy nagle naprzeciwko ukazał się esesman i beztrosko wychylił się ponad łańcuch spinający arkady. Niezrozumiałe, bo Pasaż, obsadzony przez Polaków, odległy był zaledwie o kilkanaście kroków. Jur oddał trzy strzały z pięćdziesięciu metrów. Po pierwszym Niemiec jeszcze wstał, po drugim uniósł się na rękach. Nie tyle zaskoczyło mnie, że Jur dobił rannego, ile że z takim zadowoleniem o tym mówił. Niemiec zapewne chciał wybadać, skąd był ostrzał i wysunął się wprost pod lufę. Zazdrościłem Jurowi. Pierwszy raz na stanowisku z pożyczonym karabinem i tak mu się udało.

Postałem z Jurem jakiś czas wpatrując się w krótki odcinek Wyjazdu w nadziei, że ktoś się wychyli. Przed sobą, po prawej, polskiej stronie, widziałem mur Pasażu Simonsa, po lewej, niemieckiej - ścianę Pustego Domu. Na wprost, na końcu uliczki, znajdowała się nasza barykada, a za nią dwie arkady wystające spoza Pustego Domu; tam został mój watowany kaptur i „Niedobra miłość". Zmęczony długim staniem wróciłem na materac, odłożywszy na później odwiedzenie innych stanowisk.

Karabin przydzielono Jurowi tylko na czas służby. Podział na broń prywatną i rządową nadal się zachował. Różnica polegała na tym, że Jur przy zmianie warty musiał oddawać karabin i wyliczać się z amunicji, ja zaś mogłem spać ze swoim prywatnym karabinem,

chodziłem z nim na wizyty i do mojej ładownicy nikt nie zaglądał. Gdybym jednak dostał biegunki lub palpitacji serca i oświadczył, że mój stan zdrowia nie pozwala mi dalej walczyć, mógłbym wystąpić ze służby czynnej i przenieść się w stan chorych. Nikt by mi z tego powodu nie robił wstrętów, ale broń i amunicję musiałbym oddać. Kaemy były wyłącznie własnością rządową. Broń krótka, pistolety maszynowe, granaty, podobnie jak karabiny, były i przydziałowe, i własne.

U nas bronią służbową dysponował Lis. Gdy zobaczył mnie pierwszy raz w ogrodzie Krasińskich, znowu u Wiernego, już zaczął knuć, by mi odebrać karabin. Do nowej konfrontacji nie doszło, ponieważ Wierny, jako pluton, został włączony do jego kompanii. Ja uważałem karabin za własny, jako rekompensatę za skradzionego thompsona. Lis zapewne był zdania, że broń była własnością kompanii i została mi przydzielona wyłącznie na czas służby w dniu 5 sierpnia, kiedy to batalion został rozpędzony. W ostateczności mógłbym użyć argumentu, że karabin z przydziału został uszkodzony w czasie działań bojowych i powołać się na por. Klima. Lepiej jednak było tego unikać, gdyż Klim mógłby oświadczyć, że dał mi karabin tymczasowo i zażądać jego zwrotu. Pierwotnego właściciela mojego karabinu, podchorążego Sława, spotykałem w rejonie Arsenału, a potem Pasażu, ale unikałem bliższych z nim kontaktów ze względów oczywistych. Wydawał mi się miły i na pewno bym go polubił, gdyby nas nie dzielił karabin. Od czasu awansu na kaprala zawsze broniłem Klima przed jego własnymi żołnierzami, gdy krytykowali go za brak zdecydowania i inne rzeczy. Wydawał się człowiekiem łagodnym, cichym i niemłodym. Jego prawą ręką był niejaki ppor. Jur, ciemny szatyn w okularach, o wyglądzie fanatyka z gatunku tych, którzy po ukończonym uniwersytecie nie znaleźli pracy i postawili na karierę rewolucjonisty. Ilekroć jego oko spoczęło na mnie, radowałem się, że nie jest moim dowódcą.

Mile wspominam Klima nie tylko za awans, ale i za to, jak to się odbyło. Nocą, pod gwiazdami, wśród pożarów i huku bitwy, przed frontem zaległej kompanii.

Po zniszczeniu armaty pozostałych artylerzystów wcielono do piechoty: Jura, Zychlera, Hutnickiego, Sława, korpulentnego handlowca po trzydziestce, którego pseudonimu nie zapamiętałem, i może jeszcze kogoś. Dowódca działonu, podchorąży, zdaje się, dostał odłamkiem i zniknął z pola widzenia. Normalnie stan działonu wynosi pięciu ludzi, załoga naszego działa była liczniejsza, gdyż z

braku konia sami musieliśmy ciągnąć armatę, nosić amunicję, usuwać przeszkody.

Dzień po upadku Arsenału, 22 sierpnia, mijał spokojnie. Z powodu kłucia w uchu usiłowałem połykać ślinę jak najrzadziej.

Kapitan Wład, szary od stóp do głowy, z trzema szarymi gwiazdkami na granatowym berecie, zatrzymał się przy kotle i patrząc po materacach poprosił o pożyczenie karabinu na godzinę. Chciał zapolować z górnych pięter. Siedziałem w pobliżu i chyba włosy mi się zjeżyły pod hełmem, gdy wzrok Włada spoczął na mnie. Nikt się nie kwapił. W końcu zwrócił się do mego sąsiada, Jasia, wyniuchawszy, że ten kapitanowi nie odmówi. Nikomu bym nie pożyczył broni, a już nigdy oficerowi - takiemu nie wydrzesz ani prawem ani lewem. Jasio miał w sobie coś z sieroty, o którym mówią, że kurze wypadł spod ogona, albo że go ciocia z litości urodziła. Siedział markotniejszy niż zwykle i zapewne myślał to samo, co ja: jeśli Włada zastrzelą na górze, to karabin zabiorą jego ludzie.

Czatowanie na szczycie Pasażu wymagało więcej niż odwagi. Był to najwyższy dach staromiejskiego kotła. Nigdy mi nie przyszła ochota wspinać się na czubek i zabawiać w snajpera. Pół życia mieszkałem na drugim piętrze i ilekroć stanąłem na balkonie wyżej, ściskało mnie w dołku. Ze szczytu Pasażu widok musiał być jak z balonu. Raz jednak wybrałem się na górę, sam nie wiem, dlaczego. Im wyżej było, tym wyraźniej dochodziły odgłosy bitwy. Stąpałem w popiele bardziej miękkim niż mech; tu tysiące swetrów, halek, majtek, koszulek i biustonoszy obróciło się w proch. Ledwo uchwytne echo strzałów niosło wśród wypalonych sal. Trzymałem się korytarzy, ale i tak czułem, że widzą mnie zewsząd, jakby budynek składał się z samych okien. Przez olbrzymie wypalone okna Pasażu patrzyły do środka okna otaczających domów. Zląkłem się, że Niemcy zajmą dół i zostanę odcięty na zawsze. Zawróciłem, nie dochodząc do szczytu.

Kapitan Wład powrócił i oddał karabin z podziękowaniem. Teraz pożałowałem, że to nie ja mu pożyczyłem. Wład czaił się z godzinę gdzieś na samym czubku, aż w ruinach poza Arsenałem ukazał się Niemiec i odpiął rozporek.

- Miał słodką śmierć - zakończył swą relację Wład - umarł szczając.

Podobało się to wszystkim i chyba odtąd Wład stał się najbardziej lubianym oficerem.

Teraz cały ruch pomiędzy Pasażem z przyległymi ruinami, czyli tak zwaną Redutą Pasażu Simonsa i Starym Miastem odbywał się

przez Salę Obrabiarek, która stała się ośrodkiem życia towarzyskiego batalionu. Stąd szlak wiódł przez wielkie okno, dziesięć kroków wzdłuż ściany i okien Pustej Sali. Po belach papieru zeskakiwało się dalej na otwartą przestrzeń poza linią domów łączących Pasaż z Długą 44/46, którą dla uproszczenia będę nazywał Harcowiskiem Granatników, jako że od upadku Arsenału gęsto tam padały.

Czy to teren unosił się na zewnątrz wielkiego okna, czy gruz szybko wypełnił wąską przestrzeń, czy też spowodowała to niezwykła konstrukcja Pasażu - dość, że okna Pustej Sali sięgały z zewnątrz zaledwie pasa, choć od wewnątrz znajdowały się pod samym sufitem.

Pasaż Simonsa był architektonicznym dziwolągiem. Nad obu salami znajdowały się cztery piętra, a po drugiej stronie wielkiego korytarza, od Arsenału, sześć pięter z jednopiętrową przybudówką na samym szczycie klatki schodowej. Z którejkolwiek strony nań było patrzeć, nie przypominał żadnej znanej geometrycznej figury. Z lotu ptaka musiał być podobny do podkowy, z jednym ramieniem grubszym i obu nierówno odrąbanymi. Sam wielki korytarz przecinał do wysokości sufitu pierwszego piętra wschodnie, grubsze ramię i to nie pod kątem prostym, ale skośnie. Stąd dziwaczny kształt Pustej Sali i Sali Obrabiarek. Do tego zewnętrzna ściana tej ostatniej była wysunięta o kilka metrów ku wschodowi.

Dostałem rozkaz zastąpienia Jura przy zdechłym koniu. Stanowisko było dobrze wybrane, widać było stąd wąskie pasmo ziemi niczyjej pomiędzy Pustym Domem a ścianą Pasażu. W polu widzenia nie było żadnego okna, żadnej szczeliny, skąd Niemiec mógłby nas nie postrzeżony dosięgnąć. Jedyny wyjątek stanowił otwór w murze między Arsenałem i szopą, którędy wczoraj o świcie Niemcy wypędzili cywilów do rozbierania barykady. Aby się zabezpieczyć przed strzałem snajpera stamtąd, należało stać nie dalej jak krok od muru po prawej.

Niedawno kręciliśmy się bezpiecznie po placyku przed Pasażem. Gdy nasza kwatera znajdowała się jeszcze w szkole na Barokowej, tędy właśnie, obchodząc warty, wymykaliśmy się do dziewczyn na plac Krasińskich.

Tuż obok strzaskana armata i dwaj zabici powstańcy, jak szare gałgany, spod pyłu nawet kolorów panterek nie można odróżnić. Patrząc w stronę Arsenału, nie sposób nie widzieć ich, leżą prawie na linii wzroku, tuż pod rozdziawioną lufą armaty. Nigdy jeszcze przez tyle godzin nie wpatrywałem się w trupy. Dziwaczne myśli mnie

nawiedzają, że Niemcy do nich nie strzelają, że są bezpieczni, ponieważ nie żyją, ale niech bym ja tak się wysunął. Długo nie pozostałem przy zdechłym koniu, ktoś mnie zastąpił.

Po południu wyjaśniło się, że jestem uważany za wyleczonego, gdyż postawiono mnie na strychu trzypiętrowego domu Długa 44/46 w towarzystwie kanoniera Sława uzbrojonego w ręczny granat. Spotykaliśmy się od dwóch lat na konspiracyjnych zbiórkach obsługi szybkostrzelnych działek 20 mm, a zaprzyjaźnili do pewnego stopnia na podwórku Haberbusza. Potem utraciłem z nim kontakt. Po otrzymaniu karabinu zacząłem uważać nie uzbrojonych powstańców, jeśli nie za tchórzów, to za żołnierzy drugiej kategorii. Dopiero później dowiedziałem się, że Sław z innym powstańcem wybrali się raz nocą, by zerwać gąsienicę „tygrysowi". Żartowano, że nawet wzięli śrubokręty. Przeczołgali się ogrodem aż pod samo getto, ale niedoszła ofiara niemal w ostatniej chwili odjechała w nieznanym kierunku. Dotąd patrzyłem na niego z odrobiną współczucia i pogardy jako na jednego z tych, co pomimo wielkich wysiłków na dobrych żołnierzy nie wyrosną. Wszyscy oni, siedemnastolatki, palili się do walki, a gdy przyszło co do czego, jak w Arsenale, uginali się. Maniuś, o tyle młodszy, a był twardszy.

Przez dziurę w dachu przyglądaliśmy się pobojowisku między Arsenałem a Pastą. Dwie barykady wzmocnione rowami przecinały Długą, którą zamykał wielki, pięciopiętrowy dom na Przejeździe. W prawo na skos stał nie dopalony Pusty Dom przed poharatanym Arsenałem. Asfalt upstrzony cegłami. Wpatrywaliśmy się około godziny, skupieni, by nie przeoczyć znaku życia. Nic się jednak nie działo, więc przychyliłem do prośby Sława i dałem mu mój karabin do potrzymania. Ja zaś, nie spuszczając oka z postrzępionego krajobrazu, pogrążyłem się w rozmyślania o historii, ulubionej od czasu, gdy z mozołem sam przeczytałem pierwszą książkę w życiu pod tytułem „Wieczory w Ojcowie".

Arsenał postawił król, gdy Polacy sięgali po Moskwę, a Prusy były lennikiem Rzeczypospolitej. Tu się bronił szwedzki garnizon przed Polakami, czy na odwrót. Tu się zaczęło powstanie listopadowe, gdy szturmem wzięto Arsenał i broń rozdano ludności. Przy arkadach, gdzie wjeżdża się na Długą, nasi odbili skatowanych kolegów po drodze z Gestapo na Pawiak.

W zasięgu wzroku uderzał spokój tak różny od tego, co się tu ostatnio działo. Niewątpliwie wata w uszach i zwiotczałe bębenki też się do tego przyczyniły. Postanowiłem utrwalić w pamięci tę scenę.

Cienie wyciągały się. Słońce, ni to żółte, ni to pomarańczowe, nasycało powietrze kolorem, który nadaje sielankowy nastrój obrazom francuskich i włoskich malarzy, przedstawiającym ruiny antycznych budowli. Brakowało tylko, aby w łagodnych promieniach przedwieczornego słońca zza rogu wysunął się pląsając pastuszek z fujarką, a za nim stadko owieczek skubiących gruz z braku trawy.

Nagle u wylotu Długiej ukazała się ciężarówka. Przejechała bez pośpiechu i zniknęła za ruinami obok pałacu Mostowskich nim zdążyłem wycelować. Ledwo stwierdziliśmy, że niemiecka organizacja zawiodła i samochód przez pomyłkę wpakował się pod polski obstrzał, gdy znowu ta sama ciężarówka przejechała skrzyżowanie i to jeszcze wolniej niż poprzednio. Chwyciłem ją na muszkę i prowadziłem, aż zniknęła za rogiem. Sław gorączkował się i chciał, abym sam strzelał lub jemu pozwolił. Za parę minut po raz trzeci ciężarówka przedefilowała przed nami. Teraz dopiero zauważyłem, że kierowcy nie było widać. Okna szoferki osłaniały płyty. Gdy oficer przyszedł na inspekcję, zameldowałem, że usiłowali sprowokować nas do strzału. O zmroku zwinięto nasze stanowisko i wróciłem na materac w Sali Obrabiarek.

Nastrój był niezły. Dopiero co wzięto trzech jeńców. Właściwie to sami przyszli do naszych stanowisk. Jakiś wariat musiał ich wysłać na zwiad do ogrodu Krasińskich. Nie wiem, jakim sposobem udało im się bez szwanku przekroczyć linię frontu, może przez wypalone kamieniczki Nalewki 4 i 6. Podkradli się pod Pasaż i poddali. Mówili po polsku i w związku z tym wywiązała się sprzeczka, czy należy ich uważać za Polaków siłą wcielonych do armii niemieckiej, za zniemczonych rodaków, w których odezwała się słowiańska krew, czy też po prostu za „dobrych Niemców".

Żołnierze z niemieckich, węgierskich, własowskich oddziałów czasem przechodzili na naszą stronę, zapewne uważając, że w ten sposób przy służy wszy się sprawie aliantów, odpokutują swe winy. Naiwni, podawali rękę „trędowatemu" - bowiem kapitaliści, podobnie jak komuniści, uważali, że Polacy ze swymi wybujałymi niepodległościowymi ambicjami zawadzali ludzkiemu plemieniu w marszu ku świetlanej przyszłości.

Noc jeszcze nie zapadła, gdy nagle powstało lekkie poruszenie. Wyjąłem watę z uszu i usłyszałem:

- Niemcy!...

W sekundę leżałem za maszyną z odbezpieczonym karabinem, ale już było po wszystkim. Tom dostał w brzuch.

Kobuz opowiedział, co się stało. Obchodząc stanowiska zatrzymał się przy zdechłym koniu, by porozmawiać z Tomem. Nagle Tom cofnął się o krok, wpatrzony przed siebie, jak w transie. Granat eksplodował w powietrzu. Kobuzowi oparzyło twarz i dostał kilkanaście mikroskopijnych odłamków. Jeden, nieco większy, utkwił mu w uchu tam, gdzie się zakłada kolczyk.

Toma zaraz położono na noszach, stanęliśmy dookoła; nic nie mówił, tylko wpatrywał się w nas smutnymi jak zwykle oczami. Później, gdy przyszedł do siebie, powiedział, że nagle wyskoczył na wprost niego niemiecki patrol. Może zagadał się z Kobuzem i zagapił. I tak 22 sierpnia, dzień wypoczynku po walkach o Arsenał, dobiegł końca.

Noc minęła spokojnie, lecz napięcie spowodowane bliskością Niemców i głuchotą było takie, że byle salwa granatników, byle seria kaemu podrywała mnie z materaca.

Po wschodzie słońca zameldowano Lisowi, że dwa „tygrysy" wjeżdżają na skrzyżowanie Bielańskiej z Długą. Pierwszy raz podsunęły się tak blisko. Wstaliśmy z materaców. Szybko wyjąłem zamek, by sprawdzić, czy paprochów nie ma w lufę. Czołgi biły po domkach między Pasażem a Długą. W powietrze leciały najpierw dachówki, cegły, potem, gdy się dobrali do wnętrzności - deski. Pył gęstniał i nie opadał. Skład papieru, przez który po belach schodziliśmy na Harcowisko Granatników, objęły płomienie i przez dym niewiele było widać. Ktoś biegł przez wielki korytarz, Niemcy strzelili. Dotąd nie mieli tam wglądu ani z Pustego Domu, ani z Arsenału.

Nagle powstał popłoch po drugiej stronie wielkiego korytarza. Gromadka nie uzbrojonych powstańców tłoczyła się przy wyjściu z klatki schodowej. Krzyknęliśmy, że ostrzał, machaliśmy rękami. Huk był taki, jakby setka motocykli szła bez tłumików. Poznałem po charakterystycznym zgrzycie, że kule ślizgały się wzdłuż ścian.

Jeden z powstańców, niezdarny, tłustawy, toporny, ustawiał się do skoku; zdążyłem jeszcze wrzasnąć na niego... Zamiast odbić się i śmignąć jak strzała ten dystans pięciu, sześciu metrów, pobiegł ciężko jak perszeron. Przysiągłbym, że widziałem nikły, metaliczny odblask. Ogarnęła mnie groza i straszna ciekawość. Grubas potknął się i zmienił kierunek, ale przebiegł... W jego tłustym gołym przedramieniu kula wydrążyła tunel. Zdrową ręką podtrzymywał ranną, dygotał i skomlał.

- Zamknij mordę, ty ch..., ty tchórzu, zadrapało cię tylko -

wrzasnęliśmy, by jego i samych siebie uspokoić.

Karabin maszynowy już wstrzeliwał się wzdłuż wielkiego korytarza. Niemcy odcięli Lisa od klatki schodowej, podziemi i przekopu do szkoły. Betonowa podłoga raz po raz drgała pod nogami od uderzeń pocisków o mury.

Płonące ramy, futryny, szmaty, sypiąc iskrami spadały koło wielkiego okna oraz okien Pustej Sali, gdzie zgromadzone były butelki z benzyną, 60 pocisków do działa i trotyl. Od czasu do czasu meldowano o postępach pożaru, co niepotrzebnie przygnębiało ludzi, bo i tak drogę odwrotu przez wielki korytarz do przekopu do szkoły przegradzał ogień karabinów maszynowych. Aby zejść na tyły Pasażu i na Harcowisko Granatników przez wielkie okno, należało odczekać, aż pożar składu papieru wygaśnie.

Nagła eksplozja wtłoczyła kurz z wielkiego korytarza na Salę Obrabiarek, aż pociemniało. Potem druga, trzecia... Ledwo pył zaczynał opadać, podrywał go następny podmuch. Zdjąłem okulary. Przytuliliśmy się do muru od strony korytarza, komu zabrakło miejsca, krył się za maszynami. Ni stąd, ni zowąd wszyscy wiedzieli, że Niemcy wdarli się na gruzy między Pasażem a Długą 44/46 i już nie było wyjścia, nawet gdyby papier się wypalił.

Na szczytowej, gładkiej ścianie Sali Obrabiarek, tej od strony placu Krasińskich, odcinał się prostokąt z cegieł, jakby tu kiedyś zamurowano drzwi albo okno. Rzuciliśmy się na poszukiwanie łomu. Przyszedł czas na nieuzbrojonych pokazać, na co ich stać. Zychler i paru innych z drużyny roboczej gasili palące się drewno i gałgany, które wciąż sypały się na hałdę gruzu poza wielkim oknem, a stamtąd staczały do środka przez okna Pustej Sali. Odciągali spod okien na środek materace i benzynę. Najgorzej z pociskami, bo gdy jeden eksploduje, eksplodują wszystkie. Poczułem ulgę i wdzięczność dla Zychlera, którego uważałem za bojaźliwego, podtatusiałego drobnomieszczanina, że zgłosił się pierwszy. Zajęcie było tak ryzykowne, że nawet Lis wezwał ochotników, zamiast rozkazywać. Na szczęście karabin zabezpieczał mnie przed wykonywaniem takich pomocniczych prac. Pociski raz po raz rwały się w bramie. Myślałem, że rój odłamków lada chwila zetnie Zychlera i tych, co uwijali się po Pustej Sali, jeśli wcześniej nie opryska ich eksplodująca benzyna. Uszy zatkałem watą. Usta trzymałem nieznacznie otwarte; nieznacznie, by się nie ośmieszyć.

Odnaleźli łom i z nadzieją patrzyłem jak wyłupują cegłę po cegle w zamurowanym wyjściu na tyły. Po drugiej stronie ściany poziom ziemi

był niższy, różnica mogła wynosić parę metrów. Był to wyścig pomiędzy obsługą łomu a ogniem, który przerzucał się coraz niżej. Według ostatniego meldunku, od płomieni dzieliły nas jeszcze dwa stropy. Pod warstwą cegieł ukazał się żelbeton, łom go się nie imał. Przestali kuć. Zameldowano Lisowi, że pali się magazyn piętro wyżej. Ile jeszcze uderzeń wytrzyma ściana wielkiego korytarza, nim się na nas zwali? Pożar huczał nad głowami. Buzował skład papieru, prąd powietrza porywał w górę zwęglone, płonące arkusze. Od płonących szmat zajęły się pokryte papą parterowe magazyny przyległe do szczytowej ściany, którą właśnie przebijaliśmy. Otaczał nas pierścień ognia.

Ktoś wpadł na pomysł, by wyżłobić wgłębienie w żelbetonie i wysadzić szczytową ścianę trotylem. Rzuciliśmy się z powrotem do kucia. Łom mogło trzymać najwyżej dwóch ludzi naraz. Waliliśmy jak pneumatyczny młot, zmieniając się co minutę. Co kilkadziesiąt sekund ogień pryskał z wielkiego korytarza, czasem końce jego języków ukazywały się w drzwiach sali. Podmuch dociskał mnie do ściany. W pyle, przez zmrużone powieki, usiłowałem dostrzec, co się dzieje. Po każdej eksplozji mogli wpaść Niemcy, trzeba było i być gotowym do obrony, i chować się przed następną eksplozją. Należało i zamknąć oczy w odpowiedniej chwili, i trzymać je otwarte cały czas, aby nie dać się zaskoczyć. Poczułem, że już więcej nie wytrzymam i że stanie się ze mną coś okropnego. Wydawało mi się, że czołg tylko bawi się z nami, straszy, naigrawa z naszej bezsilności wiedząc dokładnie, gdzie jesteśmy, a gdy mu się znudzi, rozgniecie nas jednym uderzeniem.

W żelbetonie wybili dziurę wielkości pięści, głębiej nie mogli, bo ostrze łomu spłaszczyło się. Plan przewidywał założenie ładunku wybuchowego bez zmniejszenia gotowości bojowej. Dopiero po zapaleniu krótkiego lontu wszyscy mieli się kłaść za maszynami. Gdy wszystko było już gotowe do założenia ładunku, okazało się, że go nie ma - trotyl wymontowany z „wieżyczki" tankietki złożono tymczasowo w Pustym Domu i podczas odwrotu z Arsenału zapomniano go przenieść do Pustej Sali.

Ktoś zameldował, że Niemcy są w Pasażu. Czapa. Po drugiej stronie wielkiego korytarza na wysokości pierwszego piętra były małe okienka, skąd mogli wrzucić granaty przez drzwi do obu sal. Nie wiadomo było, gdzie stanąć: przy ścianie - dla osłony przed odłamkami, czy w drzwiach na wielki korytarz, aby nie dać się Niemcom zaskoczyć.

Jeden tylko Lis ożywił się i nawet poweselał. Spod tapczanu wyciągnął pudło z amunicją, której strzegł dotąd jak oka w głowie. Kuśtykając obchodził szeregi, potrząsał pudłem, zachęcał, ale nikt nie brał. Powstańcy, choć niedawno i przyjacielowi wyjęliby kule z ładownicy podczas snu, teraz stali sparaliżowani.

Podszedł do mnie, wziąłem garść nabojów, żeby się podlizać. Mdliło mnie, jakbym miał rzygnąć za chwilę i rzygać bez końca. Lis, krążąc pomiędzy maszynami, robił złośliwe uwagi pod adresem otaczających go szturmowców:

- Osłabliście? Śniadania wam nie przynieśli?

Widząc, że nie reagują, zaczął rzucać wojskowymi żarcikami w rodzaju: „Coście tacy zmartwieni, ciocia wam umarła?" „Nikt się nie uśmiecha, wesoło jak w rodzinnym grobie".

Gdyby nie grzechot kulomiotów i kucie czołgów, głos Lisa rozlegałby się wśród cmentarnej ciszy.

Po setnej czy którejś tam eksplozji ziemia i mury zadygotały, a kłęby pyłu wypełniły salę. Łoskot nie ustawał. Okazało się, że czteropiętrowa ściana od strony Wyjazdu runęła, zagradzając wejście do wielkiego korytarza parometrowym zwałem gruzu, grzebiąc rozdartą armatę i przy niej obu poległych. Czołgi przestały strzelać.

Gdybym szukał przykładu interwencji sił wyższych na rzecz sprawiedliwych Polaków, a przeciw bezbożnym Niemcom, ten właśnie moment był czymś w rodzaju cudu przy Nalewkach. Olbrzymie usypisko stworzyło naturalną barykadę od ściany do ściany wielkiego korytarza. Pod jej osłoną można było swobodnie przejść na drugą stronę i przekopem wycofać się do szkoły. W ten sposób ostatni podmuch niemal dosłownie odepchnął nasz kamień grobowy. Zaledwie się rozjaśniło, Lis poderwał kompanię. Nowy duch w nas wstąpił.

Jedna grupa z Szoferem pobiegła do kontrataku przez wielki korytarz w kierunku Nalewek. Ja zaś z innymi i podporucznikiem Marianem przez wielkie okno skoczyliśmy w ruiny ku Długiej. Minąłem okna Pustej Sali. Na prawo powstaniec zsuwał się rakiem z gruzu, coś mrucząc czy klnąc, speszony widokiem kulomiotu. Kiedyś cudza bojaźliwość odbierała mi resztki odwagi, ostatnio wprost na odwrót. Ślamazara o słabych nerwach - pomyślałem. Po godzinnym bombardowaniu, wymknąwszy się z Sali Obrabiarek jak z klatki, czułem wielki przypływ energii. Nie bez racji znakomity żołnierz, sir Winston Churchill, zauważył, że *nothing is so invigorating as being shot at without result* [Nic tak nie dodaje animuszu, jak to, gdy

spudłują strzelając do ciebie].

Podpełzłem w górę i leżąc rozglądałem się za dobrą pozycją do strzału. Prysnęło okruchami cegły. Znajdowałem się prawie na szczycie wielkiej hałdy, wyciągnięty na plecach w płytkim zagłębieniu terenu, jak w bruździe pomiędzy falami czy pomiędzy rolkami wyżymaczki. Wyższa fałda gruzu od strony, skąd strzelali, wznosiła się o stopę ponad poziomem mego brzucha. Spojrzawszy w lewo ponad niższą fałdą, o parę metrów w dole widziałem kolegów, dawali znaki, wołali. Kulomiot pociągnął serię; od stóp do głowy obsypały mnie okruchy cegieł.

- Odczekam, aż mu się znudzi i zajmie się kim innym, wtedy wyskoczę -pomyślałem.

Jednego się lękałem: że dołożą z granatnika albo z działka. Tymczasem Niemiec nie ustawał, a z każdą serią, którą ciągnął równolegle do mego ciała, gruz się obniżał. Wiedziałem, że się uwziął, i że osłony już nie na długo wystarczy. Włożyłem karabin pomiędzy nogi i obróciłem się nieco w prawo, o ile tylko przestrzeń życiowa pozwoliła. Znów zaczął szyć kulami, gdzieś w okolicy nóg rozpoczynając i wolno posuwając się ku głowie. Gdy zbliżył się do twarzy, przymrużyłem oczy. Ledwo tylko przejechał poza głowę, szarpnąłem się w lewo i stoczyłem w dół.

Otoczyła mnie gromadka uradowanych kolegów. Otrzepując panterkę zauważyłem dziurę na lewym biodrze. Uniosłem skraj kurtki - dziura w workowatej kieszeni. Uniosłem kieszeń, ale nie znalazłem wylotu. Wszystkich ogarnęło zdumienie. Opróżniłem wypchaną kieszeń. Okazało się, że kula trafiła skośnie w łuskę 20 mm działka, pamiątkę ze Stawek, przedziurawiła miedziano-złocistą blachę, doszła do ślepego końca i grzechotała w środku; ani ją wyjąć. Udaliśmy się do Lisa, by mu pokazać to dziwo. Ja z nadzieją, że wzbudzę w nim przypływ ojcowskich uczuć i przypomni sobie o moim Krzyżu Walecznych.

W czasie, gdy leżałem pod obstrzałem w gruzie, ppor. Szofer na czele grupy uderzeniowej wpadł pierwszy do sali, gdzie było pięciu Niemców. Rozpylacz od razu mu się zaciął i nim skoczył w tył przyległego pokoju, już zdążyli do niego strzelić. Szofer jeszcze rzucił granat, piękny, kostkowany, angielski i zemdlał. Wszystkich pięciu Niemców poszarpało. Haratanina wewnątrz Pasażu nie trwała długo. Niemcy umknęli do Arsenału, ci, co weszli na gruzy między Pasażem a Długą, też zawrócili... Szofer dostał w głowę; zamroczonego zaraz wynieśli do tak zwanego szpitala, czyli składnicy rannych. Czołgi

odjechały, pobojowisko objęła martwota przerywana terkotem kaemów i suchym trzaskiem granatników.

Reszta dnia zeszła mi głównie na pokazywaniu łuski i wyjaśnianiu okoliczności. Sądzę, że kula była pistoletowa, a jeśli karabinowa, to musiała wpierw wytracić prędkość na gruzie - inaczej przebiłaby łuskę na wylot.

Wyrąbano otwór w podłodze tam, gdzie Sala Obrabiarek zwężała się, jak najdalej od Niemców, i spuszczono drabinę. Odtąd prawie cały ruch pomiędzy Starym Miastem i czterema kompaniami batalionu szedł przez Salę Obrabiarek. Szlak prowadził od wielkiego okna, obok kotła, między materacami i ścianą wielkiego korytarza do dziury w podłodze, potem drabiną w dół i podziemiami obok kadzi z wodą. Dotąd do wielkiego okna wspinało się z Harcowiska Granatników po belach papieru celowo ułożonych na kształt stopni wewnątrz składu. Teraz, gdy papier się wypalił, postawiono nową drabinę, która kończyła się na wprost okien Pustej Sali. Przekop do szkoły bronionej przez kompanię Edwarda odgrywał tylko drugorzędną rolę jako wyjście zapasowe; za długi był i za płytki.

Kumple pochwalili się Władowi:

- Panie kapitanie! Krok dostał w brzuch z erkaemu i taki sam zdrów jak przedtem!

Wład przyjrzał się łusce i obracając ją w ręku popatrzył na mnie... Z ciekawością wszyscy czekali, co powie; miał w sobie coś z mieszkańca zaświatów.

- On nie zginie - rzekł i podał mi łuskę. Odwrócił się bez słowa i na czele swej przybocznej gwardii w sile sześciu z enkaemem, zstąpił do przerębli, aby *via* mroczne podziemia udać się na polowanie - na skąpany słońcem i zasnuty dymem szczyt Pasażu.

Gdy się uspokoiło, Pietrek z Wilitem poszli na Freta do kościoła św. Jacka. W drodze powrotnej niedaleko Pasażu spadł na nich granatnik i obaj lekko oberwali. Przynieśli wiadomość, że Tomowi wycięto żołądek, że czuje się lepiej, choć bardzo osłabiony. Barykada też czuł się nieźle, ale wstać nie mógł, odłamków z pachwiny nie wyjęto, bo utkwiły zbyt blisko tętnicy.

O zmroku wymknąłem się do Edka - tyle było do opowiadania. Nie pamiętam, od czego zacząłem, ale zakończyłem demonstrując dziurę w panterce, dziurę w kieszeni, aż wreszcie, wprowadziwszy słuchaczy w stan półosłupienia, wyciągnąłem łuskę. Wędrowała z ręki do ręki, każdy oglądał, potrząsał, a kula w środku grzechotała.

Podniecenie i radość ze szczęśliwego obrotu wypadków

przygasły; przyszło wyczerpanie. Ja jeszcze wytrzymywałem, ale inni zasypiali na posterunkach. Dotarły niejasne wieści o jeszcze jednym naszym nieudanym szturmie na Dworzec Gdański w celu uzyskania połączenia z Żoliborzem i wielkich stratach. Każdy zrozumiał, że górą z kotła staromiejskiego wydostać się nie można.

Niemcy bili w nas z całą mocą, a reszta świata siedziała z założonymi rękami i nawet nie przyglądała się. Dotąd uważano, że nocą można się przedostać na Żoliborz małymi grupkami. Od nieudanej próby przebicia na Żoliborz, Dworzec Gdański poszedł w zapomnienie, za to kanały stały się ulubionym tematem rozmów, zwłaszcza burzowiec na Żoliborz. Prawie wszyscy głośno narzekali, przeklinali, że my od początku Powstania jesteśmy na linii, a innym się dobrze powodzi. Żandarmeria ma steny z angielskich zrzutów, a nie walczy. My spełniliśmy nasz obowiązek, niech inni się biją. Skutek tych nastrojów był taki, że na obsadę tyłowej barykady pod „trupią czaszką" posłano ludzi od Barego, aby nas zwolnić od służby wartowniczej. Barykada ta przegradzała ulicę Długą pomiędzy Hotelem Polskim a wysokim, wąskim domem przy Długiej 42 - będę go zwał dla uproszczenia mikrowieżowcem. Żandarmi nocą uciekli, co wywołało niemal tyle zadowolenia co rozgoryczenia. Niektórzy wciąż jeszcze wierzyli niedawnej oficjalnej propagandzie, że Niemcy poszerzają sobie trasę wschód-zachód do mostu, a Pasaż stoi im na drodze i dlatego tak weń walą, i że należy się wycofać na plac Krasińskich, gdzie jest spokojniej.

Coś wisiało w powietrzu i miałem się na baczności, by nie zostawili mnie, a sami nie uciekli, jak kiedyś na Woli. Nie należałem do kliki Lisa, a do Wiernego byłem tylko przyfastrygowany. Ci, z którymi się przyjaźniłem, już odpadli. Nigdy, od czasu przybycia na Stare Miasto, nie czułem się tak samotny.

Obawiałem się zaspać, ale położyłem się na materacu, zapadłem w sen i budziłem się nieustannie, aż przyszła moja kolej na służbę.

Staliśmy w bramie wypalonej, jednopiętrowej oficyny dzielącej Harcowisko Granatników na dwie części. Jeszcze się dymek unosił z popiołów. Odtąd, zamiast biec otwartym podwórzem ku Staremu Miastu, będzie można przemykać się pomiędzy wypalonymi ścianami oficyny, jak korytarzem bez dachu. Niebo bezchmurne, gwiaździste. Z rzadka rakiety nadlatują od Arsenału. Czasem na wprost zrywa się strzelanina, szepty ustają, czekamy z palcami na cynglach. Stąd, z bramy, ani Arsenału, ani Pustego Domu nie widać. Co będzie, jeśli Niemcy wbiegną w bramę nie wiedząc, że tu stoimy. Żeby tak mieć

bagnety na karabinach. Z piwnicy pod nami przyszła wieść, że Rosjanie przebili się na Pragę. Należało sprawdzić źródło tej informacji, bo od tego mogło zależeć, czy opuszczamy Stare Miasto jeszcze tej nocy, kanałem na Żoliborz..

Przypomniawszy kolegom, by dali mi znać w razie czego - to znaczy gdyby schodzili ze stanowisk - tak niezachwiane było przekonanie, że obrona Starówki dobiegła końca - zbiegłem do piwnicy pod wypaloną oficyną. Pośrodku długiego, szerokiego korytarza paliła się świeca. Wokół łóżka, materace, toboły -na każdym wolnym skrawku ktoś siedział lub leżał. Nie wiedziałem, że tylu ludzi biwakowało pod naszymi nogami na samej linii frontu. Nie od razu znaleźli odpis komunikatu radiowego. Ten, kto czytał ostatni, gdzieś się zawieruszył w mroku. Poszli go szukać, a ja rozglądałem się, pierwszy raz sam na sam z cywilami w piwnicy. Dochodziły mnie strzępy rozmów o Rosjanach. Jak zwykle w nocy, nie miałem waty w uszach, ale i tak nie mogłem odróżnić poszczególnych wątków. Gdy kilka osób mówiło naraz, dźwięki zlewały się i zamazywały. Paru mężczyzn obstąpiło mnie.

- Chłopcy, trzymajcie się jeszcze jeden dzień, do jutra wieczora.

Pokazałem kulę o zagiętym ostrzu, pamiątkę rozmowy z Bajkopem, i miedziano-złocistą łuskę. Znalazł się komunikat, przyklęknąłem obok świecy. Depesza z ostatniej chwili, że słychać ogień kaemów w rejonie Tarchomina. Cywile upewniali mnie, że to już Praga. Były też inne ważne wiadomości. Amerykanie podchodzili pod Paryż, w którym wybuchło powstanie. Rosjanie przełamali się w kierunku Bukaresztu.

Rozmowy ustały. Uniosłem głowę. Wszystkie oczy były wlepione we mnie. Rozejrzałem się szybko. Cywil dawał mi znak, kładąc rękę na ustach. Wargi stojących najbliżej, w kręgu światła świecy, poruszały się. Wpierw domyśliłem się niż dosłyszałem... Niemcy. Boją się - odgadłem - że jeśli mnie tu znajdą, wszystkich rozwalą. Jak mogli moich kolegów tak szybko załatwić? Uciekli bez strzału? Musiałem się jak najszybciej wydostać na górę.

Szedłem wolno po stopniach, suwając stopami ostrożnie, aby nie chrupnęło pod butem, aż głowa znalazła się ponad poziomem bruku. To samo gwiaździste niebo, cisza jak przedtem i pusto. Stałem dotykając cyngla palcem. Nic nie wskazywało na obecność Niemców, ale też i nic nie wskazywało, że ich nie było. W takiej sytuacji dobrze odczekać, ale zbytnia opieszałość też może zgubić. Anglicy radzili, gdy nie wiesz, co robić, *wait and see* [czekaj i patrz], Polacy hołdują

zasadzie: „brak decyzji gorszy od złej decyzji". Zastukał kulomiot. Od Pustego Domu pomknęła rakieta, zwolniła nade mną, rozpaliła się śnieżnym światłem i znurkowała. Cienie zawirowały i taka ciemność zapadła, jakby blask magnezji źrenice przepalił. Wtem usłyszałem polską mowę: „Spać im się nie chce, kurwim synom". Odtąd unikałem piwnic.

Nim słońce wzeszło, poczułem drapanie w gardle, zapowiedź anginy. Przynajmniej raz na rok migdały mi puchły i gorączka wznosiła się ponad 38 stopni. W jakim łóżku się położę na tydzień, kto mi poda jedzenie? Z anginą nie dojdę do Kampinosu.

Jak tylko służba się skończyła, poszedłem na Długą do apteki. Odszukałem farmaceutę w piwnicy, udaliśmy się razem na parter i dostałem garść chinozolu, którym wypchałem jedną ładownicę. Po powrocie na Salę Obrabiarek rozpuściłem kawałątko w gorącej wodzie z kotła i płukałem gardło co kilka minut. Kocioł był stale na ogniu. Funkcja kucharza Ukraińca ograniczała się do gotowania wody na kawę, oczywiście erzac - kombinacja cykorii z palonym zbożem czy czymś tam. Chinozol pomógł mi już wiele razy i dlatego ucieszyłem się na sam widok maleńkich, żółtych tabletek, z uczuciem, jakbym w potrzebie spotkał przyjaciela z dawnych, dobrych czasów.

Leżąc na materacu wziąłem się do czyszczenia karabinu. Dawniej, gdy Sala Obrabiarek służyła tylko za sypialnię, kuchnię, jadalnię, bawialnię, czytelnię, ale jeszcze nie była linią Maginota, czyniłem to bez pośpiechu i z namaszczeniem. Rozkładałem zamek na części, każdą z osobna przemywałem oliwą, wydłubywałem najmniejsze drobiny brudu, polerowałem nawet kolbę, wszystko to robiąc z nie mniejszą starannością niż skoczek, gdy składa swój spadochron. Matka własnym oczom by nie uwierzyła, pamiętając, z jakim trudem przychodziło mi zeskrobywanie błota z butów.

Odkąd Niemcy zajęli Arsenał, robiłem to bardzo szybko. Gdy karabin był w proszku, czułem się jak nagi rak bez skorupy. Obawa ta była do pewnego stopnia uzasadniona, ponieważ te kilkanaście sekund potrzebnych na złożenie karabinu mogły okazać się najważniejsze w życiu.

Z karabinem należy się obchodzić delikatnie i z czułością. Nie wolno go upuścić ani stuknąć nim o ścianę, ani na ziemi położyć; gdy się zabrudzi, trzeba zaraz wyczyścić, a w ogóle z oka nie spuszczać; słowem - jak matka z niemowlęciem.

Nagle ppor. Marian kazał mi wziąć jednego z siedemnastolatków,

łącznika Muszkę i biec galopem do bramy domu nr 44/46; po drugiej stronie Długiej mieli być Niemcy. Po drodze włożyłem ociekający oliwą zamek. Ledwo dopadliśmy do bramy, na szczęście zamkniętej żelazną kratą od ulicy, gdy sztukas zawył nad dachem. Mówiono, że Niemcy rzucali bomby z opóźnionym zapalnikiem, podobno o 16 sekund. Zastanawiałem się, czy wyskoczyć na podwórze. Przemknęło mi przez myśl, że Marian wybrał mnie wiedząc, że nie zawiodę. Zresztą nie słyszałem uderzenia bomby w dach i stropy. W bramie widać nas było od ulicy, więc już chciałem się cofnąć, gdy zauważyłem pęknięcie wzdłuż sklepienia, które zaczęło się wybrzuszać powoli, jak na zwolnionym filmie. Szarpnąłem Muszkę, jeszcze zdążyliśmy skoczyć trzy kroki tyłem do wejścia na klatkę schodową, nim zapadła absolutna ciemność.

Nie wiem, co bardziej dławiło mnie, strach czy pył. Nieostre dźwięki, dudnienie, chrobot, szum, aż zapadła cisza. Uchyliłem powieki. Jeszcze było ciemno, ale szybko się rozjaśniało - od czerni przez odcienie rudego aż do pełnego światła dziennego. Muszka stał obok. Jakby nas odkurzacz wydmuchnął z swego brzucha. Parsknęliśmy sztucznym śmiechem. Otarłem twarz, charknąłem, wyplułem i smarknąłem. Całą bramę zawaliło, oprócz wąskiej przestrzeni, którą można się było przecisnąć do kraty od strony ulicy. Przejścia z powrotem na podwórze, ku naszym, nie było. Za to klatka schodowa została nie naruszona, wystarczyło wejść na półpiętro i zeskoczyć.

- Poczekajmy tu chwilę - rzekłem do Muszki - drugi raz nadleci, jeśli wyjdziemy teraz, wpakujemy się pod następną bombę, a dwa razy w to samo miejsce nie rzuci.

Nie tylko doświadczenie bojowe podyktowało mi tę decyzję. Chciałem, by koledzy pomartwili się, uznali nas za poległych, a my wtedy wynurzymy się spod zwału gruzów jak z grobowca. Nie otrzepałem munduru, żeby wyglądał „lepiej". Muszka, gdyby nawet nie uległ memu autorytetowi, jako podkomendny, musiał słuchać rozkazu. Miałem rację, następny sztukas już zniżał się.

Nie wiem, jak to opisać komuś, kto nigdy nie leżał pod bombami czy ogniem artylerii. Jak u dentysty - siedzisz na fotelu, zaciskasz dłonie na poręczy, krzyczeć nie wypada, na ucieczkę za późno. A masz wielką dziurę w zębie trzonowym i gdzieś w jakimś punkcie jest obnażony nerw. Dentysta boruje nie taką nowoczesną wiertarką - trzysta tysięcy obrotów na minutę z chłodzącym wodotryskiem, ale starożytną pedałówką. Modlisz się, by nie uderzył w nerw, całe ciało

ci tężeje, zalewasz się potem. Dentysta przestaje wiercić, myślisz, że skończył, a on tylko poprawia pedał.

Znurkował wprost na nas. Zacisnąłem powieki i poczułem podmuch. Chwyciliśmy się za ręce i znów ogarnęła nas noc. Dusiłem się, puściłem karabin, zakryłem twarz rękoma i tak oddychałem przez palce. Coś brzękało, podzwaniało, sypało się. Gdy ucichło, wiedziałem, że stoję, że nikt mnie nie odkopie i nikogo więcej nie zobaczę, i że ta ciemność pozostanie na zawsze.

Powoli otwierałem oczy; było tak czarno, że nawet nie byłem pewien, czy je w ogóle otworzyłem. Nie ruszałem się, by nie wpaść do jakiejś dziury. Pomacałem dookoła, dotknąłem Muszki. Zaczęło się przejaśniać. Strop zawalił się na schody przed nami, a po prawej stronie wybuch przebił otwór w ścianie. Dzień ledwo się zaczął, a już „zmartwychwstałem" po raz drugi. Wspinaliśmy się po gruzie ostrożnie, próbując wpierw stopą, czy wytrzyma ciężar ciała. Skacząc po blokach zwalonego muru, zeszliśmy na podwórze. Kobuz ściągnął już ekipę do odkopywania. Wątpię, czy wiele by zdziałali, zwłaszcza pod ogniem granatników.

Uradowani koledzy opowiadali, jak to sztukasy znurkowały nad sam dach. Nie sądzili, byśmy żyli, ostatni raz widzieli nas, gdy waliła się ściana. Muszka zachowywał się jak gdyby nigdy nic, twarz i mundur otrzepując bez pośpiechu, choć jak dotąd był to najtrudniejszy dzień w jego powstańczej karierze. Krótko naszkicowałem wrażenia, po czym udałem się na Salę Obrabiarek, gdzie pożyczyłem oliwy do czyszczenia karabinu.

Kawka, wijąc się z bólu, w przerwach opowiadał swe smutne dzieje. Razem z Hutnickim przyglądali się Arsenałowi ze strychu, gdy pierwsza bomba wydmuchnęła dom spod dachu i razem z dachem zjechali z trzeciego piętra na parter. Hutnicki rozciął sobie głowę o belkę, a Kawka skręcił nogę w kostce. Dobrze, że but mu zdjęli od razu, inaczej trzeba by było rozcinać cholewę -tak szybko noga puchła. Błagał, abyśmy go nie zostawili Niemcom. Zabrali mu pas z ładownicami i karabin, położyli go na noszach, but na brzuch i ponieśli.

* * *

Trudno odgadnąć, jakby się potoczyła dalsza obrona Pasażu Simonsa, gdyby bomby nie zawaliły bramy doszczętnie. Nieprzyjaciel bowiem obsadził nieparzystą stronę Długiej. Jeden jego karabin maszynowy, ustawiony na wprost nie zawalonej bramy, kontrolowałby ogniem podwórza na tyłach Pasażu, przecinając

połączenie ze Starym Miastem.

24 sierpnia uważałem to za fałszywy alarm. Ale okazał się prawdziwy, bo wkrótce wystawiono mnie na stanowisko w domu pod numerem 44/46 z instrukcją: strzelać do każdego po przeciwnej stronie ulicy.

Dopiero wiele lat po wojnie przeczytałem u Borkiewicza, że rankiem dwudziestego czwartego Niemcy przebili się klinem aż do Hotelu Polskiego przy Długiej 27/29. Wówczas zrozumiałem, dlaczego obrzucili bombami parzystą stronę ulicy; po to, żeby zabezpieczyć lewą flankę klina. To się nazywa precyzyjne współdziałanie ciężkich broni z piechotą.

Z powojennej relacji kpt. Ognistego dowiedziałem się, że Niemców atakujących bez wsparcia broni ciężkiej wstrzymała załoga nie znanej mi Reduty Matki Boskiej. Tak bowiem przemianowano oficynę dwupiętrowego domu Długa 27/29, gdzie mieścił się Hotel Polski.

W czasie Powstania nie słyszałem o tej reducie, choć ciągle rozprawiano o sławnych punktach oporu; żeby tu wyliczyć te, które najlepiej pamiętam: Bank Polski, Kanoniczki, Ratusz, Katedra, fabryka Quebracho, uliczka Boleść, Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych, szpital Jana Bożego. Wystarczy spojrzeć na plan miasta, aby zauważyć, że dom przy Długiej 27/29 znajduje się głęboko w tyle. Kompania Lisa obsadzała część parzystej strony Długiej aż do narożnika numeru 44/46, a dalej odcinek Wyjazdu na wprost Pustego Domu, Pustą Salę i Salę Obrabiarek. Kompanie Klima i Konara broniły reszty Pasażu oraz przyległych kamieniczek na Nalewkach. Po drugiej stronie, u podstawy niemieckiego klina, znajdował się Bank Polski. Niemcom trudno było atakować Redutę Matki Boskiej, mając w tyle na obu flankach prawdziwe reduty w Banku i Pasażu. Jak wynika z samej definicji, reduta wstrzymuje nieprzyjaciela, podobnie jak skała wrzynając się głęboko w morze, odbija fale. Redutę Matki Boskiej przyrównać można do daleko cofniętego brzegu głębokiej zatoki, z dala od pełnego morza.

Linia powietrzna łącząca Pasaż Simonsa z Bankiem Polskim wynosiła około 240 metrów. Reduta Matki Boskiej znajdowała się 140 metrów w tyle od tej linii, a także o 100 metrów w tyle od domu 44/46, tam gdzie mnie zasypało i gdzie później spędziłem kilka dni i nocy. Więc co to za reduta?

Pasaż Simonsa stał na północny wschód od Arsenału, a nie na wschód, jak to błędnie wskazuje plan Borkiewicza. Był on, poza wieżami niektórych kościołów, najwyższym budynkiem

staromiejskiego kotła, więc aby uniknąć tego rodzaju błędów, wystarczyłoby raz zwiedzić pole bitwy.

Jako inny przykład tworzenia mitów niech posłuży cytat z „Armii Podziemnej" Bora Komorowskiego:

„Twierdzą duchową Starego Miasta był Kościół Jezuitów w którego podziemiach ojciec Tomasz opiekował się urządzonym tam szpitalem. Był on jednym z tych niewielu, których niezmiennie pogodne usposobienie odcinało się ostro na tle ponurej rzeczywistości Starego Miasta. Kiedy rozpoczęła się ewakuacja, zaproponował mu Wachnowski, aby szedł z żołnierzami, którzy tak przywykli do jego krzepiących słów w tych ciężkich dniach. Ale ksiądz odmówił. Uważał, że jego obowiązkiem jest pozostać i opiekować się nadal ciężko rannymi".

Nie ujmując w niczym ojcu Tomaszowi, wiadomo, iż było wielu cywilnych, duchownych i wojskowych, których „niezmiennie pogodne usposobienie odcinało się ostro na tle ponurej rzeczywistości Starego Miasta". Wielu ryzykowało życie opiekując się do samego końca ciężko rannymi, których większość potem wrogowie dobili. Więc po co od razu „twierdza duchowa", po co to dęcie w surmy. Jeśli kto, to wódz, powinien być twierdzą duchową. Nie było żadnej okazałej twierdzy. Któżby ją zresztą mógł dostrzec wśród dymów i dotrzeć do niej pod kulami. Siłę duchową Starego Miasta stanowiły tysiące maleńkich, nieznanych twierdz.

* * *

Gdy Wład po drabinie wynurzył się z podziemi, koledzy nie omieszkali przypomnieć mu o mnie.

- Panie kapitanie, pan kapitan miał świętą rację.

Władowi nigdy aż tak się nie śpieszyło, by nie przystanął, gdy go umiejętnie zagadali.

- Pan kapitan pamięta kaprala Kroka, tego, co wczoraj dostał w brzuch z kaemu... kula wpadła do łuski i w środku grzechotała. Dzisiaj trzypiętrowy dom siadł na niego i Muszkę. Odmawialiśmy już wieczne odpoczywanie, a tu oni wychodzą spod gruzu.

Podsunęliśmy się z Muszką do Włada, zdałem raport podkreślając zabawne momenty. Wład najwidoczniej lubił niecodzienne historie. Hutnicki z obandażowaną głową stanął obok Włada, ruszył szczęką parę razy, jakby chciał wtrącić swoje trzy grosze. Przedstawili go kapitanowi. Hutnicki zaciął się, zaledwie zaczął mówić.

- Drzazga z belki weszła mu do mózgu - wyjaśnili Władowi - dlatego się jąka.

Hutnicki, w zasadzie nieśmiały, chciał jednocześnie i być na samym przodzie, i chować się w tyle. Zwykle mówił prędko, nierówno, zacietrzewiał się łatwo i zacinał, zwłaszcza w kulminacyjnych momentach. Brak pewności siebie starał się pokryć udanym gniewem. Przyglądam się dzisiaj grupowemu zdjęciu z Powstania przy armacie i widzę Hutnickiego, jak stoi z tyłu w drugim szeregu, a głowę na długiej szyi wysunął ku przodowi ponad ramionami stojących przed nim.

Porucznik Marian nie wysłał mnie z powrotem na linię, był to bowiem mój wolny od zajęć czas po całonocnej służbie. Opowiadałem coraz to nowym słuchaczom swoje przejścia podkreślając, jak to ocaleliśmy dzięki błyskawicznej orientacji, uskakując na bok spod walącego się nam na głowy stropu bramy. Nawet Muszka przysłuchiwał się z ciekawością. Wład miał dla nas miłe słowo, Lis, jak zwykle, był niezadowolony, gdy powodowałem zbiegowisko. Im lepiej opowiadałem, a można to było poznać po twarzach słuchaczy, tym jemu mniej się to podobało. Czasem miałem wrażenie, że wymieniłby mnie na jednego z poległych. Marian wysłuchał mnie do końca i ani jeden muskuł w twarzy mu nie drgnął. Zawsze był powściągliwy w mowie i w ruchach, ale od czasu, gdy dostał odłamkiem, zesztywniał jeszcze bardziej. Pozycji głowy nie zmieniał. Jeśli go ktoś zagadnął z boku, to - albo powoli obracał ku rozmówcy całe ciało, albo tylko oczy. Z szyją owiniętą grubo nieczystym bandażem wyglądał trochę na mumię.

Potem, leżąc, słuchałem najnowszych wiadomości o burzowcu na Żoliborz. Ten temat wybijał ze snu i kołysał do snu. Ktoś przyszedł z wiadomością, że Tom umarł. Patrząc po twarzach nieraz myślałem: ten, ten i ten... każdy jest pewien, że przeżyje, choć przecież jeszcze nie koniec.

Obudzili mnie w porę, bym zdążył położyć się za maszyną. „Tygrys" wjechał na skrzyżowanie Długiej z Bielańską, pokręcił się w miejscu, postrzelał i odjechał. Potem wrócił i znowu trzeba było się chować. Tak zwykle schodziła każda godzina wolna od zajęć.

Sala Obrabiarek dawała pewny schron tylko przed kulami. Teoretycznie granat mógłby wpaść z odbicia przy rzucie z Pustego Domu; aby tego dokonać, Niemiec musiałby stanąć na chwilę w wypalonym oknie i wziąć dobry rozmach. Odległość z Pustego Domu do kompanii Lisa wynosiła 30 metrów, a do kompanii Konara i Klima - połowę tego. Jak dotąd żaden pocisk nie przebił się z wielkiego korytarza na Salę Obrabiarek lub Pustą Salę, choć wewnętrzna

ściana nie była gruba. Na szczęście ze skrzyżowania Bielańskiej i Długiej, skąd czołgi i działa szturmowe zwykle strzelały, widać było tę ścianę pod bardzo ostrym kątem, a parometrowy zwał gruzu utrudniał wgląd.

Czołg zajął się odcinkiem pomiędzy Pasażem a Długą, gdzie mury wyglądały na bardziej kruche. Niemniej musieliśmy kryć się za maszynami, dopóki nie odjechał. Pociskami zwalił tyle gruzu do wypalonego składu papieru, że nie potrzeba było drabiny, aby zejść na Harcowisko.

Powróciliśmy do rozmowy o burzowcu. Przedostać się na Żoliborz było w zasadzie łatwo. Kanał wysoki, prosty, idziesz sobie wygodnie, nie garbiąc się. Tylko pod Dworcem Gdańskim właz otwarty, stąpać należy bardzo ostrożnie, wolno, nóg z wody nie wyjmując, najlepiej ciągnąc je po samym dnie. Co myślał Kobuz-służbista, gdy cały pluton w sile poniżej dwudziestu rozprawiał otwarcie o dezercji jeszcze tej nocy? Nikt nie wątpił, że intendentura, policja, żandarmi już ukradkiem umykali na Żoliborz. Lada chwila Niemcy zauważą, wysadzą kanał, a kto nie zdążył - śmierć frajerom! Wokół, tak jak daleko sięgały materace, toczyły się te same rozmowy. Wątpię, czy ktokolwiek krępował się obecnością Lisa. Dziesięć dni już minęło od chwili gdy, będąc prawie u kresu sił, czytaliśmy oświadczenie radzieckiego oficera, że *sowieckaja armia prijdiot* w *Warszawu czerez tri dnia* [Armia radziecka w ciągu trzech dni dotrze do Warszawy].

Trafiały się i lepsze wiadomości: w Śródmieściu powstańcy zdobyli Pastę, stację telefonów na Piusa, a wczoraj znowu Komendę Policji. Wzięli kilkuset jeńców - zdumiewające. Żoliborz miał reputację uzbrojonej po zęby oazy spokoju, za to Śródmieście, dotychczas pomijane w rozmowach, było jedyną dzielnicą, która dawała sobie radę z Niemcami. Do niedawna jego główne osiągnięcie stanowiła tylko obrona poczty dworcowej i domu w Ogrodzie Saskim przy Królewskiej.

Niegłęboki, kilkudziesięciometrowy przekop, używany tylko z konieczności, łączył podziemia Pasażu ze szkołą na Barokowej, gdzie znajdowała się kuchnia batalionu. Do niedawna jedzenie stamtąd nieźle dochodziło na linię. Ostatnio jednak aprowizacja pogorszyła się do tego stopnia, że każdy pluton kompanii Lisa zaczął wysyłać własnych ludzi na Barokową. Podobno powstańcy z kompanii roboczej odmawiali chodzenia przekopem. Podejrzewano też, że co lepsze kawałki ginęły po drodze.

Przyszła moja kolej. Rysiek Wilit poradził mi po ojcowsku na drogę:

- Nie daj się oszukać, bierz warząchew i sam nalewaj, ciągnij bokiem po dnie, o tak...

Kto by tam przed dwoma tygodniami kluski liczył! Konserw było w bród. Zostawiłem karabin. Drugi raz w Powstaniu wypuściłem go z rąk. Zrzuciłem wodoszczelną panterkę i drabiną zszedłem do podziemi.

Przekop, zwany rowem dobiegowym lub łącznikowym, wykopany musiał być naprędce dopiero wtedy, gdy Niemcy obsadzili getto po drugiej stronie ogrodu. Ziemię wyrzucono nierówno, wyżej od strony getta. Otwarta przestrzeń ogrodu znajdowała się pod obserwacją nieprzyjaciela nie tylko od strony getta i Nalewek, ale i z innych kierunków, zwłaszcza od kiedy zaczęło ubywać liści. Wysoka, szpiczasta, szarostalowa wieża kościoła ledwo się odcinała od zadymionego nieba; nie wolno było o niej zapominać. W połowie drogi, na krótkim odcinku rów się spłycał i należało się dobrze przygiąć. O tym przekopie opowiadano ku pokrzepieniu i rozweseleniu serc, że ktoś ruszył ze szkoły z pełnym wiadrem, a doszedł z połową, dali mu opeer, mimo iż przysięgał, że nie rozlał zupy. Potem dopiero odkryli w wiadrze dziurę od kuli. O innym znowu mówiono, że porzucił wiadro w płytkim miejscu, bał się wrócić i w słońcu do nocy zupa zaśmierdła.

Ledwo doszedłem do szkoły, wariat jakiś wyskoczył wrzeszcząc, że niemal do mnie nie strzelił, bo nie mam opaski na mundurze Luftwaffe.

Polecenia Wilita nie udało mi się wykonać. Nie dali mi warząchwi do ręki. Jedyne, co uzyskałem, to że nabierali zupę pod moim nadzorem. Doszło do wymiany słów. Można ciągnąć warząchew po samym dnie i dostać same popłuczyny. Wszystko zależy, pod jakim kątem. Nawet w takich sytuacjach ludzie są jak bracia, jeden drugiemu wydziera.

Z pełnym kubłem wracałem powoli. Gdy dotarłem do płycizny, postawiłem kubeł na ziemi i przykucnąwszy ciągnąłem go po piasku. Wilit miał rację, że karabin tylko by mi zawadzał. Bez hełmu i panterki, bez broni, czułem się, jakbym nie był sobą, jakbym utracił część ciała.

Przywykły do gęstwiny murów znalazłem się w obcym żywiole, pośród otwartej przestrzeni, na skraju lasku. Lekki powiew wiatru przenikał do spoconej, kleistej skóry. Widać było owalne czubki koron

pobliskich drzew; liście żółkły pomimo lata. Co za kontrast z geometrycznym krajobrazem Harcowiska! Nawet serie kaemów nie szarpały powietrza tak ostro. Śpieszyłem z powrotem poganiany niepokojem, a nuż uderzą lada chwila, a może coś już się stało.

Zmiana szychty. Lis, jak zwykle, obsadza odcinek od Pustej Sali do numeru 44/46 i kawałek po parzystej stronie Długiej. Znowu stoję pod oficyną. Przydzielają nas w to samo miejsce, aby człowiek nie musiał uczyć się od nowa, skąd lecą kule, którędy wpadają odłamki. Nie ja jeden staram się odcyfrować klucz, według którego operują granatniki. Naturalnie biją, by pokryć własne natarcie; gdy się głośno rozmawia, zwłaszcza biegnie. Dlatego należy albo stąpać „na palcach", to znaczy na zewnętrznym brzegu podeszwy, aby nie chrupnęło pod butem, albo skokiem przedostawać się do najbliższej kryjówki, jeśli blisko. Niestety, tych ostatnich jest niewiele; trzeba dobrze pędzić, by zdążyć. Przez pierwsze 2-3 dni po upadku Arsenału obrzucali nas granatnikami na oślep, ale teraz nie tylko wstrzelali się w niedostępne, zdawałoby się, zakamarki, ale reagowali na hałas natychmiast. Widocznie podłączyli telefon z Pustego Domu wprost do baterii. Czasem można poznać, że bawią się z nami w kotka i myszkę. Wywalą całą serię, jakby coś zauważyli... mijają może ze trzy minuty, na zegarek nikt nie patrzy, ale czuje się w kościach - spokojnie, dym się rozwiał. Pomyślisz: ot, przypadkowa salwa, biją tak licząc na szczęśliwy traf, następna spadnie za kwadrans, komu w drogę, temu czas - a tu nagle nowa seria. Albo spadł pocisk... ktoś dostał... Nikt nie podbiega na pomoc od razu, sanitariuszki, koledzy odczekują, czy aby się więcej nie posypie, nie za krótko - dla własnego bezpieczeństwa i nie za długo, bo ranny się wije. Trudno patrzeć na krwawiącego kolegę i na zegarek, mierząc czas. W końcu nie wytrzymują, biegną z noszami, a tu seria wali w to samo miejsce. Niemiec też pewnie na zegarek nie patrzy, ale wyczuwa, ile czasu potrzeba, aby przeciwnik nabrał odwagi.

Gdy nagle zaterkocze parę kulomiotów naraz, gdy pociski wzbiją tumany kurzu, robi mi się gorąco... Pieką policzki, staję się rzeźki, mija kwadrans, żar w policzkach wygasa, powieki znowu ciążą.

Wypalone ruinki dookoła już nie dymią. Pusty Dom rzuca cień na Harcowisko, słońce zachodzi za Arsenałem. Ściany szarzeją, za to obnażone cegły nabierają czerwieni jak ciało, z którego zdarto skórę. Niebo ciemnieje. Wyjmuję watę z uszu. Opieram się o mur, tak lżej stać. Wolę nie siadać - usłyszę kroki, stracę pół sekundy, nim się

zerwę na nogi. Wymieniamy zasłyszane szczegóły o burzowcu, coraz to coś nowego. Nie dosłyszę. Rozmowy prowadzone półgłosem męczą mnie. Rozumiem, jak to okropnie musi być niedowidzieć: wytrzeszczasz, przecierasz oczy, a przed tobą mgła i mgła. Marian wciąż ostrzega przed gadaniem na stanowiskach - dobry żołnierz wyceluje nocą według słuchu. Nasza zmiana kończy się przed północą.

- Nie wracamy do Pasażu - wszyscy się odgrażają, odgrażam się i ja.

- Wstrzymuje nas chyba brak przewodnika do kanału. Niech się inni biją, mówię - ale karabinu nie oddam, gotów jestem go bronić do ostatka.

Od początku walk o Stare Miasto wybuchło obok mnie kilkaset pocisków i granatników, jeden „goliat", dwie bomby. Nie wolno wyzywać losu. Mam dość do opowiadania do końca życia. Dziś jestem zdrów i mogę uciec. Ten się uratuje, kto się sam uratuje. Byle dalej od Pasażu, od Starówki, od Warszawy... burzowcem na Żoliborz, a stamtąd przebojem do Puszczy Kampinoskiej. Będziemy spać w wysokiej trawie pod drzewami, opalać się w zagajniku pomiędzy sosenkami. Pachnie żywicą, otrzepujesz mrówki. Kiedyś mi jedna weszła do ucha i narobiła takiego hałasu, jakby koń galopował. Teraz przez dziurę w bębenku do mózgu by wlazła. Zawsze przed snem napycham waty do uszu, z tą watą nieprędko się rozstanę. W lesie będziemy na przemian spać i słuchać komunikatów z frontu; „po silnym przygotowaniu artyleryjskim nieprzyjacielska piechota wsparta czołgami...". Jak to teraz wszystko inaczej rozumiem... dawniej były to tylko słowa... Teraz jestem specjalistą od wojny, poznałem nową dziedzinę ludzkiego życia. Odczekamy w lesie do końca wojny, aby nie dostać w czapę pięć przed dwunastą. Potem pójdziemy okupować Niemcy...

Kaemy terkoczą, rakieta za rakietą pomyka od Arsenału jak kula gorejącego śniegu. Należy natychmiast obrócić źrenice ku ciemności i tylko samym skrajem oka obserwować, inaczej oślepi cię na parę minut, widelcem cię zadźgają i nie zobaczysz kto. Czasem zapada tak długa cisza po tamtej stronie, że zaczynasz myśleć, a nuż ukradkiem się wycofali, może kapitulacja Niemiec. Dopiero gdy rakieta znowu wystrzeli, widać, jak są blisko.

Jeszcze nie dobiegła końca nasza szychta, gdy wieść przyszła, że wycofujemy się. Ktoś inny przejmuje nasze stanowiska. Ostatni rzut oka na ciemny masyw Pasażu. Obracamy karabiny lufą ku ziemi,

kolby na ramię. Wkładam watę do uszu i w drogę. Oddział Wiernego posuwając się gęsiego znika w ruinkach. Na palcach przez Harcowisko, środkiem wypalonej oficyny, oknem na zewnątrz, teraz w prawo szczeliną pomiędzy dwiema szczytowymi ścianami, dziurą w murze, uważać na granatniki przed skokiem przez patio pałacyku. Kilkanaście kroków w prawo i zatrzymujemy się w mikro wieżowcu. Na wprost znajduje się Hotel Polski. Ulicę Długą, bardzo wąską w tym miejscu, przegradza masywna barykada, a na niej wielka tablica z trupią czaszką i napisem: „Uwaga, dalsze posuwanie się grozi śmiercią".

Każdy przechodzień, a właściwiej, przemykacz lub wędrowiec, dopadłszy bramy wchodzi parę stopni na klatkę schodową, aby w miejscu osłoniętym przed odłamkami odsapnąć, odprężyć napięte nerwy, przysłuchać się, zastanowić, wybrać właściwy moment, i dalej w drogę. Idziemy Długą gęsiego i małymi grupkami, aby nie ściągnąć ognia. Oficjalnie nie wiadomo dokąd, ale łatwo domyśleć się, że do jakiegoś włazu. Kobuz też sądzi, że schodzimy do kanału, na pewno jednak nie wie, rozkazu jeszcze nie otrzymał, tak przynajmniej twierdzi. Od walk w Arsenale zbliżyliśmy się do siebie, zwłaszcza że oddział Wiernego skurczył się. Tylko nas dwóch inteligentów zostało, reszta brać robotniczo-drobnomieszczańska. Odciągam Kobuza na bok, wyjmuję watę z uszu i wypytuję go prywatnie o prawdę. Zarzeka się, że wszystko co wie, powiedział.

Obchodzimy bloki zwalonych murów, leje, zwoje blachy i, choć w podkutych butach, stąpamy cichutko niczym koty. Iść należy na z lekka przygiętych kolanach i stopę stawiać powoli na zewnętrznym brzegu podeszwy, zaczynając od pięty. Każdy to zrobi, jeśli nie musi się śpieszyć. Sztuka polega na tym, aby nogami poruszać jak najszybciej, a stopę na ziemi stawiać jak najwolniej. Nawet nie widząc się wzajemnie, przyśpieszamy, zwalniamy, stajemy, zakręcamy w tych samych miejscach, niby paciorki nanizane na niewidoczną nitkę. Jakby kto posiekał stonogę: każdy segment stawia nogę w ślad poprzedniego. Choć od dawna nie maszerowaliśmy razem, wykonujemy te same ruchy, jakbyśmy mieli rok koszar za sobą; a to tylko śmierć, mistrzyni życia, tak nas wymusztrowała. Biada ci, jeśliś niepojętny i jeśli tylko Bóg ma cię w swej opiece.

Nad placem Krasińskich mnóstwo gwiazd, stracha człowiekowi napędzają. W Kampinosie będziemy liczyć spadające gwiazdy, sierpień najlepszy na to miesiąc. Mijamy rachityczną barykadę w

poprzek Miodowej, Kościół Garnizonowy, Długa się kończy i skręcamy w lewo. Oddział zatrzymuje się w małej kamieniczce przy Freta 13. Tutejsze domy w porównaniu z Pasażem przypominają domki z kart. Ostatnia godzina na Starówce. Jutro będziemy się przyglądać bitwie ze strychów Żoliborza, pojutrze z Puszczy Kampinoskiej. Leżymy na maleńkim podwórku. Gdy nie musisz stać, kładziesz się od razu i zamykasz oczy. Tak tu bezpiecznie, że nawet widok gwiaździstego nieba nie spędza senności z powiek. Nie wiem, że niemieckie granatniki stoją o niecałe trzysta metrów na Wisłostradzie. Za to od Pasażu odeszliśmy trzy ćwierci kilometra i wydaje się, że od Niemców dzieli nas nieskończone morze domów, a każdy dom jest fortecą.

Pomimo nieustannego wykpiwania bratnich oddziałów, nigdy nie pozbyłem się myśli, że może w nich są lepsi żołnierze od nas. Czasem, a zwłaszcza teraz, dodaje mi to ducha. Sam nie wiem, czy mogę się uważać za odważnego człowieka. Niejedna niebezpieczna sytuacja już mnie przekonała, że nim jestem, gdy nieoczekiwanie jakiś drobiazg przerazi mnie i przygnębi i zaczynam wątpić. A nuż udaję tylko? Wówczas myślę - wszystko polega głównie na udawaniu. Jest to gra, wielka gra. Są tacy co wierzą, że ja nie udaję. Sam bacznie obserwuję tych nieustraszonych i niepokoję się, czy aby i oni nie udają. Nie wierzę, żeby człowiekowi koniec życia mógł być obojętny. Co będzie, jeśli się nawzajem przejrzymy? Tacy, co nie muszą udawać, pewnie ulepieni są z innej gliny.

Wład?... Lis?... Wilit?... Wilit, kiedy w nas biją, zamiast się lękać, robi się zły, broda wysuwa mu się ku przodowi, dolne zęby zachodzą na górne, gotów kąsać - ani śladu strachu.

Kapral Jur?... uprzejmy, powściągliwy, poprawny, zwięzły służbista. Bez rozkazu pod kule się nie pcha, ale lęku po nim nie widać, nawet gdy ucieka. Czyżby żołnierz z powołania, który zawieruszył się w życiu cywilnym, a teraz odnajduje siebie? Gdy myślę o Jurze, przypomina mi się opowiadanie o tym chłopie, który dawał synowi rady przed wyjazdem do szkoły do Krakowa: „Na przodek się nie pchaj, na zadku nie ostawaj, a środka trzymać się nie musisz".

Za to Kobuz to cywil przebrany za żołnierza, widzę go za biurkiem sortującego papiery. Nawet gdy daje opeer, robi to podniesionym, ale cichym głosem, jakby krzyczał szeptem. Ugnie się czasem, ale nie łamie. Skądś bierze tę siłę, która pozwala mu przeskakiwać od stanowiska do stanowiska między uderzeniami pocisków, gdy inni

kryją się pod stropami.

Zosia Kos i Wanda Żydówka w ataku biegną razem z nami, bez broni. W nocnych wypadach czołgają się na czele kolumny. Pod granatnikami przemykają się wiele razy dziennie z Pasażu z meldunkami do dowództwa. Co też one czują? Nie boją się? Może wierzą, że ze śmiercią nie wszystko się kończy.

Wciąż leżymy na kocich łbach na podwórku. Myśli o kanale odpędzają sen. A oto doświadczam czegoś nieznanego, zupełnie różnego od wszystkich głosów wojny, ani to dźwięk, ani to drżenie. Siadam, by lepiej usłyszeć - słabnie, kładę się - wraca. Już wszyscy zauważyli, dudnienie idzie z ziemi. Zaczęło się. W ciemnościach, parę kilometrów za Wisłą, rosyjska artyleria wypruwa Niemcom bebechy. Zamykam oczy, spokój ogromny na mnie zstępuje, a tam w głębinach ziemi, jakby olbrzymia sprężyna zwija się i dygocze. Wtem ktoś kładzie mi głowę na piersiach. Poznaję Wandę. Włosy muskają mi twarz, chciałbym ją dotknąć, pogłaskać. Dlaczego spomiędzy tylu wybrała mnie, o trzy lata młodszego?

Decydujemy, że jeśli dłużej przyjdzie czekać na kanał, lepiej zejść z podwórka. Od frontu znajduje się sklep rzeźniczy. Kto pierwszy, ten lepszy i, jak zwykle, to nie ja. Już zabrakło materaców. Wyszukałem rolę papieru do pakowania mięsa i rozwijam na kafelkowej podłodze. Wkrótce cały zapas papieru wyściela podłogę grubą warstwą, a moja reputacja najmądrzejszego chłopaka we wsi znów idzie w górę. Pas karabinu zarzucam na szyję, kolbę kładę pomiędzy nogi i zasypiam jak po wojnie. Budzę się tylko i obracam, gdy kości zaczynają pobolewać. Rano, wyjąwszy watę z uszu, poznaję, że bitwa o Stare Miasto toczy się ze zmniejszonym natężeniem. W tej nowej sytuacji może lepiej zaczekać na Rosjan niż schodzić do kanału?

Po raz pierwszy od wielu dni mamy kwaterę na tyłach, gdzie poza bombą i pociskiem nic nie zakłóca spokoju. Strzelanina z broni ręcznej i wybuchy granatów z odległości kilkuset metrów przypominają ćwierkanie polnych koników w noc sierpniową lub bębnienie deszczu o dachówki.

Zamiast zmówić poranny pacierz, wyjąłem zamek i rozłożyłem go na części; nie jest to proste, w każdym razie nie dla nowicjusza. W środku znajduje się mocna sprężyna, należy jednocześnie naciskać ją i rozkręcać. Nie daj Boże, jeśli się wyślizgnie. Robię z wielką przyjemnością to, co jest przekleństwem w koszarach. Czyszczę lufę wyciorem, aż się lśni nieskazitelną powierzchnią. Przykładam oko do pustej komory zamkowej - mroczno, ostre gwinty, każdy następny w

środku poprzedniego, a na samym końcu jasny krążek światła, jakbyś, zaglądając do głębokiej studni, zobaczył odbicie nieba. Kanał podobnie musi wyglądać, tylko ciemność bez końca. Przemywam oliwą każdy zakamarek, gwoździem ze szczelin wydłubuję drobiny brudu, pucuję ścierką na glans, że i sam wielki książę Konstanty by przyklasnął. Potem, wciąż gawędząc z kolegami, którzy robią to samo, bez pośpiechu składam wypolerowane części i znów mam w ręku karabin. Bez niego jestem niczym.

Na Freta pod trzynastym zakwaterował się Wierny. Reszta kompanii grupkami w pobliżu. Zosię i Wandę wezwali do dowództwa. Kobuz poszedł do Lisa w sprawie wyżywienia. Ciągnęło mnie, by odwiedzić Edka, wszystkiego dwie minuty szybkim krokiem. Barykada leżał jeszcze bliżej, po drugiej stronie ulicy, u św. Jacka, ale bałem się, że lada chwila ruszymy do kanału. Ranek nastał względnie spokojny, więc jeszcze wyraźniej słychać było świst nielicznych pocisków. Czułem się jak w przytulnym górskim schronisku, jesienny deszcz dzwoni o szyby, po co wychodzić? Kawę dostaliśmy ze szpitala św. Jacka, cukier własny. Po dłuższych zachodach miejscowa piekarnia przydzieliła kilka bochenków zakalca. Widocznie ciasto chleba, co podrosło, to od wstrząsu oklapło. Nawet można odróżnić warstwy, kiedy ciasto rosło, a kiedy opadło. Przy żuciu tynk chrupie pomiędzy zębami. W takiej przełomowej chwili nie psuje mi to krwi, choć wiem od rannej Hanki, że żandarmeria nadal zażera się konserwami. Gotów jestem jeść taki chleb i nic innego do końca wojny, byle tylko Pasażu więcej nie oglądać.

Pierwszy raz mam okazję pogadać sobie dłużej z Ochotnikiem. Błąkał się prawie trzy tygodnie, nim odnalazł Wiernego. Oczywiście, jak wszyscy, pochodzi z Sadyby. Cała rodzina - szoferzy. Wygląda na takiego, co da sobie radę w życiu. Paru poszło na drugą stronę ulicy do kościoła św. Jacka odwiedzić Staśka Barykadę i odszukać grób Toma. Po wojnie pochowa się go na Powązkach.

Komunikat radiowy: Paryż wolny. Popukali dwa dni i Amerykanie przyszli.

Po śniadaniu senność wróciła, ale sztukasy krążą, wolno i nisko. Łatwo przespać życie. Gdy warkot się zmienia, z lekka przyśpiesza, to znaczy, że sztukas zaczyna nurkować. Gdy już wyje, jest zwykle za późno na ucieczkę. Sztuka w tym, by poznać zawczasu, czy w ciebie mierzy, czy w sąsiada, aby niepotrzebnie nie wyskakiwać na ulicę. Bomby wybuchają z opóźnieniem, uciekniesz śmierci, jeśli nie

stracisz głowy. Byłoby lepiej jeszcze, gdyby można było wzrokiem prowadzić samolot do momentu, gdy upuszcza bombę; schodzi jednak tak nisko, że dachy go zasłaniają i tylko ci przemknie nad głową w ostatniej chwili.

Uderzająca jest różnica stylu życia na Freta i w Pasażu. Tam byliśmy tak blisko Niemców, że mogli bić w nas tylko z broni płaskotorowej, na ciężką artylerię nie zwracało się uwagi. Tu, nim „szafa" zdąży skrzypnąć sześć razy, trzeba stawać pod ścianą, nie zawsze wiadomo pod którą. Nastrój jest znakomity, każdy się wyspał i jest zadowolony z losu rezerwisty. Do tego Rosjanie w końcu uderzyli, a Amerykanie już są za Paryżem, wjadą do Niemiec za trzy dni.

Jeśli Niemcy w czterdziestym roku przemierzali sto kilometrów dziennie, to dlaczego i Amerykanie nie mogą. Zgadzają się i byli ponuracy, i optymiści, że kapitulacja Niemiec wisi na włosku. Odczekamy parę dni na tyłach, nikomu nie pali się z powrotem na linię. Po dwóch tygodniach walki bez przerwy, dniem i nocą, dowództwo widocznie uznało, że człowiek więcej nie wytrzyma i wycofało nas do rezerwy, zanim zrobilibyśmy to na własną rękę. Nie mam nic przeciw obsadzeniu spokojnego odcinka, gdy wypocznę... Zamelinować się w ruinie, widok na ziemię niczyją, karabin z lornetką albo lepiej pisolet maszynowy, popijać sobie przesłodzoną kawę, gorącą, taką, która szczypie w język i lekko drapie w gardło, przegryzać razowym chlebem z masłem, gawędzić z kolegą i przez dziurę spoglądać na przedpole - słowem: żyć nie umierać. Takie i podobne myśli zaprzątają mi głowę.

Kanał nadal nie schodzi nam z ust; niektórzy uważają, że czekamy do nocy, a potem na Żoliborz. Co za różnica, iść dniem czy nocą. Dniem nawet lepiej, kanonada zagłusza pluskanie. Jak zwykle trzeba odgadywać, dlaczego wciąż czekamy. Może spiętrzyli wodę? Wszystko to jednak blednie wobec faktu, że Rosjanie uderzyli na Pragę.

Po południu wymarsz. Niezbyt dobrze orientuję się w tej części miasta. Znam tylko ulicę Freta i wiem, jak dostać się na Kościelną, ale i Freta nie wygląda jak Freta. Wchodzimy do solidnej kamienicy, zapamiętuję adres Świętojerska 11 czy 11a po to, aby mieć po wojnie więcej konkretnych faktów z Powstania. Wszyscy sadowią się na klatce schodowej, ja bliżej wyjścia, by w razie nalotu od razy wyskoczyć na ulicę. Cywile biwakują na parterze, gdyż jacyś powstańcy zajęli piwnice. Świętojerska w porównaniu z Freta 13

znajduje się bliżej Żoliborza i może to oznaczać, że będziemy się w nocy przebijali górą na północ. Jest to zresztą jałowe gadanie, bo i tak nikt nie wie, gdzie jest właz, może właśnie na Świętojerskiej. Dłuży się czekanie, bo nic nie wiadomo, wszyscy się niecierpliwią. Raz słyszę, że kanał zawalony, woda spiętrzona, zapory w kanale rozebrać nie można, bo Niemcy wrzucają do środka granaty; to znowu, że droga wolna. Ciężka artyleria bije, samoloty krążą.

Nagle... okropne wrzaski i zamęt na podwórzu. Wychyliłem się z klatki schodowej do bramy. Mężczyzna niemłody, mały, siwawy, o rzadkich włosach krzyczy i wyzywa. Ludzie usiłują go uspokoić. Powiadają, że dopiero co zabiło mu córkę dwudziestoletnią. Dwa pociski uderzyły w parter z drugiej strony. Nie od razu rozumiem, o co chodzi. Ludzi sporo ginie, czasem ktoś pokrzyczy, ale takich scen nie widziałem. Okazuje się, że oficer ze swymi kumplami zajął piwnice, a cywilów wygonił na górę. Ludzie potwierdzają, oficer i jego kompani siedzą w piwnicy, żrą i piją. Mężczyzna krzyczy i wyzywa dobre parę minut, aż porucznik wyłazi, chwieje się zalany i do cywila z mordą. A cywil do niego:

- Ty łobuzie, łobuzie, łobuzie! - krzyczy w kółko, głos mu się łamie.

- Moja córka nie żyje, moja córka nie żyje - powtarza, jakby mu nie wierzyli i znowu:

- Ty łobuzie, łobuzie...

Wygląda na takiego, co tracąc jedno dziecko, traci wszystkie. Porucznik mówi do nas podniesionym głosem:

- Aresztować go - i władczym gestem ręki wskazuje małego człowieczka.

Zapiera mi oddech, czuję, że muszę zabić, bo inaczej zwariuję. Takie gnidy przeżyją, obwieszą się krzyżami i w każdą rocznicę powstania przy capstrzyku będą składać wieńce na naszych grobach. Niezdecydowanie wprowadzam nabój do lufy, porucznik posłyszał szczęk, obejrzał się i w nogi do piwnicy. Cofnąłem się na klatkę schodową, a ten wciąż woła i woła, że córka nie żyje. Artyleria huczy. Zapada zmrok.

Uważam, że powinniśmy na własną rękę iść do kanału. W zasadzie każdy jest podobnego zdania, ale nikt nie wie, jak się do tego zabrać. Po pierwsze, trzeba odnaleźć właściwy właz, jeden jest podobno na placu Krasińskich, drugi na Daniłowiczowskiej, inny na Miodowej; po wtóre, skąd wziąć przewodnika. Okazuje się, że całe to gadanie o kanałach w Pasażu zdało się psu na buty. Teraz, gdy nadarza się okazja, to mądrych nie ma. Gdyby Edek był z nami, na

pewno by coś wykombinował. W ostateczności my dwaj moglibyśmy urwać się na własną rękę. Kobuza gdzieś wzywają. Lis od rana zawieruszył się. Kobuz, który do niedawna przychylał się do wymarszu kanałem, wróciwszy oznajmia, że zostajemy na Starym Mieście. Coś mi wygląda, że więcej wie niż mówi.

Już noc, a my wciąż na klatce schodowej. Zosia Kos i Wanda Żydówka wyszły, przyszły, znowu wyszły. Kobuz powiada, że wracamy do Pasażu. Bardziej mnie to zdumiewa niż oburza, gdyż jestem pewien, że tam są już Niemcy. Oszołomieni całodziennym bezhołowiem idziemy bez szemrania. Pod ścianami, po gruzie, omijając leje, blachy, aż drogę zagradza masywna barykada pod trupią czaszką. Teraz w prawo, w bramę mikrowieżowca, wypalonymi ruinkami, skok przez patio, między szczytowymi ścianami i wychodzimy na tyły naszej dawnej pozycji. Należy stąpać jak najciszej i z konieczności wolno. Idziemy pod lufami granatników. Tu zawsze nerwy napinają się, zwłaszcza gdy cała grupa przekrada się - wystarczy, by jeden się potknął lub wlazł na blachę. Poderwać się sprintem jeszcze bardziej ryzykowne. Jak szybko by się biegło, nie zdąży się dopaść ściany Pasażu, usłyszą i wygarną z granatników. Jeśli nikt nie narobi hałasu nocą, małe jest prawdopodobieństwo, by przypadkowy pocisk zleciał na głowę. Rakieta wylatuje gdzieś od Bielańskiej i z dalekim skośnym blaskiem wydobywa z mroku prostokąty okien, szczerby w murach i bloki betonu wiszące na stalowych prętach. Krótka wspinaczka po gruzie magazynu papieru, skok przez wielkie okno i jesteśmy z powrotem na Sali Obrabiarek.

W czasie naszej nieobecności nic się nie zawaliło, ale nie wszystko jest po dawnemu. Lis odszedł do „szpitala" w kościele św. Jacka leczyć udo przestrzelone przed trzema tygodniami.

Ppor. Marian, nowy dowódca kompanii, zaczął od odprawy. Krótkie przemówienie sprowadzało się do paru zasadniczych punktów. Obrona Starego Miasta trzyma się twardo: Bank Polski, Ratusz, Katedra, Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych, Szpital Jana Bożego - wszystkie bastiony Starówki dzień po dniu odpierają szturmy; opuszczenie Pasażu na nic się nie przyda, Niemcy pójdą za nami, a tu przynajmniej mamy sześć pięter żelbetonu nad głową; bomba do parteru nie przebije; drugiego takiego budynku na Starym Mieście nie znajdziemy; zresztą i tak nie ma już gdzie się cofać. Potem odczytał rozkaz dzienny. Na końcu odznaczenia. Rysiek Jabłoński dostał Krzyż Walecznych. Szczęściem było ciemno, inaczej poznaliby, jak mnie to okropnie

ukłuło. Ryśka podali do odznaczenia parę dni po mnie. Do tej chwili łudziłem się, że Krzyż Walecznych dla mnie gdzieś zawieruszył się po drodze i dojdzie z opóźnieniem. Wstydziłem się poprosić Kobuza, aby przypomniał Lisowi, teraz było już za późno. Choć ta rana na mojej dumie nigdy się nie zagoiła, chęć zdobycia odznaczenia, zdaje się, już więcej nie miała wpływu na moje postępowanie. Czas było obudzić się ze snu o Krzyżu. Na zakończenie padły pytania z sali na temat Rosjan na Pradze, położenia Starego Miasta i innych dzielnic Warszawy.

Reszta batalionu patrzyła na nas, jak byśmy wrócili z miesięcznego urlopu nad Bałtykiem. Od razu z powrotem do pracy, dwanaście godzin szychta. Po odprawie postawili mnie, jak zwykle, pod oficyną.

* * *

Tej samej nocy, 26 sierpnia, gen. dyw. Tadeusz Bór Komorowski ze swymi pocztem opuszczał Stare Miasto. A oto jego własne słowa:

„W pobliżu naszej dotychczasowej kwatery palił się Kościół Garnizonowy. Nad gettem pękały z sykiem nieprzyjacielskie rakiety. Było zupełnie jasno. Mimo to chwilami trudno było się zorientować, którędy idziemy. Środkiem dawnych ulic z popękanych rur płynęła woda. Przeglądało się w niej zaczerwienione od pożarów niebo i ruiny domów. Właz do kanału na placu Krasińskich, odległy o dwieście metrów od stanowisk nieprzyjaciela, był pod stałym ogniem granatników i ciężkiego karabinu maszynowego Niemców. Można się tam było dostać tylko pojedynczo. Zatrzymaliśmy się pod ścianą narożnego domu. Co minuta od czoła kolumny oddzielała się ciemna sylwetka, przebiegała odsłoniętą przestrzeń i znikała między workami z piaskiem osłaniającymi właz do kanału. Teraz kolej na mnie. Ostatni uścisk dłoni Wachnowskiego:

- Szczęść Boże! Pochylony przebiegłem kilkanaście kroków oddzielających mnie od włazu i przykląkłem za wałem. Na stanowiskach niemieckich naprzeciw - cisza. Nie domyślali się tam niczego".

* * *

Opierając się na moich doświadczeniach, myślę, że Bora poniosła poetycka fantazja.

Parę godzin wcześniej przeszliśmy obok włazu całą kompanią, nie było ani granatników, ani karabinu maszynowego, ani nawet wału. Oczywiście, granatniki spadały wszędzie na Starym Mieście, można więc było na upartego twierdzić, że każdy punkt tej dzielnicy

znajdował się pod stałym ogniem granatników, które w rzeczywistości najgęściej sypały się na zaplecze pierwszej linii obrony. Wszystko zależy od definicji terminu „stały". Raz na minutę? Co kwadrans? Po 26 sierpnia mijałem właz kilka razy, odwiedzając Edka zwykle za widna, i nigdy nie wpadłem pod ogień karabinu maszynowego. Niemcy bowiem znajdowali się po drugiej stronie pałacu Krasińskich oraz sądu - tego, pod którym tramwaje przejeżdżały na Dworzec Gdański - i do pierwszego września wglądu na plac Krasińskich nie uzyskali. Barykadę z worków zbudowano dopiero 1 września; 31 sierpnia po południu ustawiono tam tylko niską przesłonę z plecaków.

* * *

Wierny obsadzał stanowiska, jak zwykle, od Pustej Sali, Wyjazdem do domu pod numerem 44/46 i kawałek parzystej strony Długiej. Znało się każdy metr terenu, stojąc zawsze na tym samym stanowisku.

Na przykład: przy wschodniej ścianie Pasażu, na wąskim paśmie o długości pięćdziesięciu kroków nie spadł żaden granatnik i można tam było bezpiecznie iść za potrzebą. Nikt też nie mógł tu podglądać, ponieważ po wypalonych parterowych składach, przylegających do czteropiętrowej ściany, pozostały niskie, prostopadłe murki, wyglądające z góry jak grzebień, w którym zachował się co trzeci ząb. Sądząc po kierunku ostrzału, granatniki były ulokowane tylko na zachód od Pasażu, za Arsenałem. Najmniej bezpieczny był odcinek pomiędzy Pustą Salą a ulicą Długą. Narożny trzypiętrowy dom 44/46 trzymał się nieźle pomimo dwóch bomb i wielu pocisków, za to rudery pośrodku, wypalone i poharatane przez artylerię, świeciły dziurami. Największa z nich sięgała od samej ziemi może do kolan lub biodra i długa była na kilka kroków. Należało biec równolegle do dziury, w wąskim pasie odległym od linii ruin mniej więcej osiem do dziesięciu metrów. W bliższej odległości można było dostać kulą w nogi - w dalszej, w głowę. Codziennie czołg lub działo szturmowe opukiwało ten odcinek Podjazdu krusząc mury.

O istnieniu bezpiecznego pasa dowiedzieliśmy się empirycznie, obserwując, kiedy Niemcy strzelali, a kiedy nie strzelali do przebiegających pomiędzy oficyną a domem 44/46. Rano dwudziestego czwartego, kiedy to mnie zasypało, można było jeszcze zwykłym krokiem przejść od wypalonej oficyny do domu 44/46, a trochę później, bodajże następnego dnia, już tam komuś przestrzelili płuca z peemu.

Rozległe podwórze ciągnęło się od Długiej poza linią ruder i tyłami Pasażu Simonsa aż do ogrodu Krasińskich. Wąska, podłużna, jednopiętrowa oficyna rozdzielała je pośrodku, jak grobla łącząca pasmo płaskich ruin na samej linii frontu z gęstwiną wypalonych i poszczerbionych murów na tyłach. Po obu stronach „grobli" harcowały granatniki.

Przejście pod oficyną, o wymiarach sześciu kroków na pięć, w zasadzie miało obsadzać czterech żołnierzy. W miarę jak kompania kurczyła się - trzech, dwóch. Zwykle byłem tam ja i Lech, czasem Sław, Jasio, Muszka, niekiedy stał i Mały - ten, który był duszą obrony skrzyżowania Wroniej z Chłodną. Mały wciąż jeszcze trochę podchodził do walki jak do gry w oczko. Rzadko kiedy przydzielano nas razem na to samo stanowisko, widać dowódcę kompanii nie stać było na ten luksus, ubywało doświadczonych ludzi.

Zaledwie dziesięć kroków dzieli przejście pod oficyną od pasma ruinek, gdzie zaczyna się ziemia niczyja. Są one zbyt niskie, aby służyć nam za skuteczną osłonę przed pociskami, ale wystarczająco wysokie, by ukryć przed naszym wzrokiem Niemców wybiegających z Pustego Domu. Chcąc ich w porę zobaczyć, należałoby usadowić się na gruzie, na wprost wypalonych okien Pustego Domu, gdzie za dnia widać niemal jak na dłoni. Nawet nocą lękam się wychylić, choć wiem, że nie mogą zauważyć mnie w ciemności - jest to jakby ślepej śmierci spojrzeć w oczy. Z Pustego Domu po nocy Niemcy rzadko kiedy strzelają, zbyt to blisko, by ryzykowali zdradzić swe stanowisko. Za to z wysokich kamienic na rogu Bielańskiej często prują długą serię po gruzie -„świetliki" migają nad podwórzami.

Schowasz się z tyłu, Niemcy zaskoczą cię, bo ich nie widzisz; staniesz z przodu, oberwiesz, bo cię widzą. Biednemu bez amunicji zawsze wiatr w oczy wieje. Nocą rozmawiać nawet półgłosem nie wolno, dreptać w miejscu też niedobrze, bo chrupie pod butem. Po kilku godzinach stania nogi z trudem podtrzymują ciało. Szyja słabnie i ugina się pod ciężarem hełmu i głowy. Co oprę się o mur, powieki same opadają i zaczynam majaczyć. Z rzadka huknie pojedynczy granatnik - nie dość, by wybić człowieka ze snu. Wlecze się ta noc i wlecze. Wyczekuję wschodu słońca jak zbawienia, zapominając co dzień przynosi.

Gdy świta, jestem już tak zmęczony, jakbym wcale nie miał całodniowego urlopu. O tak wczesnej porze normalny mieszczanin jeszcze się nie goli ani nie myje zębów, a my już jak rolnicy rozglądamy się po horyzoncie, odgadując co dzień przyniesie. Może

Bozia sprawi, że się zachmurzy, a żeby tak jeszcze deszcz lunął! Tam, gdzie niebo zbiega się z ruinami, ciemny opar wisi jak zapowiedź burzy, ale gdy słońce zaleje promieniami okolicę, wyjaśnia się, że to dym, jak zwykle. Z narażeniem życia Zosia z blizną na szyi i Sylwia roznoszą kawę prosto z kotła w Sali Obrabiarek. Jedzenie odbywa znacznie dłuższą drogę. Wędruje ze szkoły przekopem do podziemi Pasażu, drabiną na parter, przez wielkie okno, w dół po gruzie na skraj podwórza za Pasażem, gdzie zaczyna się Harcowisko Granatników. Tu pobożni robią niewidoczny znak krzyża, pozostali tylko głęboko, na zapas, nabierają powietrza kilka razy, bo oddychanie zwalnia bieg. Potem trzeba odbić się ostro i skoczyć te 30 kroków do przejścia pod oficyną, gdzie jest punkt wypoczynkowy. Oczywiście nie z pełnym dzbanem. Stąd ciągłe opóźnienia. Do tego doszło, że człowiek nie wie, co je. Jeśli na przykład przyniosą zupę o drugiej po północy, to nie wiadomo, czy to kolacja czy śniadanie.

Wszystko robi się tu z narażeniem życia. Naturalnie, walczy się z narażeniem życia, także ucieka z narażeniem życia. Stoi pod otwartym niebem z narażeniem życia i kryje w piwnicy z narażeniem życia. Wychodzi na klatkę schodową za potrzebą z narażeniem życia. Żyje się z narażeniem życia.

Nim rozlaliśmy kawę do kubków, obserwator zamelinowany w gruzie zaanonsował przybycie „tygrysa". Odstawiliśmy dzban pod ścianę i odbezpieczyliśmy karabiny. Ktoś nie obeznany z arkanami współczesnej sztuki wojennej zdziwi się może, że stoimy z zabezpieczoną bronią o pół rzutu kamieniem od nieprzyjaciela. Powodów jest parę, najważniejszy, że przy zmęczeniu łatwo o wypadek, a w razie potrzeby można przerzucić bezpiecznik w ułamku sekundy, składając się do strzału. Stojąc na stanowisku, zwłaszcza w pierwszych tygodniach Powstania, pstrykałem sobie bezpiecznikiem w tę i z powrotem dla wprawy. Gdy należy, robię to teraz automatycznie, podobnie jak kierowca, który nie musi nogi ciągle trzymać na hamulcu. Oczywiście, odbezpiecza się w razie najmniejszego podejrzenia, gdy kaem obok zaterkocze, gdy sypną się granatniki.

Służba obserwatora na wprost Pustego Domu daje tak nikłe nadzieje oglądania własnych wnuków, że podporucznik Marian już nie rozkazuje - ty, ty i ty - ale raczej wyraża się w tonie zachęcającym - no, który to tam idzie na górę itp. Raz nakłaniał kogoś bardziej energicznie, a ten mu na to:

- A pośmiertne odznaczenie będzie?

Od tego czasu Marian polega na ochotnikach. Zwykle są to ci, którzy dotychczas bądź z braku broni, bądź z powodu słabych nerwów zmuszeni byli wykonywać niebojowe zadania, a teraz chcą się wkupić w ten sposób do grona wiarusów.

Dzień pracy rozpoczął się bez śniadania. Obserwator, poinformowawszy o położeniu „tygrysa", zamilkł.

W tym momencie tylko Lech i ja obsadzaliśmy oficynę. Zerwał się pył i sypnęło okruchami cegieł. Po każdym strzale następowała dłuższa przerwa, aż kurz opadł i uwidaczniał postęp pracy. Po kilku strzałach pocisk eksplodował bliżej i język ognia ukazał się spoza załomu muru. Wionęło kurzem i pociemniało. Uciekać?... Pocisk mógł wpaść pod ostrym kątem do przejścia. Same wybuchy napinały nerwy, a co dopiero odgadywanie, po którym strzale Niemcy wyskoczą z Pustego Domu. Teraz płomień pryskał zza węgła raz po raz. Zdecydowaliśmy zostać. Palec na cynglu, kolba pod pachą, lufa skierowana w miejsce, skąd, o krok od mego brzucha, wystrzeliwał ogień. Jak bardzo w takich sytuacjach chciałem mieć choćby rewolwer.

Ustawiliśmy się tak, że gdyby nawet pocisk wpadł w przejście, uderzyłby w mur parę kroków poza nami. Wiadomo, że odłamki pryskają głównie na boki, a mniej do tyłu.

Czekamy na następny wybuch, czekamy... Wołają, że czołg odjechał. W podobnych sytuacjach zawsze mi się wydawało, że byłem zdany na siebie samego, jakby cały batalion przestał istnieć, i oczekiwałem, że Niemcy hurmem rzucą się do ataku. Nie przyszłoby mi do głowy, że liczbowo tylko nieznacznie nas przewyższali, a ich straty prawie równały się naszym.

Zaglądamy do dzbana, ale kawy nie widać pod parocentymetrowym kożuchem kurzu. Klniemy więc ordynarnie, że nam kawę zmarnowali, udając jeden przed drugim, jak to nas taki drobiazg obchodzi. Pod oficyną znajduje się węzłowy punkt drogowy, więc oczywiście pokazujemy zawartość dzbana każdemu, ktokolwiek się nawinie. Szkoda, że nie można go zachować na po wojnie.

Gdy usłyszałem od Kobuza, że podał mnie do odznaczenia, pożądanie Krzyża Walecznych nabrało u mnie wymiarów wręcz samobójczych i omal nie skończyłem pośmiertnie udekorowany albo nie udekorowany. Dopiero spotkanie z „goliatem" przywróciło mi zdrowy rozsądek. Podobnie działo się z innymi. Nikt się już nie wstydzi opuścić pośpiesznie stanowiska, na które wykręca się lufa

armaty. Zawiadamia się wtedy sąsiadów, jeśli czas pozwoli, i kryje się w innym, zwykle z góry upatrzonym zakamarku.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni podmuch wojny wyrwał z naszego ogona wszystkie pawie pióra. Trudno samego siebie poznać. Panterki straciły piękne kolory brzozowego zagajnika późną wiosną, a moja, o wzorze złotej polskiej jesieni, przypomina zeszłoroczne liście. Twarze ściemniały, sczerniały, policzki zapadły się. Barwne chusty poszły do plecaków. O dobrą wodę trudno, jest tylko stęchła w olbrzymich kadziach w podziemiu. Co niektóre czyściochy wciąż jeszcze obmywają się, choć bez rozbierania. Ja, gdy mnie zakurzy, zwyczajnie otrzepuję głowę, ręce i przecieram twarz, zamiast schodzić drabiną do podziemi kilka razy dziennie. Ilekroć muszę, czynię to niechętnie w obawie, że w razie czego nie zdążę na czas wybiec na powierzchnię. Dawno skończyło się paradowanie i śpiewy chórem, tylko gadulstwo, zwłaszcza na Sali Obrabiarek, jest nadal w rozkwicie. Jego nasilenie jest odwrotnie proporcjonalne do natężenia grzechotu karabinów maszynowych.

Z powodu kłucia w uchu połykanie śliny, co normalnie robi się nieświadomie i nieustannie, wymagało ode mnie zachowania ostrożności, co najmniej jak picie gorącej kawy prosto z kotła. Musiałem natężać uwagę i siłę woli, aby opanować ten naturalny refleks. Po paru dniach ustało odruchowe połykanie śliny, która zbierała się na dnie jamy ustnej i ściekała po brodzie, jeśli jej w czas nie wyplułem lub połknąłem przy zastosowaniu odpowiedniej techniki: wkładając palec do lewego ucha i przeginając głowę pod właściwym kątem.

W przejściu pod oficyną schodziły się i rozchodziły szlaki w różnych kierunkach: z Pasażu na Długą 44/46, przez mikrowieżowiec na plac Krasińskich i do Banku Polskiego oraz okrężny do szkoły przez Barokową. Jeśli zbudziło się granatniki, tu można było przeczekać burzę, pokrzepić się na duchu rozmową przed dalszą drogą i zobaczyć, jak ludzie się zachowują przed wyruszeniem w niepewne.

O jedenastej rano i wieczorem tłoczno robiło się pod oficyną, gdy dwie zmiany spotykały się. Schodzący ze służby udzielali rad nowo przybyłym, aby im pomóc przeżyć następne dwanaście godzin. Na linii rzadko kiedy widzieliśmy się, nawet gdy stanowiska znajdowały się obok siebie, bo każdy chował się przed odłamkami.

Na Salę Obrabiarek wracało się jak do domu rodzinnego. Sam widok kilkudziesięciu materacy odprężał. Sala przedstawiała

mieszany obraz sypialni, jadalni, czytelni, fabryki i frontu. Powstańcy spali, czytali, rozmawiali, spierali się, pożywiali, kręcili pomiędzy maszynami z bronią w ręku. W kącie kocioł bulgotał i dymił nieustannie. Kucharz Ukrainiec lub jego pomocnik doglądali go wciąż, dorzucali paliwa, mieszali. Któryś tam próbował grać na organkach. Przez szerokie drzwi, a raczej otwór, gdzie się one poprzednio znajdowały, wychodziło się na Pustą Salę. Tam już stały tylko posterunki bojowe.

Przyjemnie było, zdjąwszy hełm, osunąć się na materac i pół leżąc, pół siedząc, z kubkiem kawy w jednej ręce, pajdą chleba w drugiej, żuć małe kęsy na papkę, popijać drobnymi łykami i paznokciem bez pośpiechu usuwać z języka okruchy tynku. Na stanowisku strzeleckim człowiek zazwyczaj pożywiał się, jeśli nie stojąc, to w niewygodnej pozycji, nie wypuszczając karabinu z rąk i nie spuszczając oczu z przedpola. Przy jedzeniu nie można było pomagać sobie palcem, więc należało żuć w taki sposób, aby co pożywne zeszło w dół, a paprochy zgromadziły się na czubku języka, skąd łatwo dało się je zdmuchnąć.

Pomimo obiektywnych trudności, życie towarzyskie rozkwitało pośród obrabiarek, tokarek i wiertarek. Po kilkunastu godzinach izolacji na Harcowisku Granatników łaknęło się ludzkiego ciepła. Bez względu na zmęczenie nie można było zasnąć bez porozmawiania sobie, choćby krótko, o kanałach. Teraz dopiero dowiedziałem się, że tuż obok na podwórzu Arsenału jest właz, skąd podobno niskim kanałem, na czworakach, można się przedostać do wyższego.

Wywiązała się ożywiona dyskusja na temat odbicia Arsenału, gdyby innego wyjścia już nie było. Większość uważała to za niemożliwe do wykonania, nawet nocą, z powodu ognia zaporowego, zwłaszcza z Długiej i z getta. Na linii naszego ewentualnego natarcia znajdowało się tylko jedno wąskie wejście do środka pod arkadami.

Trzeba było nie oddawać Arsenału. Gdyby tylko wszyscy tak się trzymali, jak my na Nalewkach... dwa czołgi trafione, tankietka spalona, półtora tuzina postrzelonych Niemców itd... Wypowiadamy wiele krytycznych uwag na temat kompanii Konara i Klima, a najwięcej pod adresem oddziału, który opuścił samowolnie nieparzystą stronę Długiej, odsłaniając nasze tyły. Podobno naprzeciw nas walczy szkoła oficerska SS z Poznania, co jeszcze powiększa trudności odbicia Arsenału.

Od dnia, gdy po upadku Arsenału Lis zorganizował obronę odcinka kompanii, nie zaszły żadne istotne zmiany poza tym, że po

przebiciu się Niemców do Hotelu Polskiego musieliśmy obsadzić dodatkowo parzystą stronę Długiej. Kilka pojedynczych stanowisk znajdowało się w jednopiętrowych ruderach pomiędzy oficyną i Pasażem, gdzie trudno było się ukryć. Na wprost, w Pustym Domu, siedzieli dobrze zamaskowani Niemcy, a do tego z ukosa, z wysokich kamienic przy Długiej, pruły po ruderach karabiny maszynowe.

Dzień czy dwa po upadku Arsenału Pietrek, opuszczając z własnej inicjatywy stanowisko w ruderze z powodu czołgu, potknął się i stoczył schodami. Podśmiewali się z niego prawie do samego końca. Coraz to ktoś w tym miejscu dostał w czapę. Lękałem się, że mnie tam postawią. Przydział pod oficynę nie był najgorszy, najlepszy był jednak przy zdechłym koniu.

Kompania Lisa, składająca się z luźno powiązanych członów, zaczęła się zrastać od czasu, gdy zakwaterowaliśmy razem w Sali Obrabiarek. Oddział Wiernego, liczebnie znacznie mniejszy od reszty, walcząc od pierwszego dnia dozbroił się i wyszkolił. Większość powstańców pierwotnej kompanii Lisa nie posiadała broni, byli to ci, z którymi najpierw się zaprzyjaźniłem. W zderzeniu z niemieckim klinem na Woli, utraciwszy wielu oficerów, kompania została rozcięta i większa jej część odrzucona na Stare Miasto.

Moja zagmatwana kariera powstańcza sprawiła, że byłem prawie ze wszystkimi, poza oficerami, od dawna na ty i za pan brat. Zresztą forma ta szerzyła się szybko wśród walczących, bez względu na osobiste powiązania. Z częścią kompanii, która walczyła już na Woli, nigdy się dobrze nie poznałem, wykruszyli się, nim przyszło bronić Pasażu Simonsa. Paru, co utrzymali się dłużej, zapamiętałem z tamtych czasów. Oczywiście Małego - wynalazcę „wunderwaffe" (z krzykiem na czołgi) - wartownika z bramy browaru, któremu na Harcowisku odłamek tak wgiął blachę hełmu, że nie mogli go zdjąć, i Groźnego, którego meteoryczna kariera dobiegła końca. Choć lekko tylko poszczypany odłamkami, zmarniał, zapadł się w sobie, jakby powietrze z niego uszło, z braku wódki czy może przez wódkę. W kompanii była grupa siedemnastolatków, znanych mi z epoki browaru, którzy spełniając podrzędne funkcje towarzyszyli oddziałom bojowym. Początkowo nawet nie usiłowali ukrywać strachu, ale stopniowo coraz niechętniej uciekali i coraz żwawiej wracali na stanowiska. Kilku przydzielono do Wiernego jako łączników: Muszkę, Lecha, Sława... Początkowo dostawali granat i broń do potrzymania. W ciągu paru dni po upadku Arsenału przejęli broń po tych, co ubyli i ku memu zdziwieniu (bo pamiętałem, jak jeszcze niedawno się

trzęśli), na moich oczach dorosło nowe pokolenie żołnierzy. Trzecie, zakładając, że ja należałem do drugiego.

Okazuję odrobinę dumy i zarozumialstwa wobec starszych kolegów, którzy kiedyś byli dla mnie wzorem; i bez nich dajemy sobie radę. Bajkop opowiada o życiu i pracy w redakcji „Żołnierza Starego Miasta". Szef wyszedł na ulicę w bezpiecznym miejscu i zginął od kuli snajpera. Ktoś inny wyskoczył na chwilę i przepadł. Korespondentów terenowych ubywa, papier się kończy. Samego Bajkopa przysypało.

Zamiast formalnie zameldować się z prośbą o przepustkę na miasto, zwyczajnie powiadomiłem Kobuza, że idę z wizytą do szpitala. W godzinach wolnych od pracy, pomiędzy szychtami, można było robić ze swoim czasem, co się chciało. Nie było zakazu opuszczania Pasażu, ale przyjęło się, że przed wyjściem pytano się dowódcy o pozwolenie. Na tyłach nikt nie sprawdzał, po co i dokąd się szło.

Cichaczem przez Harcowisko Granatników, ruinami w prawo, szczeliną pomiędzy dwiema szczytowymi ścianami, skokiem przez patio, jeszcze kilkanaście kroków i już jestem bezpieczny w mikrowieżowcu. Od barykady pod trupią czaszką do placu Krasińskich ulica zarzucona gruzem i blachą. Między Barokową a Miodową w jezdni dwa olbrzymie leje, na dnie woda**.** Od szpitala pomiędzy Kościołem Garnizonowym a sądem zalatuje padliną. Dla własnego bezpieczeństwa sanitariusze już nie zakopują amputowanych rąk i nóg, nawet nie wynoszą ich na podwórze, po prostu wyrzucają z okien w gruzy.

W komórce u Edka bez zmian, nikogo nie ubyło. Znają mnie tu z poprzednich wizyt. Widząc jak rannych porusza moje przybycie, zdaję sobie sprawę, ile się o mnie martwili. Zamiast oni mnie - żołnierzowi frontowemu, ja im dodaję otuchy tym prostym faktem, że żyję. Opowiadam, jak uszedłem, ja i moi koledzy, przeznaczonym nam kulom. Roztaczam przed nimi obraz, jak się to żyje i nie żyje pomiędzy Pasażem a Arsenałem. Staram się wzbudzić w nich wiarę, że Niemcy Pasażowi nie dadzą rady, co mi się chyba udaje, bo i sam tego jestem pewien. Dawniej, gdy Edek był zdrowy, zwykliśmy dramatyzować wydarzenia. Teraz już tego nie potrzeba, naga prawda wystarcza. Nie mogę się jednak pozbyć starego nawyku i ilekroć wchodzę do piwnicznej komórki, wydaje mi się, jakbym wkraczał na scenę w sztuce, gdzie nie ma podziału na aktora i widownię. Pomimo iż chcę pocieszyć rannych, nie mogę oprzeć się pokusie, by im wpierw nie napiąć nerwów, ile się da.

Opowiadam o szarym duchu opiekuńczym Pasażu Simonsa - nieśmiertelnym i śmiercionośnym Władzie; o Szoferze, który znowu wrócił ze szpitala na linię (biały bandaż wokół głowy, a pod nim ukośnie czarna piracka opaska na pustym oczodole), i jak go powitano, gdy przez wielkie okno dziarsko zeskoczył do sali potrząsając prawicą i pozdrawiając załogę okrzykiem...

- Czołem chłopcy, trzymać się.

Przeplatam poważne sceny zabawnymi momentami. Jednego tematu unikam - kanałów. My, zdrowi, możemy się jakoś wymknąć, ale co spotka rannych, każdy wie...

Niemcy wejdą, podpalą domy. Wpierw dostaną w czapę ci, co nie mogą wstać; potem ci, co nie mogą ustać na nogach; następnie ci, co nie mogą iść o własnych siłach; a na końcu ci, co zwalniają w marszu. I to tylko pod warunkiem, że Niemcy będą w dobrym humorze - inaczej rozwalą wszystkich od razu.

Przeważała opinia, że już nie wszystkich zdrowych rozstrzeliwują. Dzieci nie, kobiet też zwykle nie, mężczyzn...? Ranni interesują się, gdzie walczy Wehrmacht, a gdzie policja i SS - temat, który nas mało obchodzi; nie poddajemy się, bo i tak w czapę. Cokolwiek powiem na pokrzepienie ducha, nic nie zmieni faktu, że dzieli nas szklana ściana. Ich jedyną nadzieją jest natychmiastowa kapitulacja Niemiec lub wejście Rosjan. Nie mogą liczyć na to, że ich rany wygoją się, zanim Niemcy wkroczą. My, zdrowi, możemy polegać na własnych nogach.

W Pasażu jesteśmy nieco odizolowani, za to tu można dowiedzieć się nowin z pierwszej ręki od rannych, których znoszą ze wszystkich odcinków Starówki. Wśród okropnych nie brak i pocieszających wiadomości, ale te ostatnie zmieniają się z godziny na godzinę, jeszcze bardziej podkopując ducha. Rannym, nie mającym żadnego wpływu na swój los, nic innego nie pozostaje, jak spoglądać na zegarki i kalkulować, ile jeszcze czasu pozostało do wieczora. Od rana artyleria uwzięła się na wieżę Kościoła Garnizonowego obok, więc dla zabicia czasu i uspokojenia nerwów liczą wybuchy.

Patrzę na leżącego w kącie komórki żołnierza niemieckiego, Austriaka. Niby to on taki sam jak my, a jednak inny. My, Polacy, żyjemy jakby pod wiecznym ciężarem grzechu pierworodnego i ciągle musimy pokutować, a jego każdy uważa za swojego. Każdy chciałby być Austriakiem w takich czasach. Nasi dla niego są grzeczni, nie tylko dlatego że Austriak i że może ocalić rannych, gdy jego koledzy przyjdą - Polakowi zależy na tym, aby obcy dobrze o

nim mówili.

W drodze powrotnej wstąpiłem na Długą 23. Anka milcząca, nawet nie spytałem o jej poharatane nogi, Kuba weselszy lub może tylko udaje wesołość.

Wróciwszy ze szpitala ułożyłem się do spania. „Tygrys" tymczasem wysunął się z Bielańskiej. Ledwo mnie zbudzili, dmuchnęło pyłem z Pustej Sali. Po paru strzałach - spokój. To nękanie przez czołgi, działa szturmowe i inne nieokreślone bronie powtarzało się wielokrotnie każdego dnia. Nie wiedząc, jakie są intencje przeciwnika, za każdym razem zajmowaliśmy pozycje strzeleckie za maszynami. Przy eksplozjach na zewnątrz wielkiego okna zaledwie jedna trzecia Sali Obrabiarek, u szczytu, znajdowała się poza zasięgiem odłamków. Obserwatorzy natychmiast powiadamiali o odjeździe czołgu i ktokolwiek miał chęć i mógł, wracał do spania. Jeśli chodzi o mnie, po kilku wybuchach senność zastępowało podniecenie, policzki piekły i nie od razu mogłem zasnąć.

Pod wieczór przyszła wieść, że kilkuset rannych zasypało w kościele św. Jacka. Wilit z Góralem popędzili na Freta i wrócili z wieścią, że Lis dostał odłamkiem w głowę. Barykadę jakoby przeniesiono z przepełnionego kościoła do piwnicy obok na parę godzin przed bombardowaniem, ale po ciemku nie mogli go odnaleźć. Wilitowi, którego nie podejrzewałem o taką wrażliwość, głos zadrżał, gdy opowiadał, jak komuś oko zwisało na policzku.

Do różnorakich funkcji Sali Obrabiarek doszła jeszcze jedna - szpital. Współżyliśmy ze wzrastającą liczbą lekko rannych. Barwnymi temblakami i bandażami o różnych odcieniach czystości dodawali raczej kolorytu niż grozy. Według regulaminu powinni byli iść na tyły, ale ktokolwiek mógł ustać na nogach o własnych siłach, bronił się przed zsyłką do szpitala. Powodów było wiele. Z pojęciem szpitala łączyła się ropa, gangrena, depresja, dyzenteria, samotność. Poza tym, jak nigdzie indziej na Starym Mieście, w Pasażu miało się sześć żelbetonowych stropów nad głową. Wprawdzie nieprzyjaciel znajdował się tylko o barani skok, ale ranni wierzyli, że ich zdrowi koledzy nie dadzą się wygryźć. W ostatnim tygodniu walk o Pasaż panowało powszechne przekonanie, że w kunszcie sztuki wojennej tak prześcignęliśmy naszych wrogów, że gdyby nie bombardowania, cała ich techniczna przewaga zdałaby się na nic. Ranni wysypiali się w podziemiu nocą, a dnie spędzali na Sali Obrabiarek, oddając się gadulstwu, pomagając przy kuchni, wykonując drobne usługi. Gdy

tylko oznajmiano przybycie czołgu lub gdy strzelanina nasilała się, cała ranna brać schodziła drabiną do podziemi.

O zmierzchu Ochotnik przyniósł ze szkoły na Barokowej wiadro zupy dla Wiernego. W środku mroczno już było i tak się zawinął, że nikt nie zauważył jego przybycia. Odwołał mnie na bok do Pustej Sali, gdzie odbezpieczywszy karabiny, z jego poduszczenia odleliśmy zupę do innego kubła i błyskawicznie spożyliśmy kluski przeznaczone dla całej drużyny. Ja nieco wolniej, gdyż przy połykaniu każdej z kilkunastu klusek musiałem nie tylko zatykać ucho palcem, ale w dodatku przeginać głowę i odpowiednio manewrować szczęką, by zmniejszyć ból. Ochotnik twierdził, że wyglądam mizernie, tracę na wadze, a gojenie się moich bębenków wymaga lepszego odżywiania. Nie chcąc podminować naszej przyjaźni u samego zarania, tylko połowicznie wyjawiłem swoje moralne skrupuły. Ochotnik upewnił mnie, że wcale kolegów nie oszukujemy, nawet wprost przeciwnie, wyjdzie im to tylko na dobre. Opeer dostanie kuchnia, co i tak jej się należy, a my otrzymamy jeszcze jedno wiadro zupy z odpowiednią ilością klusek. Przy rozdziale zupy wszyscy przeklinali kucharzy, a Ochotnik żywo w tym uczestniczył. Oparło się o ppor. Mariana i na jego osobistą interwencję dostaliśmy jeszcze jedno wiadro. To wydarzenie przepełniło kielich goryczy i odtąd zaczęliśmy prowiantować się sami. W kotle oprócz kawy zaczęto gotować także zupy. Każdego dnia oddziałek zaopatrzeniowy kompanii Lisa udawał się po przydziały i na szaber. Wracał z pełnymi rękami, choć czasem zdekompletowany. Naczelnym kucharzem kompanii został ten sam małomówny starszy powstaniec - Ukrainiec, do którego dotychczasowych obowiązków należała produkcja słodzonej kawy oraz przegotowanej wody dla celów leczniczych. O ile pamiętam, jego pseudonim zaczynał się na K i kończył na ski. Czasy indywidualnych posiłków należały już do przeszłości. Kiedyś każdy miał swój talerz. Najwidoczniej potłukły się, bo ostatnio, zasiadłszy kręgiem na podłodze, jadaliśmy z jednej miski. Brzydziłem się zrazu, ale mi to przeszło.

Z Ochotnikiem przypadliśmy sobie do gustu prawie od dnia, gdy dołączył z dwutygodniowym opóźnieniem do Wiernego. Zbliżyliśmy się jednak dopiero po upadku Arsenału, kiedy walka przybrała charakter wojny pozycyjnej. Wyróżniał się brakiem prawdziwej czy udawanej goryczy w ocenie Powstania, tak powszechnej u większości. Pomimo iż dopiero od niedawna brał udział w walkach, nie bał się więcej niż potrzeba do przedłużenia życia. Beztroskim

podejściem do wojny przewyższał nawet Małego. Być może Ochotnik jeszcze tkwił w harcerskim stadium rozwojowym, podczas gdy ja już osiągnąłem wiek dojrzały. Wkrótce dostał po kimś karabin, zdaje się po Barykadzie. Trochę starszy i wyższy, zajął się mną, jak młodszym, schorowanym, ale obiecującym bratem; tak mi się wydawało. Niestety, nie przydzielano nas razem, tak że nie mieliśmy okazji poznać się w najtrudniejszych momentach.

Wieczorne rozmowy męczyły mnie najbardziej. Widocznie przyglądanie się twarzom rozmawiających, nawet gdy się nie umie czytać z warg, pomaga rozumieć, a przynajmniej odpręża. Najgorzej, gdy po ciemku parę osób mówiło naraz. Jakbym się przysłuchiwał kilku rozstrojonym aparatom radiowym. Niemcom w Pustym Domu pewnie łatwiej było słowa odróżnić niż mnie.

Jak zwykle o zmroku wśród maszyn odbywała się odprawa całej kompanii, to znaczy tych, którzy nie byli na służbie. Sporo rannych z podziemia przychodziło z ciekawości czy nawyku. Ppor. Marian zasiadał na krześle obok kotła, w najbezpieczniejszym kącie sali, reszta sadowiła się na pobliskich materacach. Najpierw odczytywał rozkaz dzienny dowództwa Starego Miasta. Zawierał on meldunki o przebiegu walk, informacje o nowych broniach i taktyce nieprzyjaciela, dalej awanse i odznaczenia. Marian udzielał rad, jak zmniejszyć straty własne, robił uwagi na temat obsady stanowisk kompanii, położenia Starego Miasta, oszczędzania amunicji. Upominał, aby nie zasypiali na służbie, podawał przykłady, co się stało, gdy ktoś się zdrzemnął. Ostrzegał przed gadaniem nocą na stanowiskach. Wiadomości ze świata, tego odległego i tego za Wisłą, i z innych dzielnic Warszawy. Hasło i odzew na następną dobę. Na samym końcu pytania i uwagi z sali.

Każda odprawa zaczynała się od podania stanu kompanii. Cyfry mówiły same za siebie. Uczucie, jakbyś bez kompasu leciał samolotem nad morzem, ani śladu lądu, a strzałka zbiornika z benzyną opada coraz niżej i niżej.

Oczekiwałem, że jak zwykle zajmę stanowisko o jedenastej wieczorem w przejściu pod oficyną, z Lechem i może kimś jeszcze, ale ściągnęli mnie z materaca, nim się jeszcze zupełnie ściemniło. Za towarzysza dostałem Muszkę z granatem. Śladem Kobuza cichaczem przemknęliśmy się pod oficynę i po krótkim postoju dalej galopem na wprost dziury do kamienicy pod numerem 44/46.

Nowe stanowisko znajdowało się na samym końcu Harcowiska, o kilkanaście kroków od miejsca, gdzie nas zasypało przed dwoma

dniami. Było to parterowe mieszkanie służące za skład kafli, a raczej kafelków: w amfiladzie kuchnia, korytarz i pokój z oknem na Długą. W samych drzwiach pomiędzy pokojem a korytarzem mój poprzednik zbudował metrową barykadę z kafli, nieco na ukos, tak że można się przecisnąć na drugą stronę. Drzwi wychodzące na Harcowisko znajdowały się dwa kroki w tyle od mego stanowiska bojowego, które mieściło się na krześle poza barykadą. Okno w kuchni otwierało się także na Harcowisko. Zaraz obok wznosiło się ogromne zwalisko gruzu i desek. Uszło mej uwagi, że już nie zastałem poprzednika, którego miałem zastąpić. *Ordre de bataille* był następujący: po drugiej stronie Długiej - Niemcy, do pokoju za barykadą nie wchodzić, cokolwiek ukaże się na linii wzroku - wróg. Oczywiście określenie „ordre de bataille" wydaje się niewłaściwie użyte, ale gdy zostawią cię samego z łącznikiem na kilkanaście godzin, to będąc odcięty od świata, toczysz swoją własną bitwę nie tylko o skład kafli, ale o cały narożnik. W domu 44/46 poza nami dwoma i cywilami w piwnicy nikogo nie było.

Póki starczyło światła dziennego, wpatrywaliśmy się przez okno w zakratowane drzwi do sklepu po drugiej stronie ulicy. Za widna jeszcze raz rozejrzałem się po nowej kwaterze założonej białymi, kolorowymi i wzorzystymi kafelkami. Barykadka w progu za niska, ale podbudować się nie da, bo runie pod własnym ciężarem. Jak zwykle, poprawiłem to i owo. Wyrwanymi drzwiami zastawiłem częściowo wyjście na Harcowisko - przed odłamkami. Po zapadnięciu nocy przeszedłem przez barykadkę i porozrzucałem krzesła pod oknem, aby Niemiec się potknął, gdyby wskoczył do środka.

Ciemno już było, gdy usłyszałem stąpanie. Hasło, odzew i wpuściłem ppor. Mariana, który potwierdził instrukcję Kobuza. Zaskoczyła mnie nowina, że Niemcy już od dwóch dni obsadzali nieparzystą stronę ulicy Długiej. Marian wracając do Pasażu musiał przebyć najbardziej niebezpieczny odcinek do oficyny, koło wylotu wielkiej dziury, na wprost niemieckich luf w Pustym Domu. Miał do wyboru: albo przebiec go, budząc wtedy granatniki, albo iść powoli i cichutko, jak kot w podkutych butach, licząc na to, że go nie usłyszą ani nie zauważą. Znów zostaliśmy sami w narożnej kamienicy. Gdy oczy zmęczyły mi się od wpatrywania w prostokąt okna, dałem Muszce karabin do potrzymania, zdobywając jego dozgonną wdzięczność - palił się do tego, tak jak ja na Woli - a sam wyglądam sobie na Harcowisko Granatników.

Gdy jesteś pierwszy raz w życiu nocą na stanowisku, czujesz się,

jakbyś miał tysiąc oczu. Widzisz gwiazdy, mgławice, odległe rakiety, kolory ognia, konfigurację cieni i blasków. Wkrótce jednak przychodzi czas, kiedy dostrzegasz tylko to, co ma wpływ na długość twego życia. W pierwsze noce liczyłem godziny od zachodu słońca, potem kwadranse; pod koniec czwartego tygodnia powstania - minuty.

Hełm zwykle noszę na głowie, również i na Sali Obrabiarek. Wypuścić go na chwilę z ręki i więcej go się nie zobaczy. Niektórzy jednak już nie wytrzymują jego ciężaru i nocą, gdy spokojniej na stanowiskach, hełmy zdejmują; by ulżyć szyi, narażają głowę. Jeszcze dwa tygodnie temu dobra eksplozja o kilkanaście kroków przywróciłaby mi rzeźkość na dłuższy czas, teraz podmuch wybuchu tylko na krótko orzeźwia. Ledwo kurz opadnie, senność wraca, a z nią lęk przed zaśnięciem. Coraz to mi się wydaje, że ktoś się skrada, to słyszę, to nie słyszę, z przodu, z tyłu, serce mi wali. Szczypię się w policzek, w udo, gryzę wargi do bólu, myślę o nagich dziewczynach, kiwam się i tak mi schodzi do świtu.

Rąbek słońca błyska w szczerbie muru. Wkrótce cała kula, niby okopcona pomarańcza, wisi nad postrzępionym horyzontem. Przez szpary w dymie światło rozbiega się pasmami i promieniście, jak na obrazku pod tytułem „stworzenie świata" w podręczniku religii dla szkoły powszechnej, przedstawiającym moment, gdy Bóg rzekł „niech stanie się światło".

Nadejście dnia -jak zwykle - zamiast ptasząt oznajmiają snajperzy. Półmrok jeszcze zalega w zakamarkach, zapadlinach, szczelinach, w głębi okien, i łatwo dopatrzyć się ludzkiego kształtu tam, gdzie go nie ma. Dołączają się peemy, kulomioty, działka szybkostrzelne bijące wolniej i z postękiwaniem, potem odzywają się większe kalibry i już nie ustają. Nie da się opisać całej tej strzelaniny, która dniem zlewa się w nieustanny warkot czy ryk. To, czego ucho doświadcza, trudno z czymkolwiek porównać. Może podobne wrażenie odniosłoby się stojąc między pionową skałą a wodospadem, gdyby tony wody przelatywały na głową. Albo gdyby znaleźć się w olbrzymiej jaskini z tysiącem maszyn do pisania, gdzie każda sekretarka wystukuje jedną stronę na minutę. Niemal każdego dnia zdarza się moment ciszy, ćwierć sekundy może, równie zdumiewający jakby wodospad przestał spadać i zawisł w powietrzu lub tysiąc sekretarek nagle uniosło razem ręce sponad maszyn. W następnej chwili wydaje się, jakby wszyscy naraz pociągnęli za cyngle.

Wczesnym rankiem odwiedził nas pan w średnim wieku, pozdrowił dzieńdoberkiem, jak przed wojną i jął się z niesmakiem rozglądać po

składzie. Zwłaszcza barykadka przykuła jego wzrok i coś napomknął na temat wartości kafelków do wykładania łazienek. Zwrócił nam uwagę zwłaszcza na jeden gatunek, bardzo drogi, więc jeśli już używać, to lepiej tych tańszych. W końcu przedstawił się jako właściciel składu i dał do zrozumienia, że mimo wszystko jesteśmy tu tylko gośćmi, po czym zstąpił do piwnicy.

Zaczęli walić. Rdzawy pył wisiał nad Harcowiskiem, skład coraz to dygotał. Kazałem Muszce stanąć z tyłu za mną w kuchni, przy oknie na Harcowisko i rzucić granat, gdyby tam wpadli z Pustego Domu. Obstrzał wzmagał się, słabł, ale nie ustawał.

Czasem coś rwało się z okropnym suchym trzaskiem. Choć kazano mi mieć na oku drugą stronę Długiej, tak kotłowało się za moimi plecami, że myślałem, czy nie lepiej będzie nie posłuchać rozkazu i zamienić stanowiska z Muszką. Kiedy przycichło, starsza pani i pan wyszli z piwnicy i wręczyli nam garnek z kawą. Poczułem się dziwnie, musiało mnie wzruszyć, że oto jest ktoś wdzięczny. Zmiana przyszła dopiero po południu, bo nie mogli przedostać się do nas. Teraz pozostał najtrudniejszy moment dnia: przebiec przez Harcowisko do oficyny.

O jedenastej wieczorem znowu do pracy, pod oficynę. We dwójkę tylko, Ochotnik i ja. Poprosiłem Kobuza, by nas razem postawił. Ochotnik nie tak jeszcze wyczerpany, więc nie lękam się, że obaj jednocześnie zdrzemniemy się stojąc. Noc dlatego jest straszna, bo zaśnięcie grozi śmiercią. Nocą jak zbawienia wyczekuję świtu, dniem - zmierzchu. Na stanowisku pod oficyną powinno być w zasadzie czterech, tak kiedyś Lis zarządził. Kompania jednak skurczyła się, poza tym nocą część obsady, o ile można, przesuwa się na sam skraj gruzów, aby w porę wypatrzyć Niemców. Właściwie to czasy ich nocnych patroli, a już na pewno naszych nocnych kontrataków, należą do przeszłości. Małe są szansę, by z tej czy tamtej strony frontu udało się wyskoczyć na ziemię niczyją i wrócić. Wystarczy narobić hałasu i już mamy „gości". Rakieta poleci od Arsenału, sypną się granatniki, cekaemy poprują z rogu Bielańskiej świetlnymi kulami, by nam odebrać chęć do psikusów. Tak łakniemy spokoju, że nikomu się nie chce nękać Niemców, aby się wyprztykali z amunicji, a nocą niewiele trzeba, by ich sprowokować.

Lech cichutko przyszedł pożyczyć granat. Naprzeciw, w Pustym Domu -powiada - wypatrzył stanowisko erkaemu. Mam tylko jeden granat w kształcie kurzego jaja i odmawiam podejrzewając, że albo chcą go ode mnie wyłudzić, albo im się troi w oczach. Niemcy za

cwani na to, by tak się narażać.

- Możesz sam rzucić - przekonuje mnie Lech, ale i na to nie mam ochoty, wychylać się na wprost lufy. Odmówić nie jest łatwo, skoro przez moje skąpstwo czy nieufność zaprzepaści się okazję zniszczenia gniazda kaemu. Z drugiej strony, trudno trafić w okno z odległości 30 metrów. Nim powziąłem decyzję, okazało się, że Niemcy cofnęli się; tak więc sprawa zakończyła się polubownie. Jedynym rezultatem gorączkowej narady prowadzonej półgłosem był gość z Arsenału - rakieta. Tyle już ich widziałem, a jednak ilekroć która nade mną \ nadlatuje, to - choć stoję dobrze osłonięty - muszę całą siłą woli opanować odruch, aby się nie skurczyć i nie przykucnąć. Jakby rakieta nie była zwykłym źródłem światła, ale gorejącym okiem na służbie niemieckiej.

Przyszły dobre wiadomości, że Amerykanie po zajęciu Paryża idą jak w masło. Za to na Pradze cisza. Szeptanie mnie męczy, nie dosłyszę, więc myślę sobie o Rosjanach, kanałach, Kampinosie, o powojnie, o dziewczynach, o Sali Obrabiarek i tak mija ta noc bez wydarzeń. Pierwszy znak przedświtu - senność, jakby mi dali zastrzyk. Zasypiam stojąc, Pan Bóg wie tylko, na jak długo czy krótko. Nagle ocknę się przerażony, przez ułamek sekundy nie wiem, co się dzieje, fala gorąca i potu mknie mi od hełmu do butów. Dobrze, jeśli pierwsze, co zobaczę, to kolega. Potem czuję lekki chłód na twarzy, niebo z czarnego przemienia się w ciemnogranatowe, jaśnieje. Co słabsze gwiazdy giną, a te silniejsze jeszcze nabierają mocy i w ciemnobłękitnym sklepieniu na krótko rozjarzą się jak rozpalone srebro, nim je słońce wygasi. Lech dołączył i w trójkę stoimy pod oficyną. Razem ze słońcem samoloty wychodzą na niebo, zataczają wielkie koła wysoko, potem coraz węższe kręgi i coraz niżej. Tak pewnie krążą sępy. Ile trzeba silnej woli, by do nich choć raz nie strzelić, gdy lecą nad dachami. Od ziemi, ze stanowisk niemieckich podrywają się rakiety i mkną ku nam zostawiając w powietrzu półkoliste smugi dymu. Kostucha zakrzywionym paluchem wskazuje, gdzie się kryjemy. Lotnicy wyspali się, ogolili, umyli, o świcie zjedli śniadanie i poszli do pracy. Polatają sobie, ponurkują, zawrócą, wylądują na Okęciu, przegryzą, popiją mlekiem, sokiem, posłuchają radia, aż im nowe bomby doczepią, wychylą jednego sznapsa na drogę... Edek raz w ataku wściekłości wrzeszczał, że żaden sławny niemiecki lotnik do takiej roboty by się nie zgodził.

A oto pierwsza ofiara dnia. Niemcy wypatrzyli go w gruzie na

wprost Pustego Domu. Rozebrał się do pasa i pokazuje plecy. Kula przeszła przez mięsień na łopatce równolegle do ciała, kości nie naruszyło, szydło można by łatwo przesunąć od wlotu do wylotu. Swobodnie porusza ramieniem, jeszcze go nie boli. Pokazuje wszystkim, choć sam popatrzeć nie może. Zaskoczony jestem widokiem tej rany, jakbym już zatracił poczucie, że karabin to niebezpieczna broń. Przy tych wszystkich bombach, rakietach, latających minach, zwykła kula wydaje się nie większa i nie groźniejsza od szerszenia. Ile to razy widziałem, jak inni beztrosko spacerowali pod obstrzałem. O istnieniu kul przekonać się można tylko po śladach. Spojrzysz, cegła się kruszy, jakby kto dłubał niewidzialnym nożem. Niczym w tej kreskówce Disneya: nocą przy księżycu z nawiedzonego domu duch umykał, a poznać go było można tylko po odciskach stóp na śniegu i chrupaniu. Niesamowite wrażenie sprawia na nowicjuszu widok maleńkiej ranki od kuli, nie większej od „gwoździa" w dętce, niemal zadrapania, przez które życie uleciało.

Wcześniej czy później dziewczyny przynoszą kawę i staromiejski chleb. By nie wyłamać plomby w zębie i nie przeciążać żołądka tynkiem, żuję powoli i bełtam kawę z chlebem w ustach tak długo, aż powstanie papka. Wsysam ją pomału, aby tynk osiadł na dnie jamy ustnej. Zajmuje to sporo czasu, ale nic innego nie mam do roboty, jak tylko stać i nie zagapić się.

O dniu, jak ten, nic właściwie nie da się powiedzieć. Oczywiście nie jest aż tak źle, aby dla zabicia czasu liczyć granatniki, które z rzadka padają na Harcowisko. Z obserwacji wynika, że zawsze dostanie odłamkami ten, kto stoi w promieniu pięciu metrów. Jak dotąd dwa wybuchły o jakieś siedem, osiem metrów ode mnie.

Nie wiadomo skąd ukazuje się kura. Ktoś ją łapie, ale wymyka mu się i staje między oficyną a domem 44/46, na wprost śmiercionośnej dziury, na pełnym widoku z Pustego Domu. Usiłujemy z Lechem zwabić ją przyjaznym „cip, cip, cip". Powstaje mała sensacja. Wychylają się głowy z pobliskich ruin. Dwóch powstańców wychodzi z narożnika domu 44/46. Wszyscy wołamy naraz i na przemian „cip, cip, cip". Czy to dlatego, że zbyt wielu uwodzicieli kusi ją z przeciwnych stron, czy też, że wymknąwszy się z piwnicy, kura jest oślepiona słońcem, dość że kręci głową stojąc w miejscu. Ktoś próbuje „taś, taś, taś", cmokają, mlaskają, a gdy i to nie pomaga, wołam na nią dla ubawu „kici-kici, kici-kici"... a nuż powstanie padło jej na mózg i zareaguje.

Połowa załogi zajmuje się kurą, a połowa uważa na odwiecznego wroga. Któryś tam rzuca okruchy cegieł, niby ziarno, też bezskutecznie. Kura rozgląda się i drobi ku dziurze, ku Niemcom. Wobec tego wstrzymujemy się od dalszej akcji, aby jej nie wpędzić w objęcia nieprzyjaciela.

Zdarzyło się to już raz przy Arsenale z prosiakiem, który, by uniknąć śmierci od noża, wybrał wolność u Niemców i popędził Nalewkami do Białego Domu. Pewnie go nie zjedli z obawy, że zatruty.

Zaczynam się niepokoić, że za dużo gwaru. Wtem Lech celuje z karabinu, myślę, że dla żartu, ale strzela z paru kroków. Kura ogląda się i robi krok ku Niemcom. Krzyczymy na niego, a on strzela drugi raz. Kura podskakuje, pióro wyleciało z ogona, przekręciła głowę. A ten wariat znowu strzela, kura potyka się, obraca w kółko, coraz bliżej dziury, nadłamało jej nogę. Objeżdżamy Lecha, ile wlezie. Sypią się granatniki, jak zwykle kilka kroków z tyłu. Dotąd żaden nie padł przy wejściu pod oficynę, coś im widocznie musi zawadzać. Gdy kurz rozwiewa się, kury nie ma. Wieść o tym zdarzeniu rozniosła się i, o ile pamiętam, Lech dostał ostre opeer od Mariana, ale karabin nadal pozwolili mu nosić w czasie służby.

Podobnie jak żeglarzy, tak i powstańców z linii można odróżnić po chodzie. Żeglarz, dla bezpieczeństwa, idzie równym, wolnym krokiem na rozstawionych nogach. U nas iść w ten sposób znaczyłoby tyle, co prosić o rychłą śmierć. Tutaj należy poruszać się tak, aby snajper, gdyby cię zauważył, nie zdążył pociągnąć w porę cyngla i nie był w stanie przewidzieć, gdzie i kiedy się ukażesz następnym razem. Na przykład przeskoczyłeś u wylotu dwóch szczelin i teraz masz przed sobą otwartą trzymetrową przestrzeń. Niemiec błyskawicznie wziął ją na cel, palec ma oparty na cynglu. A ty sobie czekasz. Tymczasem snajperowi ręka się meczy i zaczyna z lekka drżeć, ponieważ składając się w pośpiechu nie miał czasu usadowić się wygodnie. Teraz musi się poprawić, oprzeć lufę na cegle. Trzeba to wyczuć i wtedy - skokiem. Zwykle popruje za tobą kulami, gdy już cię nie widać, ze złości. Nawet półmetrową otwartą przestrzeń należy przebywać biegiem, ktoś może ją mieć na oku. Nowicjusz bierze to za dowód lękliwości. W rezultacie poruszamy się zygzakiem i *staccato,* nagle podrywając się i hamując. Urok Sali Obrabiarek polega między innymi i na tym, że można chodzić jak przed wojną - bez oglądania się, czy łapią, nie przeginając się do ziemi, wolnym krokiem, wprawdzie zygzakiem z powodu materaców, ale nie

staccato.

Część podwórza bezpośrednio za Pasażem, bliżej szkoły, nie jest już bezpieczna. Postrzelili tu jednego, gdy się załatwiał w kucki, kula przeszyła pośladek, nie tykając kości. Opowiadamy jeden drugiemu, jak to było, śmiejemy się, zaśmiewamy, śmieję się i ja. Kiedyś widok od tej strony zasłaniał gąszcz drzew ogrodu Krasińskich. Teraz gałęzie przerzedły, liście żółkną, schną i prześwituje od getta, gdzie są Niemcy. Zaplecze Pasażu przeobraziło się w szachownicę, czarno-szaro-białą. Czarne pola pod bezpośrednią obserwacją Niemców, szare tylko w zasięgu broni stromotorowej, czyli granatników, białe bezpieczne, zachowały się tylko przy szczytowej ścianie Pasażu, w przejściu pod oficyną i w rogu podwórza przy domu 44/46, gdzie jest wejście do składu kafelków. Czarne i szare rosną i mnożą się. Trzy są tego przyczyny: mury się wykruszają, Niemcy pobudowali stanowiska na szczytach najwyższych domów i strzelają jak z bocianich gniazd oraz zapewne przesunęli granatniki tak, że Pusty Dom i Pasaż mniej zawadzają pociskom. Pierwsze dwa dni po upadku Arsenału, a nawet 24 sierpnia rano, gdy nas z Muszką zasypało, wąskie białe pasmo ciągnęło się wzdłuż linii ścian na wprost Pustego Domu i można było przejść od Pasażu do kamienicy 44/46 bez pośpiechu, „suchą stopą" - to znaczy bez rozlewu krwi.

Od paru dni borykam się z chęcią odwiedzenia państwa J. na Kościelnej pod numerem dziewiątym. Przepuściłem okazję pokazania się w Fundacji Staszica, gdzie pracował mój ojciec, i gryzie mnie teraz, iż w przyszłości nie uwierzą mi, że pod panterką miałem mundur Luftwaffe, że mnie zasypało, że dostałem w brzuch, że kula padła mi pod nogi, że „goliat"... Potrzeba pokazania się znajomym musi być wielka, skoro odważam się na tę wyprawę. O jedenastej rano, przy zmianie, powiadamiam Kobuza, że biorę wychodne i wkrótce ruszam znajomą trasą: Harcowiskiem, labiryntem ruin, Długą, poza rachityczną barykadą na drugą stronę Miodowej i dalej. Ulica Freta zmieniła się od czasu, gdyśmy tu spali u rzeźnika; i czołgiem by teraz jej nie przejechał. Kościelna jest po przeciwnej stronie staromiejskiego kotła. Bliżej Długiej tu i ówdzie ktoś się przemyka, ale im dalej idę Freta, tym puściej. Kościelna była w polskich rękach jeszcze wczoraj i linia frontu jest dość odległa, dobre dwieście metrów, jednak na wszelki wypadek przeskakuję od bramy do bramy, od muru do muru i nasłuchuję. Już dawno osiągnąłem to stadium rozwojowe, że wolę strzelaninę od ciszy, która zwodzi. Dobry żołnierz samym słuchem rozpozna, co się dzieje,

podobnie jak tubylec w dżungli amazońskiej bez otwierania oczu odgadnie kto, gdzie i do kogo się dobiera. Skręcam w prawo i oto stoi kamieniczka nr 9. Nie spalona. Poznaję knajpę zwaną nieoficjalnie „Pod Samolejem", pod ścianą której pijacy zwykli byli odlewać się, a strugi moczu ściekały chodnikiem do rynsztoka. Na zewnątrz ani żywego ducha. Schodzę do piwnicy przypominającej katakumby. Chwila podenerwowania, czy żyją, czy są. Ktoś mnie prowadzi ciemnym loszkiem i za chwilę ściskam się z rodziną państwa J. Matka, ojciec, brat. bratowa, tylko mojego kolegi Mietka nie ma. Wyszedł piewszego dnia na Powstanie i nic o nim nie wiadomo. W miarę, jak opowiadam, rośnie grono słuchaczy. Zaczynam od popisowego numeru. Oczywiście, nie od razu wyciągam łuskę Najpierw krótkie sprawozdanie urywające się w momencie, gdy szczęśliwie stoczyłem się z hałdy gruzu w ramiona kolegów. Potem pokazuję dziurę w bluzie panterki, doprowadzając słuchaczy do stanu maksymalnego zdumienia. Wreszcie bez słowa podsuwam łuskę do świecy. Mieni się miedzianym blaskiem, obracam ją w palcach, potrząsam, grzechocze w środku. Podaję ją najbliższemu. Łuska wędruje z ręki do ręki, kręgiem wokół świecy, mieni się, grzechocze. Następny eksponat, kula z zagiętym ostrzem, pamiątka rozmowy z Bajkopem na temat, co będziemy robić po wojnie. Śpieszę się, by wszystko, co ważne, powiedzieć, tak by im w serca zapadło na zawsze. O sześciu Niemcach na Nalewkach w dzień i o jedenastu w nocy... Pokazuję dziury wyszarpane w panterce na biodrze... sam wzruszam się i jak zwykle, gdy za głośno i za dużo mówię, słuch mi się pogarsza, głosy zamazują.

Dźwięk jakiś przeniknął do piwnic...

- Samoloty? - pytam.

Potakują. Wstaję szybko, rzucam parę słów. Są zdumieni, że wychodzę w czasie nalotu. Biegnę krętymi schodami. Zatrzymałem się w bramie na skraju chodnika. Patrzę w niebo, nasłuchuję. Sztukasy krążą wolno i nisko, więc nie spuszczając nieba z oczu pomykam wzdłuż ściany ku Freta, bo na Kościelnej domy zbyt zdrowo wyglądają. Potem wędruję pośród księżycowego krajobrazu. Wspinam się na szczyty ceglanych grani, ostrożnie stąpam po krawędzi kraterów. Domy leżą na jezdni, a w miejscu domów zieją olbrzymie leje, tu i ówdzie na dnie widać żółty piasek. Miałem zamiar zrobić wielki obchód, odszukać Barykadę, wpaść do Edka, odwiedzić Ankę. Ale niepokój jakiś mnie pogania, byle prędzej do Pasażu. Kościół Garnizonowy, rachityczna przesłona w poprzek Miodowej,

wijący się wąwóz ulicy Drugiej, trupia czaszka na barykadzie przy mikrowieżowcu, minkami, jednym susem przez patio pałacyku, znowu labirynt murków, środkiem wypalonej oficynki, jak korytarzem bez dachu, i skok oknem w prawo na otwartą przestrzeń Harcowiska. Z przejścia pod oficyną często widzę, jak tędy ludzie się przemykają i denerwuję się, patrząc tylko, że granatnik spadnie, a co dopiero teraz, gdy samemu trzeba pomykać na palcach pod niewidoczną lufą. Najciszej jak można i najszybciej jak można. Im prędzej, tym głośniej, a im ciszej, tym wolniej.

Sław, kolega z działonu 20 mm armatek (nie mylić z pchor. Stawem, którego karabin posiadam), ma rękę na temblaku i utyka, dostał z granatnika i jak prawie wszyscy ranni, którzy mogą chodzić, postanowił zostać w Pasażu.

Zaledwie łącznik ostrzegł, że nadjeżdża czołg, błyska się tuż za wielkim oknem. Kurz kłębami przetacza się w stronę obrabiarek. Cofam się do wąskiego końca sali z odbezpieczonym karabinem w oczekiwaniu następnego wybuchu. Ranni przepychają się do drabiny. Nawet nie przyklękam za maszyną jak inni, tak jestem pewien, że mi się nic nie stanie.

Porucznik Płoński od zaopatrzenia, starszawy i uważany za niedojdę, nie wiadomo skąd wyłazi na pustą przestrzeń pomiędzy pierwszymi maszynami a wielkim oknem. Znowu błyska za parapetem okna, uchwyciłem wzrokiem samą czerwień jądra eksplozji. Zgrzytnęło, jakby żwir pękał. Płoński podryguje, dym go przesłania, a gdy się rozwiewa, przedramię broczy krwią. Więcej go nie widzieliśmy.

Za oknem spadł jakiś pocisk sporego kalibru, może rakieta, może olbrzym granatnik - bo normalne granatniki tego zaułka nie sięgały. Te napady ogniowe powtarzały się odtąd każdego dnia, pociski wybuchały tuż poza wielkim oknem, ale zawsze powiadomieni w porę kryliśmy się za maszynami. Po paru razach przywykliśmy do tej nowości i reputacja Sali Obrabiarek jako najbezpieczniejszego miejsca na Starówce jeszcze się umocniła. Pomimo dodatkowego zagrożenia obstrzałem tej dziwnej broni, podstawowe funkcje Sali Obrabiarek jako kuchni, jadalni, sypialni, czytelni, bawialni oraz głównej linii obrony pozostały nie zmienione; przednią linią obrony nadal była Pusta Sala. Kocioł stojący w samym kącie przy ścianie wielkiego korytarza, miejscu najlepiej osłoniętym przed odłamkami, funkcjonował bez zarzutu do samego końca, a nawet dłużej. Gdy tylko działo szturmowe zwane - zdaje się - „ferdynandem" lub czołg

odjeżdżał, natychmiast powracano do spania, czytania, jedzenia - jeśli było co - i gwar rozmów znowu wypełniał mury.

Paru próbowało grać na organkach, wirtuozerią wyróżniał się pewien chudy powstaniec o zadartym nosie. Grano zwykle pod wieczór, gdy łoskot walki przycichał. Dźwięki organków niosły się wśród wypalonych ścian przez Pustą Salę i wielki korytarz ku Arsenałowi.

Maniuś stał się popularnym piosenkarzem. Już samym wyglądem zwracał uwagę. Nosił krótkie spodenki, a na wierzchu bluzę panterki o szerokich, zwisających ramionach i przydługich, pomarszczonych rękawach. Dół bluzy schodził tak nisko, że spodenek nie było widać. Duże wojskowe buty na cienkich gołych nogach sprawiały, że wyglądał jak Micky Mouse. Krótką czuprynę miał jaśniejszą od twarzy. W ciągu paru tygodni niewiele się zmienił, być może brud trzymał się mocniej skóry niż włosów i przez to kontrast był jeszcze silniejszy. Maniusia nie trzeba było długo zachęcać do występów, gdyż za okupacji śpiewał w tramwajach. Zrazu wprawdzie wymiawiał się, może onieśmielony taką widownią - oficerowie, podchorążowie, bohaterowie; lufy, hełmy, granaty, bandaże. Artyści podczas występów zwykle sadowili się w najbezpieczniejszym miejscu, w kącie obok kotła. Taki układ był także korzystny dla obrońców, gdyż zwróceni ku scenie mieli na oku jednocześnie Pustą Salę i wielkie okno. Dziwnie było słuchać tych warszawskich przyśpiewek, nielegalnych jeszcze przed miesiącem, których zakaz należał teraz już do historii.

„Siekiera, motyka, bimbru szklanka, w nocy alarm, w dzień łapanka, siekiera, motyka, piłka, graca - już Sikorski z Anglii wraca".

A gdy zaśpiewał:

„Siekiera, motyka, bimber, gwóźdź - weź górala, a mnie puść!" - sala gruchnęła śmiechem. Wielu zanosiło się do łez. Ten wybuch wesołości na pewno nie uszedł uwadze przeciwnika.

„Siekiera motyka i sztacheta - Żydzi dobrze bronią getta". Nikt już się nie uśmiechał. Dużo Żydom z tego przyszło.

Skończył, ale nie dali mu spokoju. Musiał bisować. Nabrał oddechu i ciągnął dalej dziecięcym, a już zdartym głosem, śpiesząc się, jakby mu Niemcy deptali po piętach i musiał za chwilę wyskakiwać z tramwaju.

Dnia pierwszego września roku pamiętnego
wróg napadł na Polskie z nieba wysokiego.
Najgorzej się zawziął na naszą Warszawę,

Warszawo, Warszawo, tyś jest miasto krwawe.
Kiedyś byłaś piękna, bogata, wspaniała,
teraz tylko kupa gruzów pozostała.
Domy popalone, szpitale zburzone,
gdzie się mają podziać ludzie poranione.
...z nami łaska Boża
odbudujem Polskę, od morza do morza.

Ksiądz kapelan stał się częstym gościem Sali Obrabiarek. Wszyscy go zapamiętali, gdy po mszy w ogrodzie udzielał *absolutio in articulo mortis.* Wtedy mi się wydawało, że jego misją było odprawianie mszy polowych -może nawet pod murami Berlina, święcenie sztandarów, armat, trumien na lawetach... Teraz dyskretnie, nie narzucając się zagadywał pojedynczych powstańców w sprawie spowiedzi i komunii i jeden po drugim gdzieś z nim znikał. Przyszła i moja kolej. Z całego oddziału Wiernego odmówiłem tylko ja i Kobuz, jedyni pozostali inteligenci.

Znowu z Lechem stoimy pod oficyną. Od dwóch dni nic się nie dzieje na naszym odcinku między Pasażem a Długą. Nie to, żeby front zamarł, raczej zamarzł. I my, i Niemcy takeśmy się wgryźli w gruzy i wstrzelali, że zaskoczenie stało się niemożliwe. Ani oni za dnia, ani my w nocnym ataku nie mamy szansy. Jeszcze tydzień temu można się było podczołgać Nalewkami pod Biały Dom, teraz tak się zacieśniło, że ziemia niczyja prawie nie istnieje. Zanim by się dobiegło te kilkanaście kroków do Pustego Domu czy do Arsenału, wyrosłaby przed śmiałkiem zapora z kul, jak drut kolczasty - tyle mają broni maszynowej. Niemcy zapewne myślą podobnie i dlatego zaprzestali nacierać piechotą.

W czasie, gdy pełniłem służbę między Pasażem a Długą, wzdłuż uliczki Wyjazd lub w składzie kafelków, Niemcy więcej niż raz wdarli się do Pasażu od strony Nalewek, ale zostali wyparci w kontrataku. O tym dowiadywałem się dopiero wróciwszy na Salę Obrabiarek.

Stanowisko w oficynie bardziej jest odizolowane, niżby się wydawało na pierwszy rzut oka. Wprawdzie otwiera się stąd widok na podwórza po obu stronach, ale tego, co się dzieje w Pasażu Simonsa, nie można zobaczyć. Widać tylko jego szczytową ścianę bez okien, a ruiny przesłaniają dojście do wielkiego okna. Zaś ze składu kafelków niewidoczny Pasaż Simonsa wydaje się odległym pancernikiem, a jego czoło przy Nalewkach, hen, daleko, jak za siedmioma górami i siedmioma rzekami. W ciągu całego oblężenia Pasażu tylko dwa razy odważyłem się przejść na drugą stronę

wielkiego korytarza - z obawy przed nieznanym. Na tym właśnie polega wgryzanie się w gruz, że dokładnie wie się, gdzie wolno przebywać, a gdzie nie. Kule kruszą cegły z prawej strony, odłupują tynk z lewej, a ty leżysz sobie spokojnie pośrodku jak u Pana Boga za piecem, dopóki czołg nie zawita.

Godzinami stoję w bramie oficyny patrząc jak raz po raz deszcz odłamków czy ceglanych okruchów omiata podwórza po obu stronach. Czasem mdli mnie i coś dygocze w środku. Lechowi zaś, w miarę jak Powstanie się przeciąga, humor coraz bardziej dopisuje. Pierwszy raz wynurza się na temat rodziny.

„Starszy brat - powiada - dostał w czapę, średni w czapę, ja też pewnie dostanę w czapę, co za różnica, tylu już dostało, tylu jeszcze dostanie".

Chyba mówi na serio. Najpierw zrobiło mi się jeszcze bardziej mdło, potem przygnębienie przeszło i zacząłem sobie myśleć, że żyć to właściwie nic specjalnego i dostać w czapę nic specjalnego**;** więcej tych, co nie żyją, niż tych, co jeszcze żywi.

Przypomniało mi się zdjęcie z „Berliner Illustrierte". Niemiec z rozpylaczem, a ze stodoły wychodzi dwóch cywilów z podniesionymi rękoma. Napis poniżej wyjaśnia, że w czasie akcji oczyszczającej na Białorusi nakryto bandytów. Twarze mężczyzn wyraźne, rozpoznałbym ich na ulicy. I odtąd natrętna myśl wracała, że ta fotografia to wszystko, co po nich pozostało. Cale życie harowali w kołchozie, świata nie widzieli, a tu niespodzianka. Omalże nie dożyli chwili, gdy ich fotografie ukazały się w gazecie, i to nie byle jakiej, berlińskiej. Czapa nie czapa, jedno wiem, własnymi rękami swojego grobu kopał nie będę.

Mało który cywil jest w stanie odczuć to, czego doświadcza żołnierz pod obstrzałem, przebiegając te kilka czy kilkanaście kroków od osłony do osłony. Proszę sobie wyobrazić, że jest pożar i trzeba skakać do rozpiętej nad ziemią siatki. Trzy metry otwartej przestrzeni na wprost lufy odpowiada skokowi z pierwszego piętra, sześć metrów - z drugiego, dziewięć metrów - z trzeciego, trzydzieści metrów - z dziesiątego i tak dalej. Istnieje zawsze prawdopodobieństwo, że się nie dobiegnie i dlatego każdy dystans wydłuża się w nieskończoność, ponieważ jest pomnożony przez wieczność nieistnienia.

Młodsi przedkładają niemieckie mundury nad inne. Podobnie, choć nie do tego samego stopnia, przedstawia się sytuacja w zakresie terminologii uzbrojenia. Częściej słyszy się MG niż KM, ale najwięcej jednak RKM. MP idzie łeb w łeb z PM-em. Określenie

„granatnik" zdecydowanie góruje nad *Stokes. Sprenggranat,* podobnie jak moździerz, jest prawie nie używany. *Panierfaust* nie ma polskiego odpowiednika. Działo szturmowe niekiedy zwą *Sturmgeschütz.* Mało kto wie, że „szafa" to *Nebelwerfer,* ci, co znają niemiecki, nie rozumieją, jaki to ma związek z miotaniem mgły. Przypominam sobie ilustrację z niemieckiego pisma przedstawiającą natarcie pancernych grenadierów wsparte salwami *Nebelwerfer.* Po niebie szóstkami ciągną się półkoliste, jasne smugi dymu czy mgły, stopniowo zwężając się i zniżając, jak zakrzywione palce kostuchy; na końcu każdej smugi - jak szpon, rakieta. *Sturzkampflugzeug* zupełnie się spolonizował, jako sztukas stał się słowem potocznym i odmienia się tak samo jak bekas i grubas. Popularność jego tak szybko wzrosła, że wyparł on słowo samolot, nie mówiąc już o sztucznym nurkowcu. Ktokolwiek patrzy na niebo, widzi same sztukasy, tylko wyszkolone oko potraf odróżnić heinkle, mesersz-mity, focke-wulfy. Gdy samoloty lecą bardzo wysoko, zwykle uważane są za *Heinkle,* choćby nimi nie były. Nazwy takie, jak spluwa, gnat. kość, komin, rozpylacz mało są używane, brzmią z bandycka, a nie po żołniersku

Nie kończące się rozmowy toczą się na temat hełmów, które lepsze. Chodzi nie tylko o grubość i jakość stali, ale i o wygląd. Jeśli kształt jest opływowy, to nie tylko rewolwerowa, ale i karabinowa kula jakoby może się ześlizgnąć. Ktoś mi pod oficyną z wielką pewnością siebie tłumaczył, że mój, rosyjski, jest najlepszy, robiono próby i okazało się, że najbardziej wytrzymały na przebicie. Ten nowy hełm, już trzeci z kolei, dostałem po kimś wkrótce po ataku na Stawki i zaraz obciągnąłem go niemieckim ochronnym pokrowcem. Nie tylko, że ma kształt nieforemnego garnka, ale i nad nosem mały dzióbek. O francuskich powiadają - a widziałem ich parę - że tyle warte, co strażackie, silny chłop tasakiem przerąbie. Hełm LHD mało wart, niewygodny, cienki, płaski i nietwarzowy, ale dużo ich. Oczywiście każdy chce niemieckiego, jedni dla mocy, wszyscy dla elegancji. Niemieckie mundury też mi się ze wszystkich najbardziej podobały. W nich - uważałem - wygląda się na żołnierza; reszta, poza polskim, nadaje się dla policjantów, kamerdynerów, portierów, tragarzy i strażaków.

Poza troską o karabin, do moich stałych zajęć należało czyszczenie okularów. Zależnie od okoliczności wkładałem je na nos lub chowałem do kieszeni. Raz, czy to mi je zdmuchnęło, czy pchnęło mnie o mur, gdy miałem je w kieszeni, w każdym razie

ramka pękła. Wzmocniłem ją oklejając dookoła leukoplastem i przy najbliższej okazji przejrzałem się w lustrze.

Czy aby nie wyglądam na intelektualistę-ślamazarę, urzędnika przebranego za żołnierza? Zarośnięta, sczerniała twarz, opalenizna przebija spod brudu, wpadnięte policzki, dotąd wszystko w porządku, tylko ten hełm z dzióbkiem nad nosem nie pasuje. Inni mają opatrunki na głowach, ja na okularach. W końcu zdecydowałem się, że ze sklejonymi okularami wyglądam bardziej bojowo, żeby tylko nie ten szpetny dzióbek.

Gdy wróciłem na Salę Obrabiarek, Marian wypytywał się czy ktoś ma doświadczenie w obsłudze kaemu. Z doświadczeniem czy bez, trzeba człowieka o żelaznych nerwach. Nie zgłaszam się nie tylko dlatego, że brak mi żelaznych nerwów, wbrew temu, co niektórzy uważają, ale także ponieważ przeciętna długość życia członka obsługi kaemu według nieoficjalnej statystyki wynosi trzy dni.

Przyszła wieść, że na Freta zasypało cały sztab Armii Ludowej. Pomyślałem o oficerze, znajomym Edka, który miał nam załatwić przejście do Armii Ludowej.

Pod wieczór poszedłem w odwiedziny do szpitala z tym samym co zwykle napięciem i niepewnością, czy jeszcze stoi. Żegnając się z rannymi, zawsze zadawałem sobie pytanie czy ich nie widzę po raz ostatni. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że i oni myśleli to samo. Dziś w ogóle nie rozumiem, jak mogłem tak się narażać, kręcąc się po otwartej przestrzeni.

Jak zwykle, szybko dotarłem do skrzyżowania Długiej z Miodową i tu utknąłem. Czas był spokojny, a mnie poraził lęk. Nie mogłem się zdecydować na przebiegnięcie poza barykadą, która zresztą niezupełnie słusznie cieszyła się aż tak złą opinią, że wartownicy po obu stronach ulicy ostrzegali przed snajperem. Naprężyłem mięśnie, nabrałem powietrza, wypuściłem, znowu się naprężyłem, podparłem się do skoku i nie mogłem ruszyć z miejsca. Mijały sekundy, minuty. Cofnąłem się w pobliską bramę, odczekałem, wróciłem. Tymczasem ludzie od czasu do czasu przemykali się na drugą stronę Miodowej i z powrotem. Zobaczyłem córkę pana Bieńkowskiego, mojego współlokatora z domu na Śniegockiej, rosłą blondynkę, jak dźwigała nosze, pewnie na Długą 23. Pomachałem ręką, ale nie zauważyła. (Niedługo potem zginęła tam, gdzie ją widziałem ostatni raz).

Pocisk uderzył w róg domu po drugiej stronie placu na wprost Kościoła Garnizonowego, wybijając płytką szczerbę. Postanowiłem zapamiętać ją na po wojnie. Do tego czasu nikomu nic się nie stało, a

ja wciąż tkwiłem w tym samym miejscu. Ten i ów spojrzał na mnie i pobiegł dalej. Wstyd mi było, więc przybrałem taką pozę, jakbym tu stał w jakimś specjalnym celu. Cofnąłem się o parę kroków, by nie przeszkadzać tym, co się rozpędzali. Ktoś z dala jednak mnie wypatrzył i krzyknął, bym nie sterczał na ulicy. Dziewczyny przeskakiwały na drugą stronę, ranni kuśtykali, przygarbieni noszowi pomykali na zgiętych kolanach. Czasem obok stało kilka osób, szykując się do skoku, to znowu byłem sam. Ilekroć ktoś przebiegł na drugą stronę, jeszcze bardziej traciłem odwagę. Myślałem, oto snajper dopiero teraz zauważył, złożył się do strzału, następny dostanie. Znowu cofnąłem się w bramę, by uniknąć spotkania z łączniczką, która już wracała. Może to przeczucie? Ileż to się słyszy tragicznych opowieści o ludziach, co je zlekceważyli. Do Pasażu zawrócić wstyd mi było przed samym sobą, a także bałem się; może to nie kula tu, ale granatnik w drodze powrotnej jest mi przeznaczony. Nie pamiętam, jak to się stało, ale w końcu przebiegłem.

Zegarek wskazywał, że minęły trzy kwadranse. Wchodząc do szpitalnej komórki od razu poznałem Lisa, pomimo obandażowanej głowy, po krzywym nosie i ciemnej opaleniźnie. Położyli go w uprzywilejowanym miejscu, poniżej piwnicznego okna, pod samą zewnętrzną ścianą budynku. Miejsce to było lepsze z dwóch powodów: po pierwsze - odłamki wpadające do środka bardziej zagrażały leżącym po stronie piwniczego korytarza; po drugie - w razie zasypania nieraz blok muru, szyny i stropy opierały się o główną grubą ścianę, pozostawiając wolną przestrzeń poniżej. Edek i Hanka leżeli pośrodku, Niemiec od korytarza.

Co dwadzieścia minut ze strasznym wyciem olbrzymi pocisk opuszczał się na Stare Miasto. Cała okolica dygotała. Jeszcze większą grozę budziła „szafa", gdy zaskrzypiała, liczyło się sekundy. Przy piorunie mierzy się czas upływający miedzy błyskawicą a grzmotem**,** aby się dowiedzieć, jak daleko uderzył. Tu **na** odwrót, niebezpieczeństwo było na samym końcu. Potem cała piwnica, z wyjątkiem Niemca, odgadywała, gdzie spadły rakiety. Po każdym strzale obsługa „szafy" zwykle nieco obracała wyrzutnię, tak że następna salwa kosiła domy w pobliżu tych, które dopiero co dostały. Można więc było wydedukować. w jakim kierunku posuwał się „anioł śmierci". Jeśli pierwsza salwa zmiotła piątkę i siódemkę, następna jedenastkę i trzynastkę, a ty znajdowałeś się pod dziewiętnastką - czas było wychodzić.

Ciekawi mnie wielce Austriak-Niemiec. Coraz to zerkam na niego. Z rozmów, jakie z nim przeprowadził Edek, wynika że najbardziej boi się sztukasów. i że wstawi się za rannymi u swoich kolegów. Miał dwóch braci, obaj zginęli. Jeśli przeżyje, myślałem, da świadectwo temu, ile tu wytrzymaliśmy. Cudzoziemcowi prędzej świat uwierzy. Co by też powiedział, gdyby posiedział parę dni w Pasażu. Lis przytomny, przysłuchiwał się tylko. Ja opowiadałem, jak to sobie poczynaliśmy, a myśl o Krzyżu Walecznych mnie nie opuszczała; żeby jakoś mu o tym przypomnieć. Jak tylko „szafa" chrząknęła sześć razy, rozmowy urywały się, aż sześć eksplozji szarpnęło powietrzem. Wtedy dopiero spływało na nas poczucie ulgi. Jeszcze raz się udało. Ciesząc się, że nas rakiety ominęły, trudno było jednocześnie współczuć tym, na których spadły.

O jedenastej rano postawili mnie przy zdechłym koniu, drugi i ostatni raz Choć koń już śmierdzi, much nie ma - albo pouciekały ze strachu, albo pozdychały od huku. Z tego stanowiska widać jakby korytarz: na lewo ściana Pustego Domu, na prawo Pasaż; wszystkiego dziesięć kroków pomiędzy Niemcami a nami. W głębi dwie arkady i nasza stara barykada, a za nią wąska przestrzeń między Arsenałem i zgliszczami szopy, gdzie Reniek zastrzelił żandarma. Tu, gdzie stoję, przed tygodniem Tom dostał w brzuch. Kobuz zarobił kolczyk w ucho, stąd Jur tego samego dnia zastrzelił esesmana.

Tydzień pracy żołnierza Starego Miasta to 168 godzin, bez mała 700 kwadransów, a ile minut! A gdy pruli po mnie z kaemu, to już nie minuty, ale i sekundy się dłużyły. Tydzień temu byłem jeszcze dziecinny w porównaniu z mężczyzną, którym teraz jestem.

Teraźniejszość pochłania mnie bez reszty i ani mi przyszło do głowy pisanie pamiętnika dla potomności. Nawet gdyby ktoś mi poradził - pisz, i tak uważałbym, bez względu na to, który to był dzień Powstania, że już za późno, że wszystko, co najważniejsze, co warte zanotowania, jest poza mną. Pisać pamiętnik, choćby pięć minut dziennie, to pięć minut stracone dla życia, a może i dla ratowania życia. Teraźniejszość można było sobie przedstawić w postaci wąskiej jak klinga miecza smugi oślepiającego światła, sunącej coraz to szybciej i szybciej przez obszar absolutnej ciemności, ukazującej na moment coraz to inne twarze, konfiguracje, widnokręgi, kontury. Gdy tylko policzki przestawały piec i puls wracał do normy, wydarzenie zapadało się w przeszłość, podobnie jak przy nowym obrocie ruletki, poprzedni przestaje się liczyć. Im dłużej trwało

Powstanie, tym trudniej było wyobrazić sobie jego koniec, choć niemal każdy dzień wydawał się przedostatnim. Tyle wrażeń, obrazów nakładało się nieustannie i pod takim ciśnieniem, że początek zamazywał się we mgle oddalenia. Jakby to nie ja, ale mój brat bliźniak kiedyś walczył na Woli.

Wojny nawet z ekranu nie znałem, gdyż zgodnie z kodeksem obyczajowym polskiej inteligencji przez całą okupację nie poszedłem do kina. Nie widziałem żadnego reportażu z frontu, a więc na Powstanie wybrałem się nawet wzrokowo nieprzygotowany. Bardzo się zmieniłem od czasów Woli, jakbym przeskoczył z przedszkola do uniwersytetu. Gdyby jeszcze raz przyszło nam walczyć o Chłodną, takimi żołnierzami, jakimi teraz jesteśmy, wstrzymalibyśmy te parę czołgów i batalion kryminalistów SS, grając w brydża. Wychodzący zajmowaliby się obroną. Miał rację piegus w granatowej cyklistówce, śp. ppor. Kenar, wyzywając nas od harcerzy.

Po godzinie wpatrywania się w ściany drgające rozpalonym powietrzem głowa się kiwa pod ciężarem hełmu, powieki opadają, nie jestem w stanie nawet śmierci spojrzeć prosto w oczy. Gdybym wierzył, ze to pomoże, pomodliłbym się, aby mi się jaki Niemiec nieopatrznie wychylił.

Od dwóch tygodni nie zdjąłem mych mundurów - wełnianego i wodoszczelnego. Na stanowisku bojowym odwiązuję tasiemki bluzy, odpinam oba rozporki, wełniany i wodoszczelny, co nawet w regularnym wojsku mieści się w kategorii tak zwanych ulg marszowych.

Cień Pustego Domu rośnie, obraca się jak wskazówka zegara, aż zakrywa moje stanowisko.

W chwilach ostatecznego wyczerpania upałem, gdy wełna jak mokra szmata oklejała mi ciało, rozważałem wyrzucenie uniformu Luftwaffe. Nie doszło do tego z dwóch powodów: z sentymentu - bo był moim pierwszym żołnierskim mundurem, wyróżniał się elegancją i zaraz by go ktoś inny wziął - oraz ze względów praktycznych, potrzebowałem kieszeni na złoto i portfel z dokumentami. Za miesiąc, dwa - myślałem - rozpoczną się jesienne pluchy, jeden mundur będzie mnie grzał, drugi służył za parasol.

Kobuz zaszedł, obchodząc stanowiska. Marian zajrzał. Cień Pustego Domu nadal się przekręca w lewo i pożółkłe już słońce wysuwa się tym razem ponad wschodnią krawędź wypalonego Arsenału. Zdechły koń znowu znalazł się w paśmie światła. Nic się nie dzieje, więc odpędzam senność i zabijam czas rozmyślaniem.

Patrzę na usypisko w bramie Pasażu. Czy kiedykolwiek odkopią powstańców poległych przy dziale? Albo... wrócę tu po wojnie, stanę pod arkadą Arsenału, tam gdzie leżał SS-man, spojrzę ku Pasażowi.

Puszczam wodze fantazji. Oto po wojnie jestem w Jugosławii, w Istambule, idę pod Łukiem Tryumfalnym, jachtem objeżdżam wyspy Polinezji. Ale w chwili gdy pomyślę, że stoję pod arkadami Arsenału, wyobraźnia utyka. Tak nierealną jest myśl, że kiedykolwiek może nie być Niemców w Arsenale. Wydaje mi się, że nawet gdy wojna się skończy, ziemia pomiędzy Arsenałem i Pasażem pozostanie na zawsze niczyją i strzały nigdy nie ucichną.

Promienie biją prosto w oczy i nic nie widać w głębi pod arkadami. Może właśnie tak Toma zaskoczyli. Przesuwam się na bok, do cienia. Mam wprawdzie mniejsze pole widzenia, ale i mnie trudniej dostrzec.

Na Sali Obrabiarek rozmawiają o trzech przedwojennych kapralach, którzy zdezerterowali. Zostali pojmani i rozstrzelani. Nikt sobie dokładnie nie może ich przypomnieć. Wydaje się mało prawdopodobne, aby Polacy rozstrzeliwali Polaków w takich czasach. Prawdą jest, że spośród tych, co zakosztowali służby w regularnym wojsku i brali udział w normalnej wojnie, wielu patrzy na to, co się tutaj dzieje, wciąż jeszcze własnym oczom nie wierząc.

Wypoczynek na Sali Obrabiarek zakłóca widmo wroga zewnętrznego i wewnętrznego. Ten ostatni czyha na każdy moment nieuwagi, chwilę zapomnienia, zwłaszcza gdy twe zmysły sen zamroczy, i kradnie. Zaswędzi cię w uchu, podrapiesz się nabojem karabinowym z braku wykałaczki, zapałki czy patyka, położysz go, obrócisz głowę, by sprawdzić, skąd się bierze jakiś nagły hałas i nabój już zniknął. Rozglądasz się za złodziejem - wszędzie dokoła uczciwe twarze gotowe oddać życie za ojczyznę. I tak cokolwiek spuścisz z oka, przepada. Byłby to wystarczający powód do spania w butach, nawet gdyby wróg zewnętrzny był dalej. Ładownice, manierkę, plecak, hełm, wszystko trzeba mieć nieustannie na sobie lub przy sobie. Bluzy panterki też nie zdejmuję, choć tutaj powody są inne. Jest to bowiem operacja skomplikowana i mozolna. Zaczyna się od ściągania przez głowę. W połowie drogi należy się zatrzymać i już po ciemku uwolnić ręce, zsuwając z przegubów ciasne gumowe zaciski, zapobiegające ściekaniu wody deszczowej pod pachy. Następnie chwycić grzbiet bluzy palcami, które są już wewnątrz rękawa, i dokończyć dzieła. Czas potrzebny na wykonanie tego zabiegu jest wielokrotnie dłuższy niż zajmie Niemcom przeskoczyć z

Pustego Domu do Pasażu. Usiłowałem spać w hełmie, nie tyle dla ochrony przed odłamkami, bo głowę zawsze wsuwałem pod obrabiarkę, ile z obawy przed kradzieżą. Zawsze kończyło się bólem karku. Rzemień karabinu okręcałem dookoła szyi, kolbę wkładałem pomiędzy nogi; budziłem się, ilekroć drzewce wyślizgnęło się spomiędzy kolan. Próbowałem i tak: odpiąć olbrzymi rozporek panterki, wsunąć lufę w nogawkę, ile się da, lecz pomysł okazał się nieudany - zabezpieczał wprawdzie przed kradzieżą, ale kolba zawadzała pod brodą, nogi zgiąć nie było można.

Moim sąsiadem, materac tuż obok, jest Jasio Sokół, człowiek zupełnie pozbawiony pewności siebie. Spóźniliśmy się obaj i dlatego mamy legowiska w pierwszej linii, od strony Pustej Sali i wielkiego okna. Jasio nie potrafi ukrywać swych myśli i od czasu do czasu coś mu się wymknie. W ten sposób dowiaduję się, co inni potajemnie sądzą o naszej sytuacji. Wzajemnie pomagamy sobie w pilnowaniu rzeczy, gdy jeden się kręci po sali, drugi uważa. Nie można stale chodzić z plecakiem i w hełmie, trzeba by kark czasem odpoczął i włosy wyschły. Sypiałbym mniej nerwowo, gdyby mój materac znajdował się kilkanaście kroków w głębi, u wierzchołka trójkątnej sali i to nie tylko z racji większej odległości od Niemców, ale także z powodu mniejszych możliwości kradzieży. Wierzchołek kończył się ślepo, za to u podnóża trójkąta, gdzie miałem legowisko, przewijało się mnóstwo łączników, żołnierzy z innych kompanii, a nawet cywilów, których pewna ilość biwakowała w podziemiach Pasażu.

Po surowym krajobrazie i nieskończoności Harcowiska Granatników wkracza się na Salę Obrabiarek jak do oazy. Pierwsze, co przykuwa wzrok z parapetu wielkiego okna, to kocioł w rogu po lewej. Paruje, dymi i bulgocze. Aby obsłużyć stu ludzi, kucharz Ukrainiec pracuje na trzy zmiany.

Nad nami wiele pięter żelbetonu. Więc nawet głośny warkot samolotu nie przerywa zwykłych zajęć: dyskusji, szkalowania bratnich oddziałów, omawiania wiadomości, czytania i zastanawiania się. Wszędzie trzeba się kryć i przekradać, tylko po Sali Obrabiarek można jeszcze chodzić.

Od kilku dni w chwilach wolnych, gdy nic innego nie przyciąga mej uwagi, myślę o kanale, albo lepiej, borykam się z problemem kanału. Na dźwięk słowa kanał rozmowy na inne tematy ustają. Czytelnictwo prasy powstańczej podupadło, zastąpiło je gadanie o kanałach. Ten na Żoliborz to jest zasypany, to znów jest odkopany, to zaminowany, to odminowany, wysadzony, nie wysadzony, zatopiony... i tak w

kółko. Bez przewodnika się nie obejdzie. Inni znowu powiadają, że samemu można przejść, prosto jak strzelił. Potrzebne latarki elektryczne, świece, zapałki. Niedawno jeszcze mnóstwo ich się walało po kątach, ale nie pomyślałem o czarnej godzinie. Teraz bateria do latarki jest skarbem. Nie mówiąc o tym nikomu, doszedłem do wniosku, że do kanału nie zejdę.

Wyobrażam sobie niski, okrągły loch czy zwykłą rurę i ciemność bez końca. Przygięty lub na czworakach posuwam się w płynnym gnoju... gdzieś w oddali ciemność się rozjaśnia. Jakieś błękitne światełko rośnie i rośnie jak zorza wśród nocy polarnej... benzyna. Rzucamy się w tył do ucieczki, ślizgamy, potykamy o słabszych, nurzamy się w gnoju, a płomień nas dogania. Albo wejdę w boczne odgałęzienie kanału, zgubię się i szczury mnie oblezą.

Więc wciąż zastanawiam się nad innymi sposobami ocalenia. Na przykład przebrać się za cywila... odrzucam tę myśl, nie rozstanę się z bronią, zresztą mężczyzn pewnie rozwalą. Przekraść się samemu przez linię niemiecką ostatniej nocy? Sam nie odważę się, ale z Edkiem bym zaryzykował. W końcu wpadam na lepszy pomysł, zamelinuję się w jakimś zburzonym domu, w szczelinie pomiędzy blokami muru, gdzie nikt nie odważy się szukać. Wiele razy wyobrażam sobie taką scenę: powstańców już nie ma. Noc, cisza. Sam, ukryty w szczelinie. Światło dnia zaczyna się sączyć. Nagle znajomy wrzask:

- *Rrraus, rrraus, alle raus!*

Na samą myśl o tym zapiera mi oddech... Przytłumione eksplozje, rzucają granaty do piwnic dla zachęty, aby prędzej wychodzić. Tupot nóg... pojedynczy suchy trzask rewolwerowych strzałów... dobijają rannych... krzyk... niezrozumiałe szczekanie... Serie pistoletów maszynowych... rozwalają podejrzanych... Przycicha... kroki, głosy... przeszukują ruiny... eksplozje granatów... czasem krótka seria... pojedyncze strzały.

Wiele zależy od tego, kto przyjdzie i kiedy: policja, SS, własowcy czy Wehrmacht. Najlepiej będzie, jeśli wejdą o świcie po spokojnej nocy. Pokręcą się dzień, dwa, pójdą dalej, a ja wyjdę z kryjówki, nocą przekradnę się do Kampinosu albo zaczekam na Rosjan. W niewypalonych piwnicach jakieś jedzenie chyba się znajdzie.

Dobrze by było zwierzyć się komuś, kto umie trzymać język za zębami, dwóch się może prześlizgnąć, całą gromadą wpadnie się. Łatwo przerzucam się z jednej krańcowości w drugą. Raz myślę, że dowództwo Starego Miasta, Komenda Główna AK, Rząd Londyński,

Anglia, Ameryka zrobią coś, by nas ocalić, bylebyśmy wytrzymali jeszcze parę dni. Potem znowu rozum mi mówi: „ratuj się kto w Boga wierzy".

Przez pierwsze dwa, trzy dni po upadku Arsenału na Sali Obrabiarek przeważała atmosfera jak w rodzinnym grobie. I na śpiewanie nikomu się nie zbierało, nawet głosu nie podnoszono, jakby z obawy, że Niemcy mogą usłyszeć. Duch się wzmocnił, gdy się okazało, że Niemcowi, choć on straszny, powstaniec zdzierży, a ich armaty Pasażu Simonsa nie skruszą. Stopniowo ożywiło się i poweselało, piosenki wróciły, ale „Żołnierz drogą maszerował" nie odzyskał swej dawnej popularności. Za to repertuar wzbogacił się o stare melodie.

„Ułani, ułani, malowane dzieci...", „Ty pójdziesz górą, a ja doliną, ty zakwitniesz różą, a ja kaliną...", „O mój rozmarynie rozwijaj się...".

Przypomniało mi się, jak to dzieckiem będąc, nie rozumiejąc słowa rozmaryn, śpiewałem „o mój los Maryje", nie wiedząc, o co chodzi.

Koncerty odbywały się nawet za dnia, jeśli natężenie pracy opadało, ale najlepszy nastrój stwarzało nadejście szarej godziny. Wielkie okno było głównym źródłem światła na Sali Obrabiarek. Gdy tylko słońce zeszło nad Arsenał, ogromny cień Pasażu kładł się na przyległe ruiny i jeszcze przed zachodem słońca robiło się mroczno pomiędzy maszynami. Zwykle jeden grał na organkach, czasem jeden, najwyżej dwóch zaśpiewało półgłosem, rzadko kiedy kto dołączył z sali.

Nasz repertuar bywał dodatkowo wzbogacany o wiedeńską operetkę w wykonaniu powstańca z zadartym nosem. On śpiewał, a inny grał Juliszkę, czy też na odwrót.

Die Julischka, die Julischka aus Buda - Budapest,
Die hat ein Herz aus Paprika das keinem Ruhe lässt
Und wenn die schöne Julischka am Abend schlafen geht,
Dann hat sie mit Allotria die Köpfe all' verdreht.
Joj, joj. Mama, was die alles macht,
Erst macht sie alle ganz verrückt,
Dann sagt sie „gute Nacht".

Leżąc z zamkniętymi oczami nieraz odgadywałem, co tam, po drugiej stronie, myślą słuchając niemieckiej piosenki ze słowiańskim akcentem.

Im bardziej mi się melodia podobała, tym więcej myślałem o śmierci i mniej jej się bałem. I wyczekiwałem, i jakbym się obawiał tych koncertów. Sprowadzały jakąś słabość i niepokój różny od codziennego strachu. Może przypominały, że życie nie polega

wyłącznie na tym, by nie dać się zabić.

Jeśli nie musiałem czuwać, zapadałem w krótką drzemkę. Był jakiś balans pomiędzy zmęczeniem i strachem. Zmęczenie narastało, przechylało szalę ku sobie i zasypiałem. W miarę jak wypoczywałem, szala przechylała się na stronę strachu, budziłem się. Zdawało się, że czasem sen trwał kwadrans i dłużej, kiedy indziej dobrze, jeśli minutę.

W miarę jak inni padali, nabierałem coraz więcej przekonania o własnej nieśmiertelności, ale wystarczyło jakieś drobne wydarzenie, czyjeś słowo i znów przychodziła myśl: kiedy moja kolej.

Na wieść, że bomby spadły na plac Krasińskich, pomknąłem do Kościoła Garnizonowego. Gdy wróciłem z dobrymi wiadomościami - że wszyscy „zdrowi", Lis czuje się lepiej - Kobuza już nie było. Dostał z granatnika między Pasażem a oficyną. Z dawnej kompanii Wiernego pozostali Wilit, Pietrek, Cygan, Jabłoński, Góral, Ochotnik, Jasio, Maniuś, Zosia Kos i Wanda Żydówka.

Poza obu dziewczynami, które wciąż biegając z meldunkami, mało zagrzewały miejsca, tyle że spały obok nas, byłem jedynym inteligentem z pochodzenia. Nie licząc mnie, wszyscy pozostali byli ranni, niektórzy kilkakrotnie. Wilit raz kulą w nadgarstek i dwa razy z granatnika. Drasnęło nawet Maniusia, który, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, wyraźnie był z tego zadowolony. W kompanii, poczynając od ppor. Mariana, prawie każdy był już gdzieś obandażowany. Granatniki przysparzały najwięcej ran, straty od nich dałoby się zmniejszyć zabraniając kręcenia się poza służbą. O ile pamiętam, ktokolwiek odwiedzał szpitale, miał jakieś przygody z granatnikami.

Po upadku Arsenału cały oddziałek Wiernego, wciąż przesadnie zwany plutonem, pracował pod dowództwem Kobuza na tej samej zmianie, chyba że okoliczności nie pozwoliły. Dzięki temu po służbie, po wielogodzinnym niewidzeniu się, wszyscy spotykaliśmy się na Sali Obrabiarek.

Zwykle przydzielano mi za towarzysza kogoś mniej doświadczonego lub po prostu młokosa z dawnej kompanii Lisa. Z innymi zdaje się było podobnie, choć Cygan i Pietrek często stali razem. W trudniejszych chwilach chciałem być blisko Wilita, Ochotnika, Małego, Jabłońskiego. Później zauważyłem, że i do mnie niektórzy powstańcy garnęli się w niebezpieczeństwie.

Do dziś nie wiem, czy mniej się bałem od innych, czy tylko lepiej udawałem. Nie mogłem sobie wyobrazić, bym został ranny, podobnie

jak niektórzy ludzie nie mogą sobie wyobrazić, że świat będzie istniał bez nich. Pomimo tej pewności bytem pedantycznie ostrożny. Wybierałem starannie miejsce, gdzie stać, tu czy o pół kroku dalej; dokładnie planowałem, jak ustawić meble. Nie wszyscy powstańcy, nawet najbardziej otrzaskani z walką, byli aż tak zapobiegliwi. Zachowywałem się jak linoskoczek przed występem lub odpowiedzialny i doświadczony chirurg, który nie pominie niczego, by zwiększyć szansę pacjenta.

Sam widok złocistej łuski z grzechoczącą w środku kulą (a nie było takiego, komu bym jej nie pokazał), nie mówiąc już o innych podbramkowych sytuacjach, z których wyszedłem bez utraty kropli krwi, utwierdzał przesądnych w przekonaniu, że tam, gdzie ja stoję, śmierć nie ma przystępu.

Nagle o zmroku przeraziła mnie myśl, że Niemcy chcą nas zabić i że są tak blisko. Umrę, myślałem, umrę, umrę... i to słowo nie opuszczało mnie ani na chwilę i im dłużej się obracało w mym umyśle, tym mniej je rozumiałem. Patrzyłem po twarzach kolegów dopatrując się trwogi. Czy aby nie uciekną? Obawiałem się zasnąć, na wpół drzemiąc, coraz to otwierałem oczy, by sprawdzić czy wciąż są. Ale powstańcy jak zwykle snuli się pomiędzy maszynami.

Wilit wydobył butelkę koniaku i obchodził wszystkich od Wiernego, nalewając każdemu po dobrym łyku do szklanki. Maniuś też się upomniał i po targach dostał, ale tylko łyżeczkę od herbaty z uwagi na to, że alkohol dla dzieci jest niezdrowy. - Jak będziesz pił, to nie urośniesz - wyjaśnili mu. gdy się stawiał. Zrazu myślałem, że Wilit mnie pominie. Nikt nie wiedział, że ja też miałem litrówkę w plecaku, którą postanowiłem wyciągnąć do podziału przy następnej okazji. Fakt, że się jeszcze zachowała, dowodził, jak dobrze strzegłem swego plecaka. Odtąd Wilit każdego wieczora i rana rozlewał koniak z ukrytych, prywatnych zapasów.

Przypuszczałem, że Marian wyznaczy następcę Kobuza. Jako kapral byłem najstarszy rangą. Oczekiwałem więc jego decyzji z pewnym napięciem i z zadowoleniem przyjąłem, że nie podjął żadnej. Nie potrafiłbym rozkazywać, a byłbym upokorzony, gdyby mianował kogoś innego.

Rysiek Jabłoński wyrwał mnie z apatii wciągnąwszy w rozmowę na temat łucznictwa. Spędziliśmy sporo czasu, nie pierwszy raz, dyskutując o zasadach celowania, poprawkach na wiatr, a nawet o przydatności łuku w warunkach bojowych Starego Miasta. Rysiek uważał, że wykieruje mnie na pierwszorzędnego łucznika.

Najważniejsze - mówił - to nie mieć nerwów, tak jak ty. Niewielu interesuje się tym sportem, łatwo dostać się do narodowej drużyny i zwiedzać świat za darmo, jeżdżąc na międzynarodowe turnieje.

Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że matka Ryśka była Niemką. On sam. choć urodził się w Niemczech i władał językiem jak Niemiec, odmówił podpisania volkslisty. W ich mieszkaniu oddział Wiernego przechowywał broń. W czasie, gdy Rysiek walczył na Starym Mieście, żandarmeria AK na Sadybie Czerniakowskiej zastrzeliła jego ojczyma, matkę i trzynastoletnią przyrodnią siostrę. Z łuków przerzuciliśmy się na tematy bardziej ogólne, jak to się będzie podróżowało po wojnie w Tatry i dalej. W czasie wojny Polakom, poza innymi utrudnieniami życia, nie wolno było jeździć w góry na narty. Ochotnik uważał, że najlepiej mercedesem, zdobycznym, poniemieckim i wprosił się na trzeciego jako szofer i mechanik. Inni byli zbyt zajęci chwilą obecną, by wdawać się w rozmowy na tematy powojenne, a może ich plany nie sięgały dalej poza spokojne życie na Sadybie. Rysiek, ze dwa lata starszy, zaprosił mnie do swego domu na współlokatora, na wypadek gdyby mój został zniszczony, a nawet gdyby zachował się.

O jedenastej wieczorem byliśmy z powrotem w składzie kafelków. Marian zdecydował, że zmiana przyjdzie dopiero następnej nocy. Doba bez snu. Za widna obstrzał z broni maszynowej przez dziurę na wprost Pustego Domu, która znowu się powiększyła, wielce utrudniał dojście do domu pod numerem 44/46. Muszka i ja zasiadamy rześcy na krzesłach poza barykadą, przeskakiwanie na wprost lufy kaemu, nawet po ciemku, wybija ze snu.

Wkrótce zmęczenie wraca, już drugą noc wpatruję się w zakratowane drzwi sklepu, których zarys ledwo widać. Za dnia natężam uszy, by wyłowić słowa spośród huku, za to gdy nocą przycicha, słuch tak mi się zaostrza, że coraz to coś słyszę, czego inni nie słyszą. Kazałem Muszce położyć się na materacu, za godzinę go obudzę, dam mu karabin, a sam oprę się o ścianę. Wskazówki zegarka widać w odbitym świetle rakiet wpadającym przez drzwi z Harcowiska Granatników. Poczucie czasu nocą wypacza się, nawet gdy nie strzelają. Kiedy byłem żółtodziobem, nieraz zdawało mi się, że dwa kwadranse przeleciały, a to już minęła godzina. Teraz na odwrót, myślę: dzięki Bogu, o jedną godzinę bliżej do świtu, jakby po dniu można było oczekiwać czegokolwiek dobrego. Przykładam zegarek do oka, chyba kurz dostał się do trybów, tylko 10 minut minęło? Przykładam do prawego ucha. Tyka?

Nie tyka? Z rzadka, gdy górą pomknie rakieta lub dogasający dom rozgorzeje, wyraźnie widzę, jak u wylotu tunelu, zakratowane wejście do sklepu po przeciwnej stronie ulicy. Wypatruję ludzkiej sylwetki za kratą.

Aby przerwać monotonię nocy, zaczynam myśleć, jak to kiedyś będę opowiadał o moich przygodach w Powstaniu i już wkrótce w wyobraźni rozmawiam z Ryśkiem Z., kolegą szkolnym, który mi zawsze imponował. W piłkę nożną grał na środku ataku, a ja, by dostać się do drużyny, musiałem przez rok praktykować, kopiąc piłkę lewą nogą o ścianę, nim mnie wystawili na lewe skrzydło i to z braku lewonogich. Rysiek zbierał same czwórki od niechcenia, przeskakiwał długi kozioł jednym susem, do czego się nie zabrał, dobrze mu szło... Musiałem zasnąć, tracę równowagę, prostuję się, serce wali, wytrzeszczam oczy na zakratowane drzwi. Kark mam jak z wosku, zdejmuję hełm i kładę na krześle obok. Wkrótce znowu gawędzę z Ryśkiem, uważając by się nie zapomnieć. Jakbym prawym okiem widział drugą stronę Długiej, a lewym Ryśka.

Zamykam oczy, by dać odpocząć powiekom, liczę do trzech i otwieram, nic się nie może stać w ciągu trzech sekund. Otwieram, zamykam, liczę, otwieram... Więc mówię Ryśkowi, jak sześciu Niemców leżało na Nalewkach, a jeden się podniósł. Konar przybiegł i chciał go dobić... potem „goliat" pędził zygzakiem... sufit zaczął pękać, wybrzuszył się na mnie i dzień obrócił się w noc... potrząsam łuską, a kula grzechocze w środku...

Rysiek z niedowierzaniem unosi cienkie brwi ponad drucianą ramę okrągłych okularów. Broda mu się marszczy i podciąga ku górze; kołysze się w biodrach górną połową ciała, jak odwrócone wahadło, co zwykł robić, gdy udawał wielki podziw. Poznaję po oczach, że naprawdę jest zdumiony, że tego po mnie nie oczekiwał...

Znowu spadam z krzesła, strąciłem karabinem kilka kafli, serce mi wali dziko, wystraszyłem się hałasem, wstaję. Muszka ani się poruszył. Uspokajam się i senność wraca. Stoję czas jakiś, aby nie usnąć. Te rozmowy z Ryśkiem niewiele pomagają, ale swoją drogą, gdy usłyszy o moich wyczynach, uzna mnie za równego, oko mu zbieleje. W całej kompanii Lisa nikt tak się o śmierć nie otarł, jak ja... A skąd miałem wiedzieć, ze Rysiek jeszcze lepiej o nią się otarł? Gdybym się zawsze nie śpieszył do dziewczyn na plac Krasińskich i odszukał na Hipotecznej rodziców dwumetrowego Jurka G. zwanego Tyką, przyjaciela Ryśka, dowiedziałbym się, że Rysiek i Tyka polegli na Woli.

Ilekroć tracę panowanie nad sennością, wstaję, a gdy nogi się zmęczą, siadam. Wbijam paznokcie w policzki, w ucho, szczypię się w udo, ale senność powraca, jak tylko ustaje ostry ból. Strach też czasem trzeźwi mnie na krótko. Jeśli zdrzemnę się, Niemiec stanie w oknie i popruje z peemu albo wejdą od Harcowiska i strzelą mi w plecy.

Więc zmieniam temat na dziewczyny... jakby to one wyglądały nago. Poprzednich nocy wyobrażałem sobie te, które znałem przed Powstaniem, ale już mi się znudziły, już mnie więcej nie orzeźwiają. Więc myślę o Wandzie, Zosi z blizną na szyi. Zosi Kos, Sylwii.

Pozwalam im się rozbierać powoli, a sam zerkam przez dziurkę od klucza zgadując, która to jest. Widzę skrawek ciała zaokrąglony, biały, biodro, a może pierś. Ciemne pasmo opalenizny. I tak na przemian, to widzę dziurkę od klucza, to okratowane drzwi sklepu, to okratowaną dziurkę od klucza. Któraż to też jest... Wanda Żydówka ze smolistymi brwiami...? Tak blisko, że widzę pory skóry... porusza się to w tę stronę, to w tamtą, pewnie nago stoi przed lustrem i robi wygibasy... nie śpieszę się z odgadywaniem, bo jeszcze dużo nocy zostało... a oto twarz przemknęła, zagapiłem się, nie poznałem.

Tracę równowagę, przytomnieję i widzę kratę. Znowu zasnąłem, podglądanie dziewczyn nie pomaga. Jedyne, co osiągnąłem, to że mi kutas stoi. Więc zaczynam się nim bawić, myśląc o Zosi z blizną na szyi, która bezpiecznie śpi na Sali Obrabiarek, o ile nie roznosi zupy. Pomaga!... głowa sterczy prosto w górę, powieki nie opadają, oczu nie zdejmuję z kraty... idę z Zosią polną ścieżką, wije się w prawo, w lewo, owies, żyto, maki, chabry. Obejmuję ją w pasie, idziemy całując się, popycham lekko przed siebie, otaczam obu rękami pod piersiami, opieram twarz na jej karku i suniemy tak wolno, jakbyśmy stali... Otwieram oczy bez wysiłku i znów przede mną okno. a za nim drzwi i krata. System zdaje egzamin, jestem znacznie trzeźwiejszy, bylebym tylko nie przeciągnął struny... Popycham Zosię tam, gdzie pośrodku zielonej wyspy, wśród żyta stoi rozłożyste drzewo. Idziemy pochyleni, by nas kto nie zobaczy). Teraz ja przodem, rozgarniam rękoma zboże, jakbym płynął żabką. A oto już jesteśmy na miejscu, na zielonym ostrowie. Nikt nas tu nie dojrzy. Wokół las żółtej słomy, kołyszą się na wietrze kłosy, nad nami ciemny gąszcz liści, że i nieba nie widać; drzewo szumi, szeleści. Odpinam bluzkę, guzik za guzikiem, a ona wsparła się dłońmi o trawę, głowę opuściła, że i twarzy nie widzę. Kładę dłonie na jej plecy. Wtem dreszcz i spazm obejmują me ciało, na próżno wstrzymuję się całą siłą woli. Zieleń,

łan żyta, piersi - wszystko zniknęło... Przede mną prostokąt okna, skrawek muru i zakratowane drzwi do sklepu.

Okropne zmęczenie wraca, niemal tracę przytomność, patrzę i nie widzę... to słyszę, to nie słyszę chrupania od ulicy, chyba ukradkiem stąpają na palcach, podeszli pod okno i stoją. Wycelowałem, a nogą szturcham Muszkę. Siada obok mnie na krześle, obaj nadsłuchujemy, nic się nie dzieje. Daję mu karabin, a sam opieram się o framugę drzwi i zamykam oczy.

Szarzeje, idę do kuchni za piec za potrzebą, czyli jak to się na wsi mówi, za stodołę. O tej godzinie jest zbyt jasno, by próbowali zaskoczyć nas nocnym atakiem, a za ciemno na zsynchronizowane natarcie piechoty i artylerii.

Każdego ranka na strasznie błękitne niebo wytacza się zwiastun śmierci -słońce. Brzmi to może przesadnie, ale pomyśleć, o ile dłużej trwałaby nasza obrona, gdyby nad Starym Miastem wisiały nisko ciemne, deszczowe chmury i lało z nieba, jak to się często dzieje latem. Ogień szerzyłby się wolniej, sztukasy by niedowidziały i czasem rzuciły bomby na swoich, a heinkle w ogóle w bitwie nie brałyby udziału. Ale za to nikt by nie uszedł kanałami.

Nocą, półprzytomny i w trzech czwartych głuchy, wzdychałem do światła dziennego. Teraz, o świcie, zgodziłbym się, by przyszło zaćmienie słońca i szara godzina została na zawsze. Oczywiście, takie myśli nie zaprzątają mi zbytnio głowy jako niepraktyczne. Dzień po dniu wychyla się słońce za plecami spoza ruin od strony placu Krasińskich i skręca w prawo. Dostrzegam je znowu, gdy przede mną schodzi nad Arsenał. Gdzie promień słońca sięga, tam i pocisk może spaść, więc pomimo pięknej pogody żyje się w cieniu. Narodziny dnia anonsują granatniki razem ze snajperami. Zapewne Niemcy pożywiają się i w ten sposób dają do zrozumienia, żeby im nie przeszkadzać.

U góry piwnicznych schodów ukazuje się młody mężczyzna o śniadobladej twarzy, wpadniętych oczach i wystających kościach policzkowych. W tyle stoją inni. Wiem, że chcą sprawdzić, czy tu jeszcze jesteśmy i zasięgnąć języka, a raczej wyniuchać, czy się aby ukradkiem nie wycofamy. Chodzi o to, aby w porę wywiesić białą flagę, zanim Niemcy tu wpadną - to podobno ma pomagać. Wciąż się słyszy, że cywile wyczekują okazji, by przejść do Niemców, za pazuchą każdy ma w pogotowiu biały ręcznik albo ćwiartkę prześcieradła. Dni mijają i prawie słowa nie zamieniam z cywilami, bo tylko odważniejsi podsuwają się do punktu, skąd widać skrawek

nieba. Sam widok zwalonych ścian, wśród których żyli od lat, wystarcza, by ich z powrotem wpędzić na dno piwnicy. Jak ja mroku i ciasnoty podziemi, tak oni lękają się światła i otwartej przestrzeni, gdzie grasuje niewidzialna śmierć. Wprawdzie każdy pocisk, co uderza w dom, sypie pył także i na głowy cywilów, słyszą oni granatniki, czołgi, kulomioty z tej samej odległości co my, tylko o piętro niżej. Niemniej im dłużej trwało Powstanie, tym więcej nas dzieliło. Powstańcy nie mieli podstaw do złudzeń na temat tego, co ich czeka z rąk Niemców, cywile mieli.

Z tym mężczyzną o wystających kościach policzkowych już się znamy. Zwykle wysuwa się z piwnicy, gdy naokoło przycicha. Daję Muszce karabin i gawędzę sobie z nim... o głupcach, co wywołali Powstanie. Okazało się, że to bratnia dusza. Sam czytał „Kapitał" i Kautskiego. Raz nawet przyjął moje zaproszenie i siadł na krześle obok, za kafelkami, ale długo nie wytrzymał.

Wiele zależy od okoliczności, czy człowiek wyrośnie na żołnierza. Jeśli za pierwszym razem dostanie za dużą dozę strachu, to coś się w nim może złamać, nigdy nie zrosnąć i grzechocze do końca życia. Gdy zaś na odwrót, dostaje się strach w stopniowo zwiększanych dawkach, jak szczepionkę przeciw wściekliźnie, człowiek robi się twardy jak krzemień i miękki jak woda.

Pietrek i Cygan przybiegli z wizytą. Od paru dni stoją we czwórkę na stanowisku w bramie, ze czterdzieści kroków w tyle, po drugiej stronie usypiska, gdzie mnie zawaliło kilka dni temu. Myślałem, że przysłano ich, by wzmocnić załogę domu 44/46, mnie i Muszkę, ale okazuje się, iż zachciało im się pogadać. Sam nigdy bym nie ryzykował biegu przez Harcowisko bez wyraźnej potrzeby. Ile razy widzę ich hermy, zastanawiam się, czy jeden z nich nie jest moim, ukradzionym.

- Co ci to pomoże - powiada Pietrek, stukając palcem o wyważone drzwi, którymi zatarasowałem wejście od Harcowiska Granatników - każdy odłamek i tak to przebije.

- Masz rację - powiadam - ale zwolni i wejdzie w mięso o tyle płycej - i pokazuję mu grubość deski, między kciukiem a palcem wskazującym. Oczywiście, byli ciekawi, czy i jak się wybronię, gdyż już sobie wyrobiłem reputację kogoś w rodzaju krzyżówki chłopka roztropka z nieżyciowym filozofem. Odpowiedź podoba im się, nie oczekiwali, że się wywinę. Jeszcze jedna cegiełka do mojej sławy.

Pietrek i Cygan pomknęli z powrotem na swe stanowisko, okrążając zwalisko gruzu wokół bramy. Kiedykolwiek widzę kogo w

niebezpieczeństwie, nie mogę odwrócić głowy. Patrzyłem w napięciu, jak biegli. Tylu już kolegów straciłem. Na początku, gdy było nas wielu i znaliśmy się powierzchownie, dodawało uroku wojnie, kiedy ktoś został ranny, a nawet poległ. Później z każdym, który ubywał, narastał lęk, że zostanę sam.

Ze składu kafelków widać, jak się okolica zmienia z godziny na godzinę. Niektóre budynki wyróżniają się starożytnością, inne pociągają oczy elegancją, ozdóbkami. Większość jednak to zaniedbane, pospolite kopciuchy, a jeśli zwracają czym uwagę, to nieforemnością pomnożoną przez wielkość, jak Pasaż Simonsa. Odrapane ściany, brudne podwórka, zatęchłe korytarze, odpryśnięta farba, odklejone tapety. Ile piękna spod tej szarzyzny wojna potrafi wydobyć, ile niespodzianek! Luksusowy wielopiętrowiec z kolumienkami, windami, bidetami, obłożony sztucznym marmurem kopci się smrodliwie i kopci, a niepozorny piętrowy garbusek takim zionie ogniem, że przyćmi gwiazdy. I tak to monotonne zbiorowisko budynków, gdzie gnieździ się milion ludzi i miliony milionów pluskiew, pod dłutem żołnierza artysty przeradza się w oszałamiające bogactwem kształtów dzieło sztuki, w oczyszczony ogniem skamieniały las.

Jest spokojnie i nieraz mija pół godziny pomiędzy granatnikami, więc jest czas zastanowić się nad przyszłością. Różne zmory wiszą nad nami. Brak amunicji jest jedną z nich. Nikt nie wie, że pozostało mi przeszło sześćdziesiąt naboi, bo nie strzelam na chybił trafił i dlatego od walk o Arsenał nie strzeliłem ani razu. W ogóle nie wiadomo, ile kto ma amunicji. Z tego, co mówią, wynika, że znacznie mniej ode mnie, ale i ja przyznaję się tylko do połowy. Przed tygodniem poznałem dwóch powstańców z „Chrobrego", jeden miał holenderski karabin z dwudziestoma i jednym nabojem, a drugi włoski z siedemnastoma. Z taką ilością amunicji łatwo popaść w przesadną oszczędność i w ogóle nie strzelać, aż już będzie za późno, bo jak gospodarować siedemnastoma kulami do kapitulacji Niemiec, rosyjskiej odsieczy albo końca życia? Podobny los grozi każdemu, ponieważ nie ma żadnych zapasów.

Muszka obsługuje karabin, a ja przyglądam się bramie, w której nas obu zawaliło. Bloki muru leżą jeden na drugim. Przed wkroczeniem Niemców wdrapię się na gruz, ześlizgnę w dół w to samo miejsce, gdzie stałem, kiedy spadły bomby. Komu zechce się szukać w mroku pomiędzy wiszącymi stropami. Mam w plecaku puszkę konserw, cukier. Nocą, gdy nikt nie będzie widział, podrzucę

kilka butelek wody, może materac i koc. Po „oczyszczeniu" terenu Niemcy odejdą, a ja poszperam po piwnicach za jedzeniem.

Pomysł wydaje mi się znakomity do chwili, gdy zdaję sobie sprawę, że dom nie jest spalony, takie, oczywiście, nie nadają się na kryjówkę. Trzeba się rozejrzeć za czymś innym. A gdyby tak wykopać sobie jamę pod gruzem, wejście zarzucić śmieciami, ale jak zarzucić samemu będąc w środku?... Wtajemniczyć kogoś, cywila?... Tajemnica to połowa powodzenia. Toteż wielce zaskoczyło mnie, gdy Jasio pod koniec jeszcze jednej wymiany poglądów na temat kanałów, ni stąd ni zowąd odezwał się z sąsiedniego materaca, że może lepiej byłoby się schować w zawalonej ruinie. Muszę przyznać, od razu pomyślałem, że jeśli wszyscy to zrobią, nikomu się nie uda.

Ostatnio spokojniej u nas. Wprawdzie amunicja do piatów wyczerpała się, ale benzyny jeszcze trochę zostało. Czołgi nauczyły się moresu i nie podjeżdżają w zasięg rzutu litrówką. Wojna przerodziła się w pozycyjną i by oddać to, co się dzieje, trzeba się wciąż powtarzać. Łatwiej było opisywać bitwę za dawnych czasów i czytelnikowi przyjemniej się czytało: grenadierzy w niebieskich pantalonach i białych szelkach na czerwonych kurtkach biorą na bagnety kanonierów odzianych na czarno, huzarzy w żółtych czakach z pióropuszem umykają przed ułanami w pomarańczowych pantalonach... itp, itd.

Współczesna wojna ruchowa wprawdzie jest mniej barwna, ale też nieźle się o niej czyta. Czołgi rozjeżdżają kłęby drutu kolczastego, podpalone benzyną umykają jak żywe pochodnie, wylatują w powietrze na minach, samoloty spadają jak płonące komety itd.

Najnudniejsza w czytaniu jest wojna pozycyjna. Śmierć jakby włożyła czapkę niewidkę. Nie widać jej, gdy się zbliża. Widać tylko, kiedy uderza i to nie zawsze.

Dawniej grozę budziły odrąbane ręce, nogi, głowy, pierzasta strzała tkwiąca w piersi. Teraz człowiek zabity często wygląda tak samo jak za życia, tylko że blady. Nieoczekiwanie powietrze pęka nad głową lub ziemią pod nogami jak w wojnie duchów. Jak to opisać i nie zanudzić czytelnika? Z jednej strony nie można przecież przypominać mu raz po raz, że kulomioty i pistolety maszynowe biją bez przerwy, podobnie jak w powieści z czasów pokoju zbytecznym byłoby częste podkreślanie faktu, że bohater odżywia się cztery razy dziennie, oddycha szesnaście razy na minutę i tak dalej. Z drugiej strony, jak nie przypominać? Gdyby nie kule, byłyby to manewry albo majówka.

Ktokolwiek opisuje współczesną wojnę, potyka się o ten sam problem i dlatego autorzy wymyślają najróżniejsze czasowniki, by czytelnika nie zanudzić powtarzaniem. W książkach karabiny maszynowe, poza zwykłym strzelaniem, ostrzeliwują, wstrzeliwują się, strzelają rzęsiście, poza tym terkoczą, grzechoczą, turkoczą, klekoczą, prują, biją, koszą, szczękają, szczekają, ujadają, wściekle odszczekują się, grają, stukają, wystukują, jazgoczą, szyją kulami, plują ołowiem, omiatają ogniem, prażą, prażą aż miło (jeśli nasze), zaklaszczą znienacka i zagdaczą, gdy trzeba. Inne bronie też mają własne głosy, jak i wszystko, co żyje. Pocisk granatnika spada bezszelestnie jak jastrząb. Jeśli nie stoisz zbyt blisko, poznasz go po szSZSZ w momencie, gdy uderza. Tamten znowu pocisk oznajmia swe zbliżanie dudnieniem, jakby zwierz jaki galopował po niebie. Sześciopalcowa wyrzutnia wpierw porykuje głosem ochrypłej krowy razy sześć. Po kilku sekundach, jeśli rakiety lecą nad tobą, posłyszysz delikatne świergotanie z wysokiego nieba, a na końcu klap klap klap klap klap KLAP. Jakby trzasnął drzwiami razy pięć, a za szóstym zastrzasnął. „Gruba Berta" wyje głosem nie do opisania, przypomina miczurinowską krzyżówkę - karetki pogotowia z hipopotamem. Nigdy nie słyszałem hipopotama, ale zobaczywszy, jak się rozdziawia, aby połknąć bułkę, można sobie wyobrazić, jaki gruby ma głos. Pocisk „Berty" zniża się i cichnie na moment. Jeśliś niedoświadczony, pomyślisz: niewypał. Nagle strzępy domów i odłamki wzbijają się pod niebo... świszcze, gwiżdże, brzęczy, rzęzi, furkocze, jakby to nie pocisk, ale fortepian spadł z nieba.

Wszystko, co lecąc wyje i bulgocze, mało mnie obchodzi - im głośniej, tym mniej, bo spada na centrum Starówki. Za to warkot motoru „podrywa mnie na nogi". Tu, w narożnym domu, jestem zdany na słuch. Zwykle łatwo odróżnić, kto obsługuje kaem. Jeśli idzie seria przez ćwierć minuty, to jasne, że to musi być ktoś zasobny w amunicję. Podobno erkaem podskakuje przy dłuższej serii i trudniej wtedy wstrzelać się, dlatego najlepiej bić krótkimi seriami, im krótsze, tym celniejsze. Wprawny Niemiec muśnie cyngiel i dwie, trzy kule wylecą. Niewprawny powstaniec, nim zdąży palec od cyngla oderwać, popruje sześcioma.

Poprzez Harcowisko Granatników przypatruję się okolicznym byłym domom, wypatrując odpowiedniej ruiny na kryjówkę, zwalonej i spalonej. Nic nie odpowiada moim wymogom wśród tego „księżycowego krajobrazu". Gdziekolwiek by spojrzeć (często podobne zwroty napotyka się w poetyckich opisach pobojowisk),

kominy sterczą smutnie ku niebu, balkony zwisają żałośnie, oczodoły okien spoglądają ponuro, wyrwy w ścianach szczerzą zęby, blachy skrzypią jękliwie... Ogród Krasińskich z każdym dniem starzeje się o tydzień. Liście pożółkły, pordzewiały, opadają i dziwnie wygląda ten lasek o kolorach późnej jesieni, gdy żar leje się z nieba.

Nigdy nie wiadomo, czy salwy granatników nie zapowiadają ataku piechoty. Jeśli w tym momencie siedzę na krześle za barykadką, od razu zrywam się, kryję się za framugą drzwi i celuję w okno na Długą. Muszka zaś, zgodnie z ustalonym planem działania, staje przy oknie w kuchni. Gdyby Niemcy wpadli na Harcowisko, ma rzucić granat. Ile to ja się nagłowiłem, jak bronić składu kafli od podwórza i od ulicy, jednym karabinem i dwoma granatami. Gdziekolwiek by Niemcy przedarli się na skraj Harcowiska, odcinali nam drogę odwrotu po powierzchni. Pozostawała piwnica, ale wejście do niej też znajdowało się od strony Harcowiska. Zresztą nie było wiadomo, czy są przebite otwory pomiędzy domami. Należało sprawdzić, ale wtedy jeden z nas musiałby zejść do piwnicy na kilka minut. Miałem wątpliwości, czy Muszka wywiązałby się z zadania. Sam zaś obawiałem się ciemności, ciasnoty i bezwładu podziemi. Zresztą gdybym poszedł na zwiady, musiałbym oddać Muszce karabin. A nuż zaskoczyłby mnie nalot albo nagły atak. Poza życiem i zdrowiem najdroższy był mi karabin, bez niego byłem niczym.

Gdy noc zapadła, dziewczyna przyniosła jedzenie. Koło jedenastej przychodziła zmiana. Nie należało od razu wracać, gdyż zmiana biegnąc tutaj zapewne przyciągnęła uwagę Niemców, bezpieczniej było odczekać.

Najbardziej zagadkowym z oficerów jest Wład. O innych ma się skrystalizowane opinie. Można ich uwielbiać, jak Szofera; obawiać się, jak fanatyka Jura, zastępcy Klima; niechętnie podziwiać, jak Lisa; pogardzać, jak Kamieniem. Wład nie pasuje do żadnej kategorii. Z jednej strony jest pełen życia, zażartuje, z każdym porozmawia, jeśli czas pozwala. Głosu nie podnosi, porusza się energicznie. Nawet gdyby wdział frak, poznałbyś żołnierza; z drugiej strony... uderza jego szara, pogodna, a jednak obojętna twarz. Nie znać po nim lęku, napięcia, jakby już raz zmartwychwstał i wszystko wiedział o śmierci. Dlatego chyba krążą plotki, że pije eter. Snuje się, jak duch opiekuńczy Pasażu Simonsa. Spokojniej się drzemie wiedząc, że gdzieś tam wysoko czuwa Wład-snajper o jastrzębim wzroku. Sam nieraz się uśmiecham, gdy zatrzymuje się na Sali Obrabiarek, odpowiadając na przyjazne zaczepki. Mówi się o dobrym dowódcy,

że jest ojcem pułku. Wład zasługiwał na tytuł wujka albo dziadka batalionu, nie sposób było odgadnąć jego wieku. Pomagał, ale nie wtrącał się.

Jeden z jego szóstki opowiedział mi następujące zdarzenie. Wspinali się na szczyt Pasażu. Im wyżej, tym więcej na czworakach. Wład podsunął się do okna i przez lornetkę przeglądał okolicę. Jak zwykle oczekiwali, że to ostatnie spojrzenie na świat, jeśli nie ich wszystkich, to na pewno jego. Wład zauważył zamaskowany granatnik i podał lornetkę do tyłu. Mój rozmówca, nie mając wyboru, stanął obok Władа i przyłożył lornetkę do oczu.

- Widzisz skurwysyna? - spytał kapitan.

- Widzę, widzę.

Ręce mu się trzęsły, nic nie zobaczył, ale nie chcąc pokazać Władowi, że się boi, odstał z lornetką przy oczach tyle sekund, ile należało.

Od tygodnia na Sali Obrabiarek najbardziej ulubionym tematem są kanały. Potem idą wiadomości z rosyjskiego frontu, tego po drugiej stronie rzeki. Rozważania na temat tchórzostwa innych oddziałów straciły na popularności i splatają się z rozmowami o kanałach. Za złoto sprzedają przepustki do kanałów. Załoga PWPW, odpędziwszy żandarmów Barego od włazu, zeszła do kanału. Intendentura i żandarmeria już się wymykają. Inne oddziały liniowe mają lepsze chody i wpuszczą ich do kanału przed nami. Takie wieści, podniecając wyobraźnię, spędzają sen z powiek. Człowiek może się obudzić o świcie w rozpaczliwej sytuacji: dowództwa nocą odeszły, chaos, ludność przechodzi do Niemców z białymi flagami... Ci, co zetknęli się bliżej z Sosną, a takich jest wielu, ufają, że nam nie pozwoli zmarnieć na ostatnich barykadach Starego Miasta. Gdy był dowódcą batalionu, powiadają, najbardziej cenił kompanię Lisa, a zwłaszcza oddział Wiernego.

Każdego niemal dnia czyta się lub słyszy wiadomości o przełamaniu linii Zygfryda; jak we wrześniu 1939 roku. Wystarczy, iż jest spokojniej przez parę godzin, a już rosną nadzieje i mnożą się wieści, że Hitler nie żyje, że Wehrmacht buntuje się, a Niemcy proszą o zawieszenie broni. Zainteresowanie frontem we Francji zmniejszyło się. Jednym z powodów jest brak map. Idą i idą jak w masło, ale nam nic to nie pomaga. Przeciętny powstaniec na wiadomość np. o upadku Reims reaguje pytaniem, ile stamtąd do granicy niemieckiej i porównuje ten dystans z Rosjanami stojącymi o 15 km od Pasażu Simonsa. Panuje przekonanie, że gdy tylko granica zostanie

przekroczona, autorytet Hitlera upadnie w oczach nawet jego najbardziej fanatycznych zwolenników, a Niemcy skapitulują, aby nie dopuścić do zniszczenia własnego kraju.

* * *

Według meldunków gen. Bach-Zelewskiego jego własne straty w natarciu na Stare Miasto wynosiły 150 ludzi dziennie. Jest to wysoka liczba zważywszy, że w dniu rozpoczęcia bitwy o Stare Miasto, tzn. 12 sierpnia, siły obu przeciwników liczyły po siedem - osiem tysięcy. Dla porównania, w czasie pierwszych dwudziestu dni walki w Normandii, Niemcy, na których sypał się z ziemi, nieba i morza grad pocisków, bomb i rakiet, stracili 43 000 żołnierzy, co wynosi nieco ponad dwa tysiące dziennie.

* * *

Powróciwszy z Harcowiska pomiędzy obrabiarki, najpierw dowiaduję się, kto ubył i w jakich okolicznościach. Jeśli nie wdam się w rozmowę na temat kanałów, to czytam prasę staromiejską. Artykuły redakcyjne są krótsze niż dawniej, gazety też kurczą się z powodu braku papieru. Różnice ideologiczne jeszcze dają się zauważyć, ale podstawowa treść artykułów sprowadza się do tego, że trzeba wytrwać jeszcze 2-3 dni. Prawie cała Rumunia wolna od Niemców. Amerykanie podchodzą pod linię Zygfryda, za to front za Pragą, jak stał, tak stoi. O ogniu kaemów w rejonie Tarchomina nie ma już wzmianek. Ani jeden sowiecki samolot nie ukaże się nad miastem, choć od linii frontu tylko minuta lotu.

Z komunikatów wojennych wynika, że wszędzie wszystko się zmienia z wielką szybkością, tylko tu, na Starym Mieście, historia posuwa się żółwim krokiem.

Pomijając to, co się dzieje na odcinku „Chrobrego", zestawienie meldunków napływających z frontów świata i z odcinków Starego Miasta, czasem opóźnionych, czasem przedwczesnych, wygląda mniej więcej tak:

Piątek, 18 sierpnia - Amerykanie zajęli Chartres i Orlean. Na Starym Mieście odparto natarcie na PWPW, PKO, fabrykę Quebracho, Katedrę, pałac Mostowskich, Ratusz i pałac Blanka. Nieprzyjaciel opanował Kościół Kanoniczek.

Sobota - Amerykanie przekroczyli Sekwanę na północ od Paryża. Na Starym Mieście odparto natarcia na PKO. Walka toczy się wewnątrz Katedry. Nieprzyjaciel przeniknął na Bielańską pomiędzy pałac Radziwiłłów i Bank Polski, przeciwnatarcie z pałacu Radziwiłłów odrzuciło go na Tłomackie. Odparto natarcie na Ratusz z

Opery i z Kościoła Kanoniczek. Nieprzyjaciel opanował fabrykę Quebracho, w przeciwnatarciu odzyskano fabrykę, z wyjątkiem garaży. Pałac Mostowskich broni się.

Niedziela - Rosjanie uderzyli na Rumunię, Amerykanie przekroczyli Sekwanę na południe od Paryża. Na Starym Mieście nieprzyjaciel opanował pałac Radziwiłłów i północne skrzydło Banku Polskiego. Odparto natarcia na ulicę Boleść, Ratusz, pałac Blanka, szpital Jana Bożego i PWPW. Opuszczono pałac Mostowskich. W godzinach wieczornych nieprzyjaciel wdarł się do kotłowni szpitala Jana Bożego.

Poniedziałek - Rosjanie przerwali front w Rumunii. Amerykanie zajęli Wersal i Fontainebleau. Na Starym Mieście, po wysadzeniu pozycji nieprzyjaciela, odzyskano północne skrzydło Banku Polskiego. Wyparto nieprzyjaciela z pałacu Radziwiłłów i Kościoła Kanoniczek. O godzinie 12 przez wyrwę w ścianie wdarł się do środka Katedry oddział nieprzyjacielski z czołgiem. Mimo odrzucenia piechoty, nie udało się zbliżyć do czołgu. Wieczorem nieprzyjaciel opanował drukarnię PKO. Odparto natarcia na Ratusz, pałac Blanka i szpital Jana Bożego.

Wtorek - Rosjanie zajęli Jassy. Amerykanie zlikwidowali kocioł pod Falaise. Na Starym Mieście nieprzyjaciel opanował ruiny po wschodniej stronie PWPW. Odparto natarcia na Ratusz, Kanoniczki.

Środa - Francuzi i Amerykanie przebili się do Paryża, w mieście powstanie. Przewrót w Rumunii, Antonescu aresztowany. Na Starym Mieście odparto natarcie na Jana Bożego, garaże Fiata i PWPW.

Czwartek - Rosjanie zajęli Kiszyniów, Anglicy - Grenoble. Amerykanie otoczyli Paryż. W Paryżu walki uliczne. Na Starym Mieście odparto natarcia na PWPW, zakłady Fiata, ulicę Boleść, Katedrę. Nieprzyjaciel opanował zachodnią część szpitala Jana Bożego, w kontrataku oczyszczono szpital, ale nieprzyjaciel utrzymał się w kaplicy. Utracono pałac Radziwiłłów.

Piątek - Anglicy zajęli Avignon, niemiecka 6. armia otoczona pod Kiszyniowem. Kapitulacja Niemców w Paryżu. Na Starym Mieście odparto natarcia na Ratusz, Kanoniczki i PWPW. Odzyskano pałac Radziwiłłów.

Sobota - Bułgaria ogłosiła neutralność. Resztki szóstej armii skapitulowały. Twierdza Ismailla w delcie Dunaju zajęta przez Rosjan. Na Starym Mieście odparto natarcia na Bank Polski, Ratusz, pałac Blanka i ulicę Boleść. Nieprzyjaciel opanował pałac Radziwiłłów, Quebracho i środkową część PWPW. W nocnym

kontrataku odrzucono nieprzyjaciela z PWPW, obsadzając parter i pierwsze piętro, nieprzyjaciel utrzymał się na wyższych piętrach. W godzinach wieczornych wyparto nieprzyjaciela, który obsadził nawę główną Katedry. Nie udało się wyprzeć nieprzyjaciela, który się włamał do Jana Bożego.

Niedziela - Anglicy zajęli Marsylię. Rosjanie zajęli Galacz w delcie Dunaju. Amerykanie przekroczyli Marne. Na Starym Mieście rano nieprzyjaciel obsadził nawę główną Katedry, w kontrataku oczyszczono wnętrze Katedry. W godzinach popołudniowych nieprzyjaciel ponownie wdarł się do Katedry. Z fabryki Quebracho nieprzyjaciel atakował ulicę Mostową. W PWPW odzyskano część zachodniego bloku.

Poniedziałek - Anglicy zajęli Tulon. Na Starym Mieście nieprzyjaciel opanował ruiny Katedry i PWPW. Odzyskano magazyny fabryki Quebracho. Odparto natarcia na zakłady Fiata, Ratusz i ulicę Mostową.

Wtorek - Rosjanie na przedmieściach Bukaresztu, Amerykanie zajęli Reims. Na Starym Mieście nieprzyjaciel opanował front Ratusza i pałacu Blanka oraz kościół Kanoniczek. W przeciwnatarciu odzyskano część kościoła. Odparto natarcie na Mostową.

Środa, 30 sierpnia - Rosjanie zajęli Ploeszti i Bukareszt. Na Starym Mieście wyrzucono nieprzyjaciela z Ratusza i pałacu Blanka. Odparto natarcia na Mostową. Natarcie nieprzyjaciela z PWPW i Jana Bożego na zakłady Fiata odparto, jednakże udało się nieprzyjacielowi obsadzić magazyny Fiata.

Niech im ziemia lekką będzie

Ocknąłem się o szarej godzinie dnia 30 sierpnia. Celowo nie używam słowa „obudziłem", ponieważ tak zwane spanie na Sali Obrabiarek polegało na niespokojnym drzemaniu, gdzie jawa mieszała się z majakiem sennym, że ukradli mi karabin lub że zostałem sam. Czasem zapadałem na krótko w głęboki sen przerywany nagłym wytrzeźwieniem, jakby mnie ktoś polał lodowatą wodą. Nawet wielkie zaufanie do kolegów pełniących służbę nie wystarczało, by się wyzbyć obawy przed śmiercią we śnie.

Wyszedłem przez wielkie okno. Minąłem niskie okna Pustej Sali, po prawej stronie spuściłem się po gruzie składu papieru na skraj Harcowiska i skręciłem w lewo pomiędzy murki wypalonych przybudówek przy szczytowej ścianie Pasażu. Jeszcze przed

upadkiem Arsenału, tu o szarej godzinie, o ile okoliczności pozwalały, zwykłem załatwiać swe potrzeby. W zburzonym mieście, gdzie cała ludność siedziała w piwnicach, znalezienie odpowiedniego miejsca nie powinno sprawiać trudności. W rzeczywistości było na odwrót. Musiało ono bowiem być wystarczająco odległe od Niemców, przynajmniej poza zasięgiem rzutu ręcznym granatem, a jednocześnie dostatecznie bliskie, aby człowieka nie posądzili o samowolne opuszczenie stanowiska bojowego. Miejsce pod szczytową ścianą Pasażu odpowiadało wszelkim wymogom bezpieczeństwa: doskonale osłonięte, krótkie dojście, dobra widoczność nieba i poza tym na uboczu. Pora też była odpowiednia. Niemcy nie atakowali, nim słońce nie wysunęło się ponad horyzont. Siedząc w kucki przyglądałem się świtowi nad Starym Miastem. Zanim jeszcze słońce zaczerwieniło szczyty ruin, na niebie ukazywały się samoloty. Liczyłem: trzy, sześć, dziewięć, dwanaście, piętnaście, osiemnaście... by sobie wyrobić zdanie, jaki dzień się zapowiada. Zazwyczaj kończyło się na mniej, ale jednego dnia doliczyłem się dwudziestu czterech i straciłem rachubę. Szły wprost na wschodzące słońce, więc myślałem, że lecą za Wisłę na rosyjski front. Zatoczywszy jednak wielki łuk, zawracały ku Staremu Miastu. Niskie słońce oświetlało mdłym, przez dym przesączonym blaskiem najwyższe okoliczne punkty, za to samoloty płynęły powoli, skąpane w złocisto-pomarańczowych promieniach.

Po pierwszych paru okrążeniach zniżały lot, trójkowy szyk rozpływał się i już nie wszystkie było widać. Zazwyczaj nadlatywały od getta nad Arsenał, gęsiego, po kilka, rzadziej pojedynczo. Zataczały łuk nad ruinami pomiędzy Bielańską a placem Bankowym, gdzie stał Szpital Maltański i skręcały w lewo ku Operze. Dymne rakiety, zwykle białe, rzadziej żółte lub czerwone, podrywały się im na spotkanie ze straży ogniowej, z Arsenału i wzdłuż Bielańskiej, obalając pogłoski o kapitulacji Niemiec. Samoloty odlatywały, zaś półkoliste pasma dymu, białoszare u podstawy, pozłocone słońcem u góry, wciąż wisiały między niebem a ziemią jak festony, a wiatr je z wolna znosił i rozpraszał.

Ćwierć wieku później zasiadłem pierwszy raz na korridzie. *Toreadores... matadores, capeadores, picadores, banderilleros,* pancerne konie; wszyscy z wyjątkiem byka okrążali arenę przed walką. Z widowni sypały się im na powitanie bukiety kwiatów. Przypomniały mi się wschody słońca nad Starym Miastem.

Poszedłem odwiedzić Kobuza w piwnicznym szpitalu przy Długiej

25 czy 27, niedaleko barykady pod trupią czaszką. Uderzyło go głównie w nogi, z boku; poczuł, jakby mu kto porządnie przylał kijem. Panterki nie zrzucił. Co z nim się stanie, jeśli dom się zapali albo wpadną Niemcy? Przysiadłem na materacu i gadam. O najważniejszym, o kanałach, nie wypada, bo on nie może chodzić. Pozostają nowinki z Pasażu i ze świata. Opowiadam, że Rosjanie podchodzą do Bukaresztu, że Rumuni wbili Niemcom nóż w plecy; Bułgarzy i Węgrzy zrobią to samo lada chwila i Rosjanie spacerkiem wjadą czołgami do Austrii. W Pasażu nic na wielką skalę się nie dzieje, ale drobnymi wydarzeniami każdego dnia wiele stron można zapisać. Jak zwykle, moje opowiadania jednocześnie budzą grozę i podnoszą ducha, bo jakże wątpić w zwycięstwo, skoro już na tyle prób byliśmy wystawieni. Niczego nie dotykam, aby się nie zarazić. Obok leży wynędzniały powstaniec, ledwo szeptem mówi, przyszedł do szpitala z niegroźną raną i dostał czerwonki. Umówiliśmy się z Ryśkiem Jabłońskim, czego zresztą nie wziąłem na serio, że jeśli jeden z nas zostanie ranny, to drugi na jego żądanie musi go dobić. Od Kobuza poszedłem do Kawki, niedaleko, można było dojść piwnicami. Kawka bardziej rozmowny i ożywiony. Pokazuje spuchniętą kostkę. Jeszcze raz porównujemy spostrzeżenia, sekunda za sekundą, co się działo, gdy dom spod jego nóg walił się na moją głowę.

Rany więcej budzą grozy niż śmierć. Choćby nie wiem jak usiłował, człowiek śmierci zrozumieć nie może. W twarzy poległego można się dopatrzeć majestatu, tajemniczości, odblasku wiekuistego światła. A czego w gnijącej nodze, w wypalonych oczach?

Nie dochodząc do wielkiego okna natknąłem się na Zosię z blizną na szyi. Ledwo zaczęliśmy rozmawiać, spadł granatowy beret niemal pod nasze stopy. Zadarłem głowę ku szczytowi Pasażu, ale nic nie zobaczyłem. Zdziwiony, podniosłem beret z trzema gwiazdkami, niewątpliwie Włada. Obróciwszy go w ręku zauważyłem, że był nieco rozdarty, a w środku widać było różowe kropki. Zeskoczywszy do Sali Obrabiarek krzyknąłem:

- Wład ranny!

Zszedłem drabiną do podziemi, a stamtąd biegiem schodami na górę. Za mną popędziło kilku powstańców. Na wysokości drugiego piętra natknąłem się na obsługę enkaemu. Nieśli Włada na kocu. Schodziliśmy powoli, aż do podziemi. Coraz to nowi do nas dołączali. Położyli Włada przy samym wyjściu do ogrodu, u podnóża schodów, gdzie zaczynał się rów dobiegowy. Powstańców wciąż przybywało,

otoczyli go półkolem. Ci, co go nieśli, jego właśni ludzie, przyklękli. Najdalszych ledwo w mroku dało się odróżnić.

Dostał w czoło, w górny lewy kąt. Bruzda od kuli gubiła się gdzieś we włosach. Podałem beret. Włożyli mu na głowę, zakrywając ranę. Leżał zwrócony ku światłu, ani skrzywiony ani uśmiechnięty - odprężona, obojętna szara twarz, pokryta pajęczyną drobniutkich zmarszczek. Wtem jeden z jego ludzi, o pseudonimie Czarny, pochylił się nad Władem i okropnym głosem zawołał:

- Kapitanie!... dlaczego nas zostawiłeś? Kapitanie! Kapitanie!

Aby się opanować, starałem się sobie przypomnieć, że kiedyś czytałem opis podobnej sceny. Tak mnie dławiło w gardle, że aby się w głos nie rozpłakać, zacisnąłem pięść na lufie z całej siły, odwróciłem oczy od Włada i skierowałem wzrok na powstańców. Karabiny, rewolwery, hełmy, panterki, bandaże. Łzy ściekały po brudnych twarzach.

Porucznik Marian oznajmił, że kapitan Wład będzie pochowany o godzinie pierwszej po południu przy szkole w ogrodzie Krasińskich, kto ma wolne, może przyjść. Na tyły szkoły można się było przedostać albo rowem dobiegowym z podziemi Pasażu skrajem ogrodu, albo okrężną drogą, której nie znałem -poprzez Harcowisko Granatników, przejściami na Barokową i w lewo. Oba rozwiązania miały swoje dobre strony, rów zabezpieczał przed odłamkami, za to idąc okrężnie ruinami unikało się snajperów. Czy dlatego, że nie mogłem się zdecydować, która trasę wybrać, czy że godzinę pogrzebu zmieniono na dwunastą, a może zegarek zawinił - dość, że zabrakło mnie, gdy składano kapitana do dołu. Przed pogrzebem wybrałem się z wizytą do Edka i zasiedziałem się. Całe to zdarzenie, zaczynając od beretu, opowiedziałem uprzednio już kilka razy. Kiedy powtórzyłem to w szpitalnej piwnicy, wszyscy mieli łzy w oczach, co mi pochlebiło i jeszcze bardziej wzruszyło. Dostać kulą w głowę nie było najgorszym, co się mogło człowiekowi przydarzyć.

Pogrzeb Włada w ogrodzie był jedną z tych „ekstrawagancji", w które obfitują nasze pisane i niepisane dzieje. Uczestnicy tej uroczystości mogli narażać się w tym czasie gdzie indziej, z większym pożytkiem dla ginącej ojczyzny. O ile prościej i bezpieczniej było zakopać go przy szczytowej ścianie Pasażu, między wypalonymi przybudówkami. Gdy dowiedziałem się, że już po wszystkim, przygnębiło to mnie jeszcze bardziej. Przepuściłem okazję uczestniczenia w pogrzebie bohatera, którego znałem osobiście.

Pogrzeb w oku cyklonu, a nie taki normalny, jaki się zwykle ogląda z balkonu przy głównej ulicy miasta... Trumna z pozłacanego orzecha, na lawecie okrytej kirem, zaprzężonej w sześć gniadych koni w czarnych czaprakach. A za trumną dziesięć rzędów grubasów z mosiężnymi trąbami i drugie dziesięć dryblasów z bębnami; akselbanty, lampasy, ostrogi, ordery, naramienniki, złoto, srebro, tombak. Krepa na trumnie, krepa na koniach, krepa na trąbach.

Pogrzeb przy akompaniamencie setek prawdziwych strzałów w każdej sekundzie, a nie lichych dwudziestu jeden salw ślepakami z dwudziestu jeden wypucowanych armat, jak przy oficjalnych okazjach tego rodzaju. I bez pewności, że dożyjesz końca pogrzebu.

Wilit wziął udział w pogrzebie, ale już nie zdążyłem spytać go, jak to się odbyło. Kapral Jur też - zdaje się - tam był, i porucznik Marian, wszystkiego kilku powstańców i paru jeńców-grabarzy. Chciałem też wykorzystać ten moment, by zbliżyć się do Mariana, jako kolega oddający hołd innemu koledze. Może wciąż tliła się we mnie skryta nadzieja, że na Krzyż Walecznych za Arsenał jeszcze nie było za późno.

Niczyja śmierć tak się nie odbiła na nastroju całej kompanii, jak niesamowitego, wszędobylskiego kapitana. Każdego dnia wielokrotnie pojawiał się na Sali Obrabiarek, więc uważaliśmy, że specjalnie polubił kompanię Lisa. Gdy przychodził ze szczytu Pasażu, gdzie zdawało się, spędzał większość życia, powstańcy wypytywali go, jak tam było, jakby wracał z księżyca czy z dna oceanu. Zazwyczaj, jeśli nie sam, to jego pomocnicy, zdawali sprawozdanie, jak zjeżdżali schodami na łeb na szyję, a nad nimi i za nimi kruszyło się i kurzyło. Potem, odczekawszy, znowu podkradali się z enkaemem na górę. Wład przez lornetkę wypatrywał wroga, na jego znak podsuwali enkaem do punktu, skąd widać ruiny w dole. Dawali krótką serię i uciekali, a już zewsząd bity po nich erkaemy i działka szybkostrzelne. Pasaż górował nad Całą okolicą, a zwłaszcza pustynią getta, i musiał być nieustannie pod niemiecką obserwacją. Czasem Wład odsyłał swych ludzi na dół, aby się wyspali, a sam czaił się z karabinem. Jemu to zapewne zawdzięczaliśmy, że granatniki nie ostrzeliwały naszej reduty od strony getta, a tylko frontalnie od zachodu, spoza Arsenału. Dzięki temu istniał zaciszny pas przy wschodniej ścianie Pasażu, gdzie nic nie spadało. Wszyscy czuli się bezpieczniej wiedząc, że na szczycie czuwa nieśmiertelny kapitan.

A oto jak podobno zginął. Strzelili do niego i spudłowali.

Podskoczył do okna, wyzywając ich po niemiecku i grożąc pięścią. Strzelili jeszcze raz i dostał.

Jeszcze za dnia dotarła wiadomość radiowa, że Rosjanie wkroczyli do Bukaresztu. Wydawało się, że Niemcy też ledwo wiszą na włosku.

Po zapadnięciu ciemności zerwano nas z materaców, a miałem nadzieję pospać jeszcze ze dwie godziny do zmiany o jedenastej, kiedy to zaczynała się cała doba czuwania za barykadą z kafli. Poprowadzili nas przez Harcowisko ruinami do mikrowieżowca przy Drugiej 42. Tam zasiedliśmy na klatce schodowej w oczekiwaniu, że lada chwila znowu nas poderwą. Towarzyszyły nam wszystkie dziewczyny. Cała kompania Lisa opuściła Salę Obrabiarek. Coś się szykowało. Kanał? Od upadku Arsenału przedostanie się przez ziemię niczyją na odcinku Pasażu i uchwycenie terenu po drugiej stronie było niemożliwe. Niemcy usiłowali przeskoczyć wiele razy bez skutku, więc dobrze wiedziałem, że i my nie mamy żadnej szansy. Czas dłużył się. Pokładliśmy się na schodach w miejscach bezpiecznych od odłamków. Zamiast odgniatać sobie kości o kamienne stopnie, moglibyśmy spać na materacach tylko o sto metrów stąd. Nawet nie pozwolono zejść do piwnicy i wyciągnąć się na równej podłodze. Tak ostre było pogotowie, że i minuty nie wolno było stracić. Ja, jak zwykle w podobnych sytuacjach, robiłem uwagi na temat polskiego bałaganu.

Przyszła wiadomość, że przebijamy się do Śródmieścia. Od razu zniknęło zmęczenie, ogarnęła mnie radość, że wyrywamy z tej Starówki. Wróciła wiara w dowództwo Powstania, że zapięli wszystko na ostatni guzik. Przeczyściłem lufę karabinu po raz ostatni, sprawdziłem celownik, ładownice, czy dobrze trzymają się oficerskiego pasa. Pomacałem jajko-granat, sprawdziłem zakrętkę. Tylko z rzadka szSZSZ granatnika przerywało ciszę, najwidoczniej Niemcy nie zauważyli przygotowań. Rozmowy ustały, wróciła senność. Ułożyłem się w możliwie najmniej niewygodnej pozycji, aby pokrzepić się snem. Nagle ktoś zawołał półgłosem „zbiórka". Za chwilę wyszliśmy na Długą obok barykady pod trupią czaszką. Ruch był jak w noc sylwestrową. Skręciwszy w Hipoteczną od razu ugrzęźliśmy w tłumie. Pan Zagłoba powiedziałby, że większego ścisku nie będzie w dolinie Jozafata w przeddzień sądu ostatecznego.

Nawoływania półgłosem, a potem już głośne pogróżki, by przepuścili grupę szturmową, zdały się na nic. W życiu nie widziałem

masy ludzkiej tak ciasno ubitej. Cywile z tobołami i walizami przytroczonymi do pleców. Ranni na noszach, na drzwiach, podtrzymywani przez zdrowych, ranni o kulach, a nade wszystko masa powstańców bez broni z wypchanymi plecakami. W rudym półmroku niełatwo było się odróżnić. Nawoływali się od tygrysów, wilków, żbików, rysiów, orłów, sokołów, jastrzębi, kaprali, plutonowych, sierżantów, poruczników. Masa falowała, ale nie poruszała się w żadnym kierunku, tylko obracała z wolna rozdzielając ludzi. Trzeba było przepychać się, jak w zatłoczonym tramwaju. Najpierw przykucnąć, wesprzeć się dobrze nogami o ziemię, odbić ostro i lewym barkiem podważać od dołu tych, co stali po drodze. Ładownice zawadzały i mimo podkurczonych nóg zawisałem w powietrzu. Wbiwszy się w tłum klinem, utknęliśmy. Lęk wielki ogarnął mnie na myśl o granatnikach. O cofnięciu się nie było mowy, a masakra mogła zacząć się lada chwila. Pociski eksplodując w tej masie wzbijałyby w powietrze fontanny, jak przy uderzeniu w wodę. Niemcy nie mogli nie słyszeć. Od przodu dobiegały długie serie broni maszynowej i dość częste, słabe eksplozje, ale nie więcej niż się słyszało w czasie spokojnego dnia.

W ciągu niecałej godziny przepchaliśmy się około pięćdziesięciu metrów. Zaczęło szarzeć, a niebo przybierało barwę granatową. Wołaliśmy do tłumu, by się cofnął, bo zaraz sztukasy nadlecą. Przyszły wieści, że wolnej drogi do Śródmieścia nie ma. Ludzie jednak czekali na wszelki wypadek, dopiero światło dnia ich oprzytomniło i spłoszyło. Zaczęło się rozluźniać. Czekając na dalsze rozkazy, weszliśmy w pobliską bramę.

Przekraczając Długą u wylotu Hipotecznej zobaczyłem Zbyszka Bajkopa. Ucieszyliśmy się obaj; nie wiedziałem, że spotkał śmierć.

- Chodź z nami - krzyknąłem - jakiś hełm wykombinuje się dla ciebie. Nocą przebijemy się do Śródmieścia.

W drodze Zbyszek powiedział mi, że redakcja „Żołnierza Starego Miasta" rozwalona, zespół redakcyjny zginął czy zaginął. Ze skraju Harcowiska znowu ujrzałem Pasaż, choć nie sądziłem, że tu jeszcze wrócę. Zaledwie weszliśmy do środka powstała kłótnia, gdyż w czasie naszej nieobecności oddział, który obsadził Salę Obrabiarek, spowodował mały pożar i wiele materacy było nadpalonych. Nastrój poza tym był świetny, pomimo jeszcze jednej, oględnie mówiąc, niedospanej nocy. Przynieśli granaty powstańczej produkcji. Szmaciane woreczki wypełnione drobnymi kawałkami metalu. Dostałem sześć, nieduże, zmieściły się w kieszeniach panterki.

A oto zaświtał mi pomysł. Trudno było samemu powąchać się, ale musiałem okropnie śmierdzieć. Samych butów nie zdejmowałem szesnaście dni, a co powiedzieć o reszcie. Zachciało mi się być czystym i świeżym, gdy wkroczymy do Śródmieścia następnej nocy. Już nie potrzebowałem brudu, by sprawiać wrażenie frontowego wilka. Należało się rozejrzeć za wodą, mydłem i poszukać towarzysza. Bajkop położył się w wąskim końcu Sali Obrabiarek z dala od wielkiego okna i już spał. Nie chcąc go budzić, próbowałem namówić Wilita na wspólne mycie. Na Sali Obrabiarek z powodu obecności dziewczyn nie można było się rozbierać. Przyszło mi do głowy, aby zejść drabiną do piwnicy, a stamtąd ostrożnie wspiąć się schodami na pierwsze piętro, już po drugiej stronie wielkiego korytarza. Niema! vis-à-vis Pustego Domu. Bałem się być sam i dlatego potrzebowałem towarzysza. Wilit nie dal się nakłonić. Wolał się przespać odrobinę, bo o jedenastej, to znaczy za niecałą godzinę, mieliśmy znowu obsadzić odcinek między Długą a Pasażem. Z kolei zagadnąłem Lecha, który wahał się nieco, ale uległ namowie, gdy mu przedstawiłem tryumfalny obraz: oto wkraczamy do Śródmieścia, ludność rozchwytuje nas na kwatery do domów, rój dziewcząt, a my śmierdzimy.

Woda, nieco stęchła i nie do picia, znajdowała się w olbrzymiej kadzi w podziemiach. Znaleźliśmy wiadro i miskę, pożyczyłem mydło. Nie zdążyłem się jeszcze rozebrać, gdy ktoś mi je rąbnął, właśnie wtedy, gdy z mozołem ściągałem panterkę przez głowę. Więc znowu udałem się po prośbie, a czas naglił. Powstańcy w większości drzemali i nie chciało im się ruszać z materacy. Kocioł bulgotał, a ten z zadartym nosem, co dawniej zwykł podrywać dziewczyny, przygrywał na organkach. Przechodząc usłyszałem, jak dwóch powstańców, stojąc na zewnątrz wielkiego okna meldowało Marianowi, że Niemcy wycofują się z Arsenału. Wreszcie wyżebrałem mydło jeszcze raz. Każdy coś odkładał w plecaku: mydło na lepsze czasy, naboje na czarną godzinę, cukier na jutro, swetry na jesień.

Rozebrawszy się, panterkę, kurtkę Luftwaffe, karabin, hełm, pas i plecak zostawiłem Jasiowi do popilnowania. Z wiadrem i miednicą spuściliśmy się w dół po drabinie. Nabrawszy wody z olbrzymiej kadzi, weszliśmy schodami na pierwsze piętro zachowując ostrożność, bo do Niemców w Pustym Domu było bardzo blisko. Po drugiej stronie wielkiego korytarza widać było Salę Obrabiarek. Śpieszyliśmy się, by zdążyć na zmianę. Wyszorowałem się od stóp

do głów. Zaledwie skończyłem, zakręciło mnie w brzuchu, więc korzystając z bezpiecznego miejsca, przykucnąłem w wypalonym pokoju obok. Lech umył się. Ręczniki poszły w ruch. Byłem już prawie suchy.

Sięgnąłem właśnie po świeżą koszulę, gdy samolot przeleciał nisko nad Pasażem. Nie przejąłem się tym, ale za chwilę budynek zatrząsł się, sypnęły się okruchy z sufitu i pył zawisł w powietrzu. Całe ciało pokrył matowy, ceglasty puder. Niby to na wesoło, a jednak podnieconym głosem krzyknąłem do Lecha:

- Popatrz, na ch... myliśmy się - i szybko naciągnąłem spodnie.

- Lepiej zejdźmy do piwnicy, drugi na pewno przyleci i znowu dołoży.

Już miałem skarpety na nogach, kiedy wybuchła następna bomba. Pociemniało. Włożyłem lewy but, który już miałem w ręku, namacałem prawy i chwyciwszy się z Lechem za ręce, zbiegaliśmy schodami. Trzeci podmuch zakręcił nami na wysokości półpiętra. Wymacaliśmy się w ciemności i znowu chwyciwszy się za ręce, zbiegliśmy czy zjechaliśmy do piwnicy. Nie słyszałem huku. nie czułem bólu, tylko jakby fale piany raz po raz przelewały się nade mną i unosiły moje ciało. Dusiłem się. Centrum eksplozji oddaliło się nieco. Teraz wydawało mi się, jakby pękały olbrzymie bąble smoły.

Uspokoiło się. Uprzytomniłem sobie, że wciąż z Lechem trzymamy się za ręce. Miękkie, zawoalowane głosy nawoływały, aby posuwać się w stronę wyjścia na ogród Krasińskich, gdzie zaczynał się rów łącznikowy do szkoły. Byle dalej od Niemców. Ktoś skrzesał ognia, widziałem tylko jarzącą się główkę zapałki, bez płomienia. Razem z innymi, którzy ocierając się o nas orientowali mnie co do kierunku, posuwaliśmy się po omacku. Trzy myśli świdrowały mi mózg: że jesteśmy żywcem pogrzebani, że trzeba wydostać się na wierzch, nim samoloty znowu nadlecą i że Niemcy lada chwila zajmą ruiny nad nami. Po raz pierwszy od miesiąca nie słyszałem ani strzałów, ani eksplozji. Nie byłem pewien, czy drepczemy w określonym kierunku, czy obracamy się w kółko. Wolną ręką macałem dookoła, coraz to ktoś dotykał mnie. Wytworzył się zator. Głosy zawiadomiły, że przejście jest zawalone. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję. Wrzasnąłem na Lecha, żeby wracać na klatkę schodową, choć leżała ona zaledwie kilkanaście kroków od Pustego Domu. Wiedziałem, że Niemcy zaraz wpadną, sekundy decydowały. Lech lepiej znał podziemia i prowadził mnie za rękę, aż wyczuliśmy pierwszy stopień. Na schodach leżał gruz, ale droga była wolna. Macaliśmy nogą, by

nie wpaść przez dziurę z powrotem do piwnicy. Kiedy wyszliśmy na parter, już się rozjaśniało. Przebiegłem wielki korytarz, wpadłem do Sali Obrabiarek i zrobiwszy krok stanąłem jak wryty.

Podłoga urywała się... Rudawa mgiełka jeszcze wisiała w powietrzu. Nade mną niebo. Sali Obrabiarek nie było. Zdmuchnęło cztery piętra. Naprzeciw sterczał parametrowy kikut szczytowej ściany. Między mną a ścianą, na dnie głębokiego leja, zobaczyłem postać w białym kitlu, siostrę porucznika Mariana. Stałem porażony ciszą i pustką. Tylko w kącie kocioł bulgotał tak jak wtedy, gdy wychodziłem. Pierwszy pojawił się fanatyk o zadartym nosie, cekaemista z kompanii Konara i ryknął, żeby odkopywać zasypanych, a za nim kilku powstańców z bronią i nie uzbrojonych. Stanąłem w miejscu, gdzie pozostał tylko parapet wielkiego okna ze skrawkiem podłogi obok i zamiast uciekać, gapiłem się, jakbym chciał na zawsze zapamiętać każdy szczegół. Uchyliłem się, by przepuścić noszowych i poznałem Ryśka Jabłońskiego. Obie nogi zmiażdżone. Głowę miał przechyloną ku mnie, oczy otwarte, chyba mnie poznał. Czy pamięta naszą umowę - pomyślałem.

- Rysiek! - powiedziałem - Rysiek! Rysiek!

Nie wiem, czy mnie usłyszał, a może tylko w myśli wymówiłem jego imię. Obok kotła stanął kucharz Ukrainiec. Zauważyłem, że brakowało mi prawego buta. Spod gruzu wysunął się kanonier Sław z ręką na temblaku. Ppor. Jur, zastępca Klima, przebiegł wielki korytarz, zatrzymał się na skraju urwiska, rozejrzał dookoła i rzucił kilka rozkazów. Siostra Mariana nadal tkwiła na samym dnie zapadliny. Teraz dopiero dostrzegłem u jej stóp jakiś kształt ludzki. Już wziąłem go za trupa, gdy zwymiotował krwią. W miejscu oka miał głęboką dziurę. Razem z Lechem, Sławem i czwartym mężczyzną, w którym dopiero po chwili rozpoznałem kapelana, bo tak był usmolony, ułożyliśmy rannego na kocu. Cekaemista, biorąc kapelana za cywila, warknął nań, by się szybciej ruszał. Ksiądz kapelan nie zidentyfkował się. Mnie się wydawało, że przez moment zastanawiał się, czy dać ostatnie namaszczenie rannemu. Aby sprawdzić, czy jest przytomny, ktoś zapytał go o nazwisko. Nieoczekiwanie szepnął: Szofer. Cały był pokryty brunatnym pyłem i sadzami, bez bandaża i bez czarnej opaski na oku, nie do rozpoznania. Z oczodołu i ze starej rany na skroni sączyła się krew. Od wymiocin zalatywało wódką.

Wydrapując się z leja zobaczyłem kaprala Jura i strzelca Jaśmina z karabinami i w pełnym umundurowaniu. Obaj dołączyli do nas i pomogli nam nieść Szofera. Nie było nikogo więcej z kompanii Lisa.

Kiedy po usypisku cegieł zeszliśmy na Harcowisko Granatników, ujrzałem samolot unoszący się sponad szkoły jak na zwolnionym filmie, chyba nie wyżej niż dwa piętra nad dachem. Zrobiliśmy kilkadziesiąt kroków, gdy spojrzawszy w lewo na budynki szkoły spowitej kurzawą, zobaczyłem tyralierę Niemców.

Opuściliśmy Szofera na ziemię. Niczym porażony przyglądałem się, jak przy grzechocie kulomiotów spokojnie biegli ku nam, padali razem co kilkanaście kroków, podrywali się jednocześnie i znowu padali, jak na manewrach, i nikt nie zostawał z tyłu w trawie. Ani poruszyć się nie mogłem, ani oczu od nich oderwać, jakbym chciał zobaczyć wszystko do samego końca. Wtem ktoś po opaskach poznał w biegnących powstańców. Uciekali na tyły Pasażu przed bombami.

Zanieśliśmy Szofera na nieparzystą stronę Długiej. Sanitariuszka na widok mojej zadrapanej skóry, a nie straciłem więcej niż parę kropli krwi, wyciągnęła bandaż. Powiedziałem, że nie potrzeba, ale nalegała, więc pozwoliłem jej założyć opatrunek na lewe przedramię. Dziewczynie musiało sprawiać jakąś przyjemność pomóc człowiekowi, który miał szansę wyzdrowienia. Gdy sanitariuszka z namaszczeniem okręcała czysty bandaż, zakiełkowała mi myśl, że skoro ona uważa mnie za rannego, to i ja też mogę. Rozstaliśmy się z księdzem kapelanem i w piątkę postanowiliśmy iść do dowództwa zgrupowania, jako że batalionu już nie było. Po drodze dołączył do nas Krypo, który szedł do Pasażu, nie wiedząc jeszcze o bombardowaniu. Razem udaliśmy się na Długą 23. Ktoś powiadomił o naszym przybyciu i major Sosna wyszedł na podwórze. Stanęliśmy szeregiem na baczność. Wstyd mi było mego wyglądu - bez hełmu, w spodniach, koszuli i w jednym bucie. Prawa ręka, przywykła do karabinu, zawadzała. Stałem przed Sosną znowu nic nie wart, jak na początku Powstania w browarze Haberbusza. Krypo, najstarszy rangą, postąpił ku niemu, wyprężył się, najlepiej jak mógł, i wyrecytował z lekkim niemieckim czy żydowskim akcentem:

- Panie majorze, sierżant podchorąży Szpulka melduje posłusznie kompanię Lisa, stan jeden plus pięciu.

Sosna rzucił parę pytań, otoczyliśmy go półkolem. Nie dał żadnych rozkazów, ale powiedział, że możemy tu zaczekać, po czym wrócił do środka. Na razie stanęliśmy w bramie. Niedaleko z wyciem nurkowały sztukasy i okruchy cegieł jak fale deszczu zacinały podwórze. Zdecydowaliśmy więc poszukać bezpieczniejszego miejsca, nie oddalając się zbytnio od dowództwa, które pierwsze

winno było wiedzieć o kanałach. Samemu Sośnie ufaliśmy. Krypo postanowił szukać szczęścia na własną rękę i oddzielił się. My zaś, przeskoczywszy na drugą stronę Długiej, poszliśmy w Barokową, gdzie wszystkie kamienice były zwalone lub wypalone.

Krótka ulica kończyła się ślepo. Zamykał ją wysoki mur, a poza nim był już ogród Krasińskich i Niemcy. Usadowiliśmy się na dnie olbrzymiego leja. Tu, kilka metrów poniżej powierzchni ziemi, postanowiliśmy przeczekać aż będzie wiadomo, co robić. Obie skarpetki przełożyłem na prawą nogę, tę bez buta.

Jur i Jaśmin opowiedzieli, co widzieli z zewnątrz, a potem ja, co się działo w środku. Właśnie wracali do Pasażu po krótkiej nieobecności, gdy zobaczyli, jak pierwszy samolot zniżał się. Ruszyli biegiem, by ukryć się przed bombami pod sześcioma stropami żelbetonu, ale nie zdążyli i przyglądali się, jak jedenaście sztukasów nurkowało wyciągniętym sznurem.

Po raz pierwszy od czterech tygodni nie miałem broni. Te oklepane porównania o tygrysie bez pazurów, wilku bez kłów, są jednak prawdziwe. Przestałem być żołnierzem. Teraz pozostało mi tylko uciekać i chować się, a nie było gdzie. Mogli mnie złapać, powiesić, poderżnąć gardło, skopać na śmierć. Choć trudno było o lepszy tymczasowy schowek niż dno leja, strach przybierał niespotykaną dotąd formę. Przedtem strzały zlewały się w monotonny pomruk, teraz każdy słyszałem osobno. Tysiące strzałów, na które poprzednio nie zwracałem uwagi, i każdy jakby był wymierzony we mnie. W takt co głośniejszych eksplozji ciało zaczęło mi dygotać niczym galareta. Oddychałem nierówno i z wysiłkiem, jak gdyby z każdym oddechem obracało się w mej piersi wiele zębatych kółek. Czułem, że zbliża się moment, gdy zacznę się trząść bez przerwy i nigdy nie przestanę. Tylko pięciu nas było na tym pustkowiu, na dnie leja. Podejrzewałem, że w wypalonym domu na końcu Barokowej, oddalonym tylko o kilkanaście metrów, nikogo nie ma i że Niemcy mogą zająć go lada chwila. Zaproponowałem więc powrót do dowództwa zgrupowania odległego o sto metrów. Większość mnie nie poparła, a sam iść się bałem. Zdecydowali się dopiero, gdy wspomniałem, że w kanale nie wszyscy chętni się zmieszczą, że tylko pierwsze grupy przejdą, a następnych polewą benzyną, i że tu, w leju, będziemy czekać aż do usranej śmierci. Gdy przyszło wychodzić z leja, ogarnął mnie lęk przed otwartą przestrzenią, przed granatnikami, przed snajperami. Nagle lej wydał mi się jedynym bezpiecznym miejscem. Poszliśmy razem z

powrotem pod numer 23 do dowództwa.

Na Długiej nie było weselej niż w leju, więc odwiedziliśmy Szofera, który leżał niedaleko. Na nasz widok dźwignął głowę, wzniósł rękę i zawołał:

- Cześć chłopaki, nie dawać się, nie dawać się.

Ścisnęło mnie w gardle, jak przy śmierci Włada. Musieliśmy go przytrzymać, już próbował usiąść. Chciałem odwiedzić Kobuza, ale reszta zdecydowała wrócić pod numer 23. Sam nie wiedziałem, czy mam się trzymać szpitala jako ranny, czy dowództwa jako żołnierz. Rannych zostawią Niemcom, a jako żołnierz nie przedstawiałem żadnej wartości, uzbrojeni odepchną mnie od kanału. Gdybym miał rewolwer, przykleiłbym się do ochrony sztabu.

Kobuz wiedział już o zburzeniu Pasażu Simonsa, ale nie znał szczegółów. Od niego poszedłem do Kawki. Wszyscy oni, Kobuz, Kawka, Anka, Szofer, leżeli w przyległych piwnicach. Kawka wzruszył się na mój widok, nie spodziewałem się po nim tyle uczucia, i ofiarował mi swój prawy but z długą cholewą. Gdy odmówiłem, pokazał mi spuchniętą w kostce prawą nogę, która nie nadawała się do chodzenia. But okazał się za mały. Jeden z rannych miał zapasowe, z krótkimi cholewami, sznurowane, ale też małe. Nie mogłem wcisnąć całej stopy do środka, pięta się nie mieściła, ale przynajmniej było zabezpieczenie przed szkłem. Wróciłem na Długą 23 i nie widząc nikogo z naszych, pokuśtykałem dalej, do Edka. Ledwie wsunąłem głowę do komórki, dostrzegłem grozę w twarzach, jak nigdy przedtem. Już słyszeli, że od Lisa nikt nie ocalał i pomodlili się za dusze zmarłych.

Opowiedziałem o tym, jak meldowali Marianowi, że Niemcy wycofują się z Arsenału, jak postanowiłem nie budzić Bajkopa ze snu i jak Wilit wolał się przespać niż umyć, o skradzionym mydle, o siostrze Mariana w bieli i o bulgoczącym kotle. Opowiadając już po raz trzeci, wydobyłem elementy dramatyczne i podbudowałem słowami jak należy, tak iż poruszyłem nawet Lisa, który pomimo odłamka w czaszce przysłuchiwał się pilnie. Gdy zakończyłem, zamiast pogratulować mi, że żyję, zgryźliwie warknął spod bandaży:

- Minęliście się z powołaniem, Krok - co nasunęło mi myśl, że widok jakiegokolwiek innego powstańca z jego kompanii ucieszyłby go bardziej w tej chwili.

W szpitalu oczekiwali załamania się obrony lada godzina, podobnie jak ja. Wyszedłem na chwilę na zwiad do dowództwa zgrupowania obok, po drugiej stronie Miodowej, ale niczego nie

wypatrzyłem poza łączniczkami, które wbiegały i wybiegały. Wywnioskowałem więc, że na nic się nie zanosi, zwłaszcza iż huk bitwy nie wydawał się głośniejszy niż rano. Zaskoczony dowiedziałem się, że Pasaż jest nadal w polskich rękach. I oto coś mnie pchnęło, aby tam wrócić, choć poprzednio postanowiłem nie spuszczać z oka punktu dowodzenia Sosny.

Zanim wyszedłem na Harcowisko, postałem czas jakiś w ruinie, by upewnić się, że przede mną są Polacy. Brak okularów dokuczał mi nieco. Dziesiątki razy oglądałem stąd Pasaż. Zawsze niezmienny, niezłomny jak skała, górował nad okolicą. Teraz Pasaż wyglądał jak wypatroszony olbrzym i wydawał się jeszcze wyższy. Przechodząc obok oficyny natknąłem się na podchorążego Sława, którego karabin służył mi do dziś rano. Kilku powstańców pod jego dowództwem, kryjąc się za niskimi ruinami, obsadzało odcinek od Pasażu po Długą. Zwał cegieł rozpoczynał się już od przejścia pod oficyną. Zaraz na skraju zobaczyłem nagą dziewczynę przywaloną blokiem muru od pasa w górę. Przy upadku cegły poluzowały się nieco i ułożyły jak niedbale upuszczona talia kart. Leżała twarzą do ziemi. Łydka pękła wzdłuż aż do kości. Dolna część ciała pokryta była tak grubo pyłem, że dziewczyna wyglądała jak zwalony posąg. Kształtem przypominała mi Zosię Kos. Rumowisko wznosiło się do wysokości pierwszego piętra, z niego zstępowało się do krateru w miejscu Sali Obrabiarek. Na dnie kilkunastu jeńców trudziło się odkopywaniem. Pusta Sala stała jak przedtem. Dalej, tuż za klatką schodową, gdzie poprzednio było sześć pięter, teraz prześwitywało.

Po południu odgrzebano parę osób, między innymi poparzonego Małego, którego jedna bomba przysypała, a inna odsypała. Dowiedziałem się, że wciąż odzywali się spod rumowiska, choć teraz już mniej niż przed paru godzinami. Zwłaszcza jednego powstańca podobno wyraźnie było słychać. Przysiadłem się we wskazanym miejscu i może po kwadransie usłyszałem głos pod stopami. Przyłożywszy ucho do gruzu mogłem odróżnić niektóre słowa, choć brzmiały jak przez telefon, z bardzo daleka i niewyraźnie. Podał swój pseudonim, Konrad, i jeszcze mówił z przerwami coś, czego nie mogłem zrozumieć oprócz słowa „dziecko". Jeden z powstańców wytłumaczył mi, że Konrad już poprzednio meldował, iż obok niego leży nieprzytomna kobieta z martwym dzieckiem. Przyłożyłem usta do gruzu i wołam:

- Konrad, odkopujemy was, odkopujemy was, Konrad, Konrad odkopujemy was.

Ale Konrad więcej się nie odezwał, pewnie zmęczony oszczędzał siły, by od czasu do czasu dać nam znać, że żyje.

Siedziałem pod parometrowym kikutem szczytowej ściany, gdzie zachował się ślad po nieudanej próbie przebicia muru na zewnątrz, gdy Pasaż palił się przed tygodniem. W zasięgu wzroku znajdowało się może z dziesięciu nie znanych mi powstańców, ukrytych za blokami żelbetonu i olbrzymimi szynami, z bronią wycelowaną w kierunku Pustego Domu i Arsenału. Niemcy nie strzelali, nawet żaden granatnik nie spadł na Harcowisko. W kraterze też panował niezwykły spokój, rzadko kiedy kto się odzywał. Zmęczeni jeńcy, brudni jak wszyscy, snuli się po dnie wynosząc cegłę po cegle. Nikt ich nie poganiał, bo była to praca na cały miesiąc lub na dwa. Starałem się odgadnąć, co też oni myślą, przecież wiedzą, że ich koledzy znajdują się tuż obok. Niemiec mówiący po czesku odgrzebał pistolet maszynowy. Patrzyłem, jak go wolno podniósł, przyglądał się... patrzyłem zamiast ostrzec, krzyknąć lub skoczyć ku niemu. Musiało mi się wydawać, że byłem w teatrze i że bez względu na zakończenie po zapadnięciu kurtyny wrócę do domu i zasnę we własnym łóżku, więc po co wtrącać się w to, co się dzieje na scenie. Jeniec wspinał się wolno z dna krateru, a ja wciąż starałem się przewidzieć, co zrobi. Wręczył broń wartownikowi zapatrzonemu w inną stronę. Jeńcy prosili o wodę i ktoś podał im manierkę. Sam wody nie widziałem od czasu „wielkiego mycia", ale teraz półnagi, w jednej parze spodni tylko i w rozdartej koszuli, nie grzałem się jak przedtem.

Wtem od Arsenału przez megafon doniosły głos zawołał:

- Powstańcy!... Podziwiamy wasze bohaterstwo!... Sami wiecie, że dalsza walka nie ma celu... Szkoda waszego życia... Poddajcie się!... Wyjdźcie z bronią w ręku!... Będziecie traktowani jak jeńcy wojenni zgodnie z konwencją genewską!... Powstańcy, podziwiamy wasze bohaterstwo!...

Mojżesz na górze Synaj mniej był chyba zaskoczony, gdy usłyszał głos Boży. Stamtąd, gdzie śmierć się zagnieździła, spod arkad niosła się teraz polska mowa. Poczułem ściskanie w gardle. Oczekiwałem, że powstańcy wstaną i ruszą ku Arsenałowi przez zalaną słońcem ziemię niczyją. Zląkłem się. Słowa Niemców nie wywarły jednak żadnego widocznego wrażenia, chód dla mnie brzmiały jak wezwanie do braterstwa.

Niewyraźne postękiwania i jęki od czasu do czasu dobywały się od dołu. Pomyślałem o mydle. Gdyby mi go nie ukradli, umyłbym się

wcześniej, zdążył na Salę Obrabiarek pod bomby i leżałbym teraz w ciemności pod gruzem razem z nimi. Nagle, chyba po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie, że parę metrów niżej są Wilit, Pietrek, Góral, Jasio, któremu powierzyłem mój karabin i złoto, Marian, Zosia z blizną na szyi, Bajkop, Ochotnik, Stryjo, Maniuś, Wanda Żydówka...

Nisko, bokiem znowu szły samoloty i powstańcy, dotąd nieruchomi, zaczęli się rozglądać. Ktoś mi wyjaśnił, że po południu był jeszcze jeden nalot z ostrzeliwaniem z broni pokładowej. Zerwałem się i najszybciej, jak mi tylko but pozwalał, pomknąłem ku Długiej. Po usypisku, po gruzie, przez ciche Harcowisko Granatników, nie oglądając się za siebie.

Od miesiąca przyzwyczajony byłem do karabinu jak do części ciała, teraz nie mogłem dobrze synchronizować ruchów, zwłaszcza że prawa pięta wisiała w powietrzu z powodu ciasnego buta, jakbym nosił damski pantofel na wysokim obcasie. Dawniej biegnąc, skacząc, wdrapując się, mówiąc, karabinem pomagałem sobie utrzymywać równowagę i ciała, i ducha. Przy pomocy karabinu nadrabiałem miną. Teraz, bez hełmu, nieustannie byłem świadomy swej głowy, tak jak chrześcijanin czułby się wchodząc do kościoła w kapeluszu.

Po drodze do Edka, u zbiegu Długiej z placem Krasińskich, zobaczyłem po lewej stronie przytulony do ściany kilkunastoosobowy ogonek pobandażowanych, nieuzbrojonych powstańców. Było to coś tak niezwykłego, że od razu do nich dołączyłem. Czekali, aż się zbierze większa grupa, by wejść do kanału. Kazali nam odłożyć plecaki, tobołki, walizki.

Ledwo pomyślałem, żeby pobiec po Edka, nogi wrosły mi w ziemię. Przekonywałem się, że zajmie to najwyżej trzy minuty, ale i tak nie mogłem ruszyć się z miejsca. Zresztą, co im po kanale, szukałem wymówki, Edek nie może chodzić. Hanka nie może oddychać. A co, jeśli rozkażą mi odwinąć czysty, nie zakrwawiony bandaż i pokazać ranę... i odpędzą od kanału. Gdybym miał Edka z Hanką, to mógłbym się wykręcić, że im pomagam. Im więcej myślałem o nich, tym bardziej nogi odmawiały posłuszeństwa. Odbiegnę i stracę kolejkę, lada chwila przyjdą uzbrojeni i odepchną rannych od włazu. Im dłużej zwlekałem, tym krótszy czas dzielił mnie od domniemanego momentu zstąpienia pod ziemię i lepsze miałem powody do dalszego zwlekania.

Padł rozkaz: do kanału! Szło to wolno, bo trzeba się było czołgać za osłoną z plecaków. Bałem się, że artyleria otworzy ogień lub

czołgi w ostatniej chwili wjadą na plac albo sztukasy nas zauważą. Najbardziej jednak bałem się odwołania rozkazu. Wreszcie spuściłem się nogami w ciemność i chłód. Odszedłszy nieco od włazu stawaliśmy obok balustradki, oczy przywykały do mroku. Światło sączyło się przez właz. Woda wypływała z ciemnej czeluści, lśniła drobnymi falami i znikała w czeluści. Powietrze było stęchłe i smrodliwe, ale do wytrzymania.

Oto jestem w kanale, o którym w Pasażu tyle rozmawialiśmy, ja jeden spośród wielu. Ogarnęła mnie nieopisana radość. Będę żył!

Przewodnik wyjaśnił zasady marszu: nie rozmawiać, nogami poruszać wolno, stóp z wody nie wyjmować, bo chlupie, jedną ręką dotykać poprzednika. Grzechot strzałów dochodził jak z zaświatów. Pluskanie wody prawie go zagłuszało.

Kolumna ruszyła i po kilkunastu krokach z mroku weszliśmy w ciemność. Teraz już żaden rozkaz nie mógł nas zawrócić. Posuwaliśmy się dość wolno, w myśl instrukcji nie podnosząc nóg. Pomimo to pluskanie nie ustawało, nawet gdy kolumna stała, pewnie dlatego, że wartka woda odbijała się od dziesiątek nóg. Od razu okazało się, że posuwanie się wewnątrz owalnej rury różni się znacznie od zwykłego chodzenia. Nie można było iść na rozstawionych nogach, gdyż stopy ześlizgiwały się po krzywiźnie. Natomiast stawiając stopy wzdłuż linii prostej, zawsze w najniższym punkcie dna, łatwo było stracić równowagę. Co gorsza, ręce nie znajdowały oparcia na wklęsłej, oślizgłej powierzchni. Szczególnie prawą nogę, na „wysokim obcasie", musiałem stawiać ostrożnie. Starałem się zawsze opierać rękę na ramieniu poprzednika, ale coraz to gubił mi się i musiałem go doganiać. Nos mi wkrótce zdrętwiał i już nie czułem smrodu. Przewodnicy od czasu do czasu zapalali latarki i w ich nikłym, błękitnym świetle kanał przypominał wnętrze gwintowanej lufy karabinu.

Po tylu rozczarowaniach wróciła wiara w kierownictwo Polski Podziemnej, w jego nieomylność, precyzję. Radosne podniecenie nie ustępowało... kanał jest jeszcze jedną przygodą, o której będę opowiadał... pierwsi przejdą nie zauważeni.

Niemcy, oddzieleni warstwą ziemi, dalecy jak za siedmioma górami i rzekami, już nie wydawali się tak groźni. Czasem tylko głuche dudnienie i drżenie dochodziło z tamtego świata. Kilka metrów wyżej biją kulomioty, walą się ściany, wylatują w powietrze fontanny cegieł, pali się, rozstrzeliwują, a tu niesamowity spokój. Oby tylko nie zgubić się.

Oczywiście, Niemcy mogliby wlać benzynę do kanału, wrzucić granaty, spiętrzyć wodę, zaminować, zagazować... gdyby tylko wiedzieli, że tędy właśnie idziemy. Jednak tam, na powierzchni, już nic nie pozostawało, jak tylko bezradnie przyglądać się zbliżaniu śmierci. Tu zaś ja sam i przybliżałem się do śmierci, i oddalałem.

Kolumna stanęła i przewodnik wyjaśnił, że wchodzimy pod teren obsadzony przez Niemców. Zaskoczyło mnie to, sądziłem bowiem, że już dawno przekroczyliśmy linię frontu. Ruszyliśmy jeszcze wolniej, latarki zgaszone. Rozkazy wydawane szeptem wędrowały wzdłuż kolumny. Często traciłem kontakt z poprzednikiem, zwłaszcza potykając się o plecaki, lub gdy kolumna nagle ruszała. Ślepemu każdy ruch nagły. Poprzednik poinformował mnie, że skręcamy, ale nie dosłyszałem dokąd. Plusk przeszkadzał. Ściany kanału powtarzały każdy dźwięk w nieskończoność, trudno było odgadnąć, czy to tylko echo, czy setki nóg burzą wodę. Straciłem z nim kontakt i macając przed sobą wlazłem na rozwidlenie. Raz głośniejsze pluskanie dochodziło z prawej, raz z lewej strony. Oddalało się. Zląkłem się. Na próżno obracałem głową nasłuchując to tym, to tamtym uchem. Niesymetryczne uszkodzenie bębenków utrudniało orientację. Z tyłu wytworzył się zator. Skręciłem w prawo i wkrótce dotknąłem mego poprzednika.

Przewodnicy zatrzymywali się często i nasłuchiwali. Ja też starałem się spośród plusku wyłowić inne dźwięki. Długo staliśmy w miejscu, gdy głuchym telefonem przyszło ostrzeżenie, że będziemy przechodzić pod otwartym włazem. Kanał teraz był niższy, a woda sięgała wyżej. Musiałem się porządnie przygiąć. Głowa ocierała się o sklepienie. Stąpając po wklęsłej, półkolistej powierzchni, raz po raz ześlizgiwałem się na boki. Lęk mnie ogarnął. Co będzie, jeśli dostanę zawrotów głowy od poruszania się w tej pozycji. Przewodnicy zapalili latarki i w błękitnym świetle zobaczyłem okrągły burzowiec. Środkiem rwał strumień wody, a po obu stronach powyżej poziomu dna biegły wąskie chodniki, na jedną osobę. Przygiąłem się jeszcze bardziej i poszedłem suchą stopą chodnikiem, choć woda nie była głęboka. Wielu powstańców szło środkiem pod prąd, nie musieli pochylać się. Z boków dołączały się małe kanały dopływowe i rury. Z niektórych woda ciekła nikłym strumieniem. Tu i ówdzie nad ich ujściami wypisane były nazwy ulic lub numery domów. Ten spacer nie trwał długo, znowu weszliśmy do niższego kanału. Zgasły latarki. Otwarty właz. Teraz posuwaliśmy się rzeczywiście noga za nogą, tak wolno, że nie było potrzeby przystawać. Nie zauważyłem momentu

przechodzenia pod otwartym włazem, ale raz słyszałem wyraźnie serię z działka szybkostrzelnego, potem daleki warkot ciężkiego motoru i pomyślałem, że widocznie kanał przebiega bliżej powierzchni ziemi. Przez chwilę powiało świeższym powietrzem.

Znowu powstał zator. Sądziłem, że przed nami był ten otwarty właz, który zapowiadano, i że przewodnicy nasłuchiwali, czy Niemcy podsłuchują. W rzeczywistości przypominało to sytuację pacjenta, który niecierpliwie czeka, kiedy nareszcie zaczną operację, nie wiedząc, że to już po wszystkim. Przyszła wieść głuchym telefonem, że jesteśmy już po polskiej stronie w Śródmieściu, przy włazie, a raczej wyłazie, na rogu Wareckiej i Nowego Światu.